



Przeszłam przez piekło
Wstrząsający wywiad z byłą
więźniarką niemieckiego obozu

Polacy kontra Abwehra
Kulisy brawurowej operacji polskiego
wywiadu i zawodowych kasiarzy

Sowieckie mordy sądowe
Szokująca tajemnica procesów
pokazowych Stalina

NR 2(84)/2020 LUTY 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY HISTORIA

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 2916 031



Eksperymenty medyczne i komory gazowe

HORROR AUSCHWITZ

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
ROBERT T. MORRIS „NA OSTRZU SKALPELA. 50 LAT Z ŻYCIA CHIRURGA”**

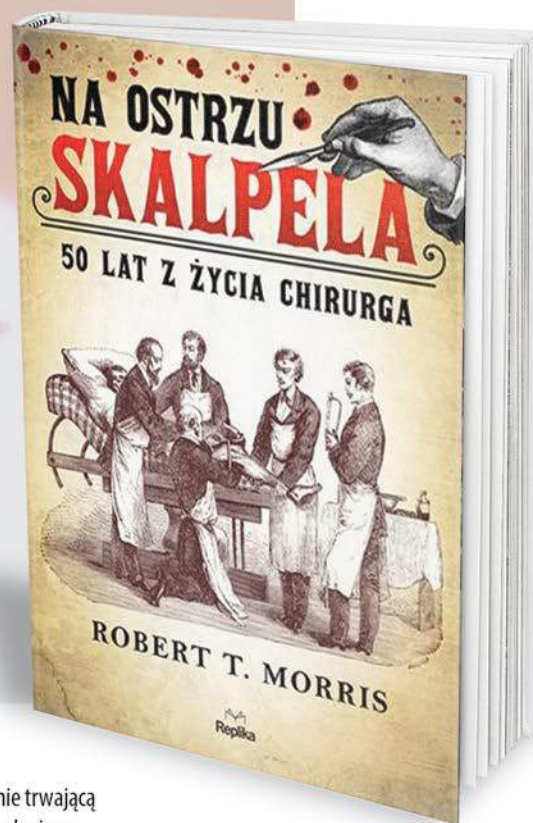
ŻYCIE I ŚMIERĆ NA STOŁACH OPERACYJNYCH NA PRZEŁOMIE XIX I XX WIEKU!

Wspomnienia byłego wybitnego chirurga z okresu, gdy operacje trwały godzinami i często z błahych powodów kończyły się zgonem pacjenta – śmiertelność chirurgiczna wynosiła wtedy nawet 79 procent. Same operacje nierzadko przeprowadzane były w domach pacjentów, do narkozy służył eter, a cięcia były tak głębokie i obszerne, że wielu pacjentów wykrwawiało się podczas zabiegów na śmierć.

Książka Roberta Morrisa daje nam doskonały wgląd w to, jakie warunki panowały w szpitalach jeszcze sto lat temu, jak na przestrzeni wieków rozwijała się medycyna i jak ważną rolę odgrywały wnioski wyciągnięte po każdej przeprowadzonej operacji, zwłaszcza nieudanej.

79 zł

oszczędność 68 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl/21a5a28caa

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA
DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI
TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk,
Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel
(także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Karol Gac (zastępca), Błanka Aleksowska, Zuzanna
Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak,
Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian
Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także
SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w
skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,
notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk,
Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaz egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta
pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
ani nie zwraca materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze
rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w miesięczniku
chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa
zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu
tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki
licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Bobowa, kwiecień 1939 r.

Ben Sion Halberstam, cadyk z Bobowej, podpisuje Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej



FOT. MAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Piećło na ziemi

W trakcie mojej pracy dziennikarskiej rozmawiałem z setkami świadków historii. Ocalałymi z rozmaitych ludobójstw i rzezi parsywego XX w. Wśród nich znalazło się wielu ocalałych z Auschwitz. Zarówno Żydów, jak i Polaków. Wszyscy zgodnie mówili: kto nie był w Auschwitz, ten nie jest w stanie pojąć tego, co tam się działo. Nie jest w stanie uwierzyć. Tak, Auschwitz to było prawdziwe pięćło na ziemi. Nie stworzyli go jednak Lucyfer z Belzebubem. Piećło to stworzyli ludzie.

Auschwitz to przede wszystkim fabryka śmierci. Przerazający kompleks przemysłowego masowego mordu. Transporty z tysiącami Żydów przybywały pociągami na rampę, skąd przerażonych ludzi pędzono w stronę komór gazowych. Kazano im się rozebrać i udać pod prysznic. Zamiast wody do środka wrzucano jednak gaz. Specjalne komando wyciągały trupy z komór, wrywały im złote zęby i spopielały w wielkich, pracujących 24 godziny na dobę piecach. Nocami ludzkie prochy wywożono ciężarówkami i wrzucano do rzek. W cieniu krematoryjnych kominów dochodziło również do innych zbrodni. Więźniowie byli wykorzystywani do potwornej niewolniczej pracy. Głodzeni i katowani przez strażników-sadystów oraz zwyrodniałych kapo. Za drutami szerzyły się epidemie tyfusu i innych chorób. Życie

ludzkie w Auschwitz było warte mniej niż splunięcie.

Kolejny koszmar – eksperymenty medyczne. Doktor Josef Mengele i inni szaleni lekarze III Rzeszy, zbrodniarze w białych kitlach, wykorzystywali więźniów Auschwitz jak „króliki doświadczalne”. Przymusowe kastracje, uśmiercanie ludzi zastrzykiem fenolu w serce w celu pozyskania ich ciał na preparaty. Makabryczne doświadczenia z bliźniakami i karłami. Prawdziwy koszmar.

Ocenia się, że Niemcy zamordowali w Auschwitz ponad milion ludzi. Przede wszystkim Żydów, ale również przedstawicieli innych narodowości. Na drugim miejscu w tragicznym bilansie ofiar – o czym często się zapomina – znaleźli się Polacy. Auschwitz stało się grobem dla ponad 70 tys. naszych rodaków. Kolejne dziesiątki tysięcy zostały w obozie okaleczone. Duchowo i fizycznie.

W tym roku przypada 80. rocznica założenia Auschwitz i 75. rocznica zajęcia obozu przez Armię Czerwoną. A więc początek i koniec jego funkcjonowania. To dobra okazja, żeby przypomnieć o historii tego upiornego miejsca i upamiętnić wszystkie jego ofiary. Wszystkich skrzywdzonych w obozie ludzi. Auschwitz to jednak także przestroga. Przestroga przed chora, totalitarną ideologią, która potrafi ośwładać umysły i skłonić ludzi do straszliwych zbrodni. Dobrze, że te czasy mamy już za sobą. Oby nigdy nie wróciły. ©©

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR CYWIŃSKI

Fabryka śmierci

.10 PIOTR ZYCHOWICZ

Lekarze diabła

.14 BRONISŁAWA HOROWITZ-

-KARAKULSKA

Byłam w Auschwitz

.18 RELACJE ŚWIADKÓW

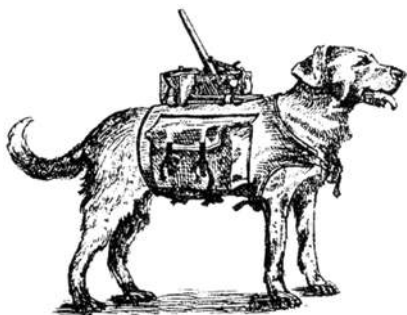
Ocalali z piekła mówią

.20 PIOTR ZYCHOWICZ

Sowieci przejmują obóz

3084 00K06605QDN:23 AUG 44/11.00.F36:29000

/ CZASY I LUDZIE



.24 MIKOŁAJ IWANOW

**Sowieckie psy-
-kamikadze**

.28 GRZEGORZ JANISZEWSKI

**Operacja „Wózek” – kradzież
niemieckich sekretów**

.32 JAKUB OSTROMĘCKI

Aleksander Newski

.37 PIOTR SEMKA

Smutek holenderskich tropików

.40 JOCHEN BÖHLER

Zabójcza machina Waffen-SS

.44 PIOTR ZYCHOWICZ

Tajemnica procesu Bucharina

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Arcytrudne rządy Borysa III

.52 SŁAWOMIR KOPER

**Swawole Stanisława
Cata-Mackiewicza**

.56 MAREK GAŁĘZOWSKI

Cztery wojny majora „Brzęka”

.60 LESZEK LUBICKI

**Zagłodzony przez Kazimierza
Wielkiego**

.64 TOMASZ STAŃCZYK

**Sierakowski – powstaniec
niezłomny**

.67 JAN KOSMALA
Bobrzyński – fatum konserwatysty

.70 MACIEJ ROSALAK
Kalendarium roku 1920 – cz. II



.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Atak smogu

/ CO CZYTAĆ

.74 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Nowakowski
– kapłan, a nie
blazen

/ FELIETONY

.82 JACEK BARTOSIAK
Miedzy lądem
a morzem

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Ferdinand Walsin Bolek

.85 PIOTR SEMKA
Karol – wielki terrorysta

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
1920–2020

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Spór o mordy
rytualne



/ BATALIE
I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
Król – urodzony
wódz

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI
Czas wojenny

REKLAMA



Wstrząsająca historia
kobiet i dzieci
ocalałych z piekła



KSIEGARNIE  Świat Książki

 swiatksiazki.pl

BELLONA



FOT. BLOKOFBLUE/WIKIMEDIA

Wywiad / Z dr. Piotrem Cywińskim, dyrektorem Muzeum Auschwitz-Birkenau



rozmawia Piotr Włoczyk

Fabryka śmierci

/ W Auschwitz Niemcy zgładzili ponad milion ludzkich istnień. Ofiary były duszone w komorach gazowych, a ich ciała spalane. Tak by nie został po nich ślad

PIOTR WŁOCZYK: Zacierając ślady swoich zbrodni, esesmani wysadzili komory gazowe, krematoria, palili dokumentację, magazyny i baraki, ale w kompleksie KL Auschwitz pozostawiali ok. 9 tys. więźniów. Dlaczego Niemcy nie zamordowali tych ludzi?

DR PIOTR CYWIŃSKI: Niemcy nie chcieli zostawić świadków. Esesmani mieli zamiar wymordować wszystkich, którzy nie byli w stanie wyjść z obozu w tzw. kolumnach ewakuacyjnych. Zaskoczyło ich jednak tempo ofensywy Armii Czerwonej, która parła do przodu, by jak najszybciej zająć Wrocław. W całej Europie żadna z armii nie zboczyła ze swojego szlaku, żeby wyzwolić jakiś obóz. Wszystkie były wyzwolane „po drodze”. Nie inaczej było z Auschwitz.

Esesmani musieli się wynosić z obozu prędzej, niż przypuszczali. Tej operacji towarzyszyła panika, niektóre grupy esesmańskie wracały potem do Auschwitz i próbowały dokończyć dzieło

zniszczenia. Spośród tych ok. 9 tys. więźniów ok. 700 nie doczekało wyzwolenia. Zginęli oni w ostatnich dniach przed wyzwoleniem w egzekucjach, zmarli z głodu, chorób lub zimna.

Kim byli ludzie, którzy doczekali wkroczenia żołnierzy sowieckich?

Byli to przede wszystkim ciężko chorzy, którzy nie byli w stanie wymarszerować w kolumnach ewakuacyjnych. Od lata 1944 do połowy stycznia 1945 r. Niemcy wywieźli z Auschwitz w głąb Rzeszy ok. 65 tys. więźniów. Następnie od 17 do 21 stycznia esesmani wyprowadzili z kompleksu KL Auschwitz kolejne 56 tys. więźniów. Wielu z nich zginęło po

drodze z zimna, głodu, chorób i w wyniku egzekucji.

Po ewakuacji na terenie obozu pozostało ok. 9 tys. ludzi, w tym kilkaset dzieci, głównie ze zburzonej Warszawy, trochę z Grodzieńszczyzny i niewielka liczba „dzieci Mengelego”.

Poza chorymi i dziećmi byli też więźniowie, którym udało się ukryć w obozie. Ludzie ci stwierdzili, że mają większe szanse na przeżycie, pozostając w obozie i czekając na Armię Czerwoną, niż dołączając do kolumn ewakuacyjnych. Od połowy stycznia do 27 stycznia obóz jest w zasadzie w stanie zawieszenia. Jak wspominałem jednak, nie ma w nim zupełnego „spokoju”. Co pewien czas do obozu wracają mniejsze lub większe grupy esesmanów i próbują zniszczyć, co się da, a także rozstrzelać, kogo się da. KL Auschwitz był jednak olbrzymim kompleksem i do pełnego „oczyszczenia” obozu potrzeba było ogromnych sił.

W jakich warunkach żyli ocaleni?

W obozie panuje głód. W tym czasie nie działają przecież kuchnie. Więźniowie wyślizgują się z kryjówek, by zdobyć cokolwiek do jedzenia w tym rozpadającym się na ich oczach obozowym środowisku. Strach jednak wyjść, bo co jakiś czas słychać strzały. Ocaleni nie wiedzą, kto strzela. Czy to jeszcze Niemcy, czy już Rosjanie? W obozowych szpitalach nie było już praktycznie żadnej opieki, chorzy byli w dramatycznej sytuacji.

Jak wyglądało wyzwolenie obozu?

Niemcy stawiali spory opór w Oświęcimiu. Ponad 200 Rosjan zginęło w walkach o miasto. Fraza „Wyzwolenie przez Armię Czerwoną” w stosunku do Polski brzmi oczywiście kuriozalnie, ponieważ prawdziwe wyzwolenie przyszło dla nas dopiero wtedy, gdy Armia Czerwona wróciła do siebie. Natomiast w stosunku do obozu ten termin nigdy nie budził kontrowersji. Więźniowie obozu tak to właśnie widzieli, a byli to przecież ludzie z różnych środowisk ideowych i o różnym pochodzeniu narodowościowym. Wszyscy oni używali słowa „wyzwolenie”. Nawiasem mówiąc, pierwszy pomnik ku pamięci żołnierzy Armii Czerwonej, którzy wyzwolili obóz, postawiony został z głazów już kilka tygodni później przez więźniów dochodzących do zdrowia.

Czy Sowieci faktycznie zadbali o wyzwolonych więźniów?

Armia Czerwona pędziła w kierunku Wrocławia – to był priorytet. Na tyłach frontu zostawiali jednak politycy, którzy zainteresowali się z oczywistych względów obozem Auschwitz, ale zostawała też infrastruktura medyczna. Sowieccy lekarze jako pierwsi nieśli wyzwolonym pomoc medyczną. Szybko dołączyli do nich lekarze z Krakowa i okolic. Nie dałoby się tylu tysięcy kompletnie wycieńczonych osób przetransportować do Krakowa. Trzeba było im pomóc na miejscu. Bloki w Auschwitz I przerobiono na pomieszczenia szpitalne i tam ratowano życie ocalałym więźniom. Tak to funkcjonowało przez kilka miesięcy, aż ci biedacy powoli dochodzili do siebie i wracali do domów.

W akcję pomocową włączyli się też okoliczni mieszkańcy. W Oświęcimiu powstaje własne muzeum mające upamiętnić tych ludzi.

Okoliczna ludność bardzo pomogła ocalałym, choć ci ludzie sami byli w bardzo trudnej sytuacji – okoliczne wioski zostały przecież zniszczone, by mógł tam powstać obóz, a wielu mieszkańców Oświęcimia straciło mieszkania na rzecz niemieckich specjalistów pracujących w kompleksie obozowym. Pomoc ze strony miejscowych była bardzo ważna w pierwszych krytycznych dniach po wyzwoleniu, kiedy trzeba było zapewnić więźniom jedzenie. Miejscowi brali też do swoich domów dzieci z obozu, a następnie – jeżeli to było możliwe – starali się pomóc w odnalezieniu ich rodziców.

Co robili w tym czasie politycy?

Dostali bardzo ważne zadanie – zaczęli zbierać dowody zbrodni i przygotowywali resztki niemieckiej dokumentacji oraz obiekty obozowe do wywozu do

ZSRS. Wśród nich był napis: „Arbeit macht frei”. Załadowali już go nawet na wagon, ale – dzięki przekupstwu – byli więźniowie uratowali go przed wywózką i na dwa lata zabezpieczyli go w oświęcimskim magistracie. To pokazuje, że politycy szybko zdali sobie sprawę z nośności propagandowej tego hasła...

W jaki sposób historycy doszli do liczby 1,1 mln ofiar (co najmniej) kompleksu KL Auschwitz? Krótko po wojnie sowiecka komisja ogłosiła, że w obozie tym zamordowano ponad 4 mln ludzi.

Ten problem – ewidentne przeszacowanie liczby ofiar – dotyczył wielu obozów. Najpewniej odbywało się to na zasadzie „im gorzej, tym lepiej”, ale swoje robiła też obiektywna trudność – brak danych. Historycy długo badali pozostałości archiwalne obozów, dokumentację transportów, przyglądali się ubytkowi ludności w poszczególnych krajach. Wygląda na to, że Sowieci uśrednili przepustowość całej maszyny śmierci Auschwitz. 1944 był rokiem najbardziej morderczym. Tylko w dwa miesiące esesmani rozprawili się z 440 tys. Żydów z transportów węgierskich. Rozciągnięcie tych statystyk na dłuższy okres wielokrotnie zawyżało prawdziwą liczbę ofiar zamordowanych w Auschwitzu.

Te pierwsze ustalenia natychmiast pojawiły się w organach prasowych ZSRS, gdzie były nagłaśniane, a także znalazły się w przemówieniach polityków sowieckich. Tym sposobem na długie lata proces dochodzenia do prawdy został zatrzymany – komunistyczne władze nie mogły się z tego wycofać.

Do kiedy w PRL obowiązywała liczba 4 mln zamordowanych?

Właściwie do końca. W 1968 r., przy okazji redagowania 13-tomowej „Wielkiej encyklopedii powszechnej” PWN,



doszło do próby zmiany tej sytuacji, co skończyło się dymisją części redakcji. Władze zareagowały na to furią. Pierwsze rzetelne ustalenia, które opublikowane zostały w Polsce, były bardzo dobrze przyjęte przez historyków i do dziś są punktem odniesienia do dalszych badań w tym zakresie. Dokonał ich dr Franciszek Piper jeszcze na przełomie lat 80. i 90. Odzwierciedlają one postęp naszej wiedzy na ten temat.

Poza mierzeniem „pulsu życia i pulsów śmierci” wewnątrz samego obozu dr Piper zajął się też badaniem transportów do obozu, a także wziął pod uwagę ubytek ludności w poszczególnych krajach Europy. Mimo zawężenia liczby ofiar do co najmniej 1,1 mln cały czas mamy jednak do czynienia z pewnymi „widelkami”. O ile bowiem transporty francuskie, belgijskie czy holenderskie były zliczane w punkcie startu, o tyle już transporty z terenów np. Polski czy Węgier były pakowane w wagon po wagonie i nikt nie zliczał na żadnym etapie ludzi, którzy zostali do nich zagonieni.

Często mówi się, że Auschwitz był „nietypowym” obozem.

Auschwitz od początku był obozem koncentracyjnym i pozostał nim do końca, natomiast w 1942 r. stał się równoległym obozem zagłady w takim samym stopniu jak Bełżec, Treblinka, Sobibór czy Kulmhof (w Chełmnie nad Nerem). Różnica polegała na tym, że część ofiar kierowano do niewolniczej pracy. Również w Majdanku prowadzono równoległe te dwie polityki wobec osób deportowanych. Rozmowa o tym miejscu nie jest łatwa, ponieważ Auschwitz to symbol bardzo złożonej rzeczywistości – zagłady Żydów (ok. 1 mln zamordowanych – 91 proc. ogółu ofiar), Polaków (ok. 70 tys. zamordowanych – 5,8 proc. ogółu ofiar), Romów (ok. 21 tys. zamordowanych – 1,7 proc. ogółu ofiar), jeńców sowieckich (ok. 15 tys. zamordowanych – 1,3 proc. ogółu ofiar) i przedstawicieli wielu innych nacji (ok. 12 tys. zamordowanych – ok. 1 proc. ofiar).

Jakie początkowo Niemcy mieli plany odnośnie do oświęcimskich koszar, gdzie powstał obóz Auschwitz I?

Bardzo szybko po inwazji na Polskę więźnia wypełniły się więziami politycznymi. Już z początkiem 1940 r. Niemcy zaczęli się rozglądać za dogodnym miejscem na obóz koncentracyjny

Palenie zwłok Żydów
zabitych w komorach
gazowych FOT. WIKIPEDIA



na terenach okupowanej Polski. Różne miejsca brano pod uwagę, m.in. okolice Katowic. W końcu wybór padł na koszar w Oświęcimiu. Kilka budynków było już gotowych, istniała możliwość rozbudowy obiektu, a także istniała tam dobra infrastruktura kolejowa. Co ważne, wokół były też urodzajne ziemie rolne.

Co to miało do rzeczy?

Jak zauważył zajmujący się tym tematem historyk Robert Jan van Pelt, ideał esesmański to człowiek, który jest związany z ziemią w czasach pokoju, a który jest wojownikiem w czasach wojny. I tak planowano zagospodarować teren wokół obozu. Miało tam powstać całe esesmańskie osiedle. Funkcjonariusze SS mieli tam mieszkać wraz z rodzinami w domach z ogrodami.

Rozbudowa Auschwitz I prowadzona była przez więźniów. Niemcy prowadzili nawet dla nastoletnich więźniów szkołę mularską.

Birkenau umieszczono z kolei na bardzo mokrych łąkach przy Wiśle. Dlaczego tam? Ponieważ Niemcy nie chcieli zabierać terenów rolniczych. Pierwsze baraki budowano z materiałów pobieranych z rozbiórki ośmiu pobliskich wsi.

Wydawałoby się, że Holocaust został doskonale zaplanowany, ale na początku istnienia obozu zagłady Auschwitz-Birkenau widać sporo improwizacji...

W 1942 r., gdy rozpoczęto masowe uśmiercanie ludności żydowskiej, w Birkenau nie istniały jeszcze olbrzymie

komory ani krematoria. Te instalacje będą gotowe dopiero za rok. Niemcy używali początkowo na tyłach Birkenau dwóch wiejskich domków, które przebudowano na komory gazowe. Jeden z nich został jeszcze raz uruchomiony podczas mordowania węgierskich Żydów, kiedy tempo Zagłady było największe.

Czyli projekt Auschwitz-Birkenau nie miał najwyższego priorytetu w III Rzeszy?

Nie widać tego w dokumentach. Ta „inwestycja” była ewidentnie opóźniona w stosunku do decyzji politycznych. W swoich zeznaniach procesowych Rudolf Höss skarżył się wielokrotnie, że miał problem z materiałami, musiał w celu ich pozyskania uciekać się do przekupstwa i rekwizycji. W czasie wojny priorytet miały siły zbrojne. Mimo pewnych trudności obiekt powstawał dosyć konsekwentnie.

Żeby przyspieszyć proces Zagłady, w najbardziej morderczym okresie – maj/czerwiec 1944 r. – Niemcy oddali do użytku nową rampę wewnątrz Birkenau. Tym sposobem ofiary nie musiały iść tych dodatkowych kilkuset metrów.

W okresie szczytowym do obozu przyjeżdżało nawet pięć transportów dziennie. Pociągi liczyły ok. 30 wagonów, w każdym mieściło się po ok. 80 osób. Zabić można było ogromne ilości ludzi. Zapędzenie nawet 1,5 tys. ludzi do komory gazowej i zamordowanie ich w 20 minut nie było problemem. Przepustowość tej maszyny śmierci była ograniczana czym innym – możliwością

spalania ciał. Odpowiedzią na liczbę transportów z Węgier było uruchomienie tzw. dołów spaleniskowych. Trudno sobie wyobrazić oczyma duszy liczbę ofiar, które dzień w dzień, noc w noc były tam mordowane i palone.

Wychodzi na to, że w tym okresie zabijano tam średnio ponad 7 tys. osób dziennie. Każdego dnia mordowano w Auschwitz małe miasteczko...

To niewyobrażalna dla nas skala. Z każdego transportu ok. 10–15 proc. ludzi było kierowanych do pracy. Zależało to od chęci lekarza SS przeprowadzającego selekcję. Ostatnie transporty osób przeznaczonych do zagłady trafiają do Auschwitz wczesną jesienią 1944 r. – to więźniowie z pozostałości po gettach przy niektórych fabrykach w Zagłębiu i na Śląsku, gdzie trzymano jeszcze Żydów w wieku produkcyjnym.

Wtedy też więziarskie Sonderkommando widzi, że to koniec transportów, a front się zbliża... Ci ludzie rozumieli, że Niemcy ich za moment zabiją, bo najwięcej widzieli. 7 października dochodzi do buntu Sonderkommando w dwóch krematoriach. Koniec jest tragiczny. Wszyscy ci więźniowie zostają wymordowani przez Niemców. W ten sposób kończy się okres masowej zagłady w Auschwitz i cały kompleks zaczyna być ewakuowany.

Kto był największym zabójcą w Auschwitz?
Josef Mengele?

Bardzo ciężko odpowiedzieć na to pytanie. W czasie pierwszej fazy Zagłady, jeszcze w latach 1941–1942, ok. 1,5 mln Żydów zostało zamordowanych przez Einsatzgruppen na froncie wschodnim. Ci mordercy skarżyli się potem, że to zadanie jest dla nich zbyt obciążające psychicznie. Niemcy znaleźli na to sposób. Tak zorganizowali maszynę śmierci, by maksymalnie rozproszyć odpowiedzialność. Przykładowo Mengele w swoim mniemaniu tylko typował ludzi zdolnych do pracy. Tak wyglądała zwyczajowa linia obrony lekarzy przeprowadzających selekcję. Z kolei ci esesmani, którzy gonili ofiary do komór gazowych, nie wrzucali do środka cyklonu B. Kto inny to robił. Ci ludzie z kolei twierdzili, że oni tylko wrzucali do jakichś dziur nieznaną im substancję. System był tak zaplanowany, by nikt nie czuł się wyłącznym sprawcą.

Pozwalało to poszczególnym mordercom racjonalizować swoją rolę.

Himmler zakazał robienia w obozach zagłady fotografii, ale ocalało trochę zdjęć pokazujących, jak to wyglądało w Auschwitz.

Zakaz miał jednak kilka wyjątków. W ten sposób ocalały fotografie dokumentujące postęp budowy obozu oraz kolejne fazy przyjmowania transportu Żydów węgierskich. Do naszych czasów nie dotrwało wiele zdjęć z Auschwitz, ale wiemy, że esesmani robili tam mnóstwo prywatnych fotografii. Skąd to wiemy? Dysponujemy relacją kilkunastu osobowego komanda, które pracowało w ciemni fotograficznej. Jego członkowie



Insektycyd cyklon B, którym uśmiercano w komorach gazowych FOT. ARCHIWUM

zgodnie mówili, że wywoływali bardzo dużo prywatnych zdjęć robionych przez esesmanów. Mam nadzieję, że nie wszystko zostało zniszczone i w niedługiej przyszłości nowe fotografie wypłyną z domowych albumów ludzi, którzy postanowią się rozliczyć z przeszłością swoich rodzin.

Jakie Niemcy mieli plany wobec tego gigantycznego obozu, kiedy jeszcze wydawało się, że są w stanie wygrać wojnę ze Związkiem Sowieckim? Czy to właśnie tam trafialiby ludzie ze wschodu, którzy mieli zrobić miejsce dla „ras panów”?

Jest prawdopodobne, że gdyby wojna trwała kilka lat dłużej, miałyby to tragiczne przeżycie na los ludów zamieszkujących wschodnią Europę i Auschwitz odegrałoby w tym procesie potworną rolę. To jednak tylko domysły, bo nie ma na to bezpośrednich dowodów. Plan

rozbudowy obozu do naprawdy gigantycznych rozmiarów były rysowane jeszcze w 1944 r., ale być może wynikało to z chęci pokazania, że planiści nie są defetystami.

Wśród setek ucieczek z Auschwitz jedna zdecydowanie wybija się na pierwszy plan. Kazimierz Piechowski (zm. w 2017 r.) wraz z trzema kolegami wyjechał z obozu przebrany za esesmana ukradzionym autem komendanta. Kilka lat temu opublikowaliśmy na łamach „HDR” wywiad z panem Piechowskim. Ta historia na pierwszy rzut oka wydaje się tak niesamowita, że można wątpić, czy to aby na pewno prawda...

Zaręczam, że to wszystko prawda – historycy pracujący w naszym muzeum dokładnie to zweryfikowali. Ta niesamowita historia odbiła się szerokim echem po całym obozie, a nawet poza nim. Mamy relacje, z których wynika, że opowieść o tej ucieczce dotarła szybko do innych niemieckich obozów. W tej historii warto podkreślić jeden element. Zasada była jasna – za ucieczkę z danego komanda 10 osób było głodzonych lub rozstrzelanych. Co więc zrobili uciekinierzy? Stworzyli fikcyjne, czteroosobowe komando, które w całości uciekło!

Popisowo oszukali system.

Tak. Regulamin był jasny. Nie było kogo ukarać, więc Niemcy nikogo nie zabili. Ta troska o innych jest wyjątkowa, bo zazwyczaj uciekinierzy musieli się liczyć z tym, że ich wolność ma straszną cenę...

Jaki procent esesmańskiej załogi osiągnęła sprawiedliwość?

W całym systemie niemieckich obozów pracowało w sumie ok. 70 tys. esesmanów. Osądzono ok. 1650 z nich. Większość jednak dostała tylko kilkuletnie wyroki i to nierzadko w zawieszeniu. Wielkie procesy, typu frankfurcki czy norymberski, były pokazowe i dotyczyły tylko samej wierchuszki. Szeregowi esesmani w znacznej mierze uniknęli kary za swoje zbrodnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Piotr Cywiński
(ur. 1972) jest historykiem, dyrektorem Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, a także współtwórcą i prezesem Fundacji Auschwitz-Birkenau.

Horror / Chora medycyna III Rzeszy

Lekarze diabła



Piotr Zychowicz

Pastwienie się nad bliźniętami i karłami. Masowe kastracje, naświetlania i makabryczne sekcje zwłok. Eksperymenty medyczne w Auschwitz to zło absolutne

Pociąg towarowy powoli podjechał do rampy. Zgrzytnęły hamulce, lokomotywa z sykiem wybiła w powietrze kłęby pary. Wzdłuż torów stał równy rząd esesmanów z psami i gumowymi pałkami w rękach. Obok, przy zaparkowanym samochodzie, doktor Josef Mengele ze swoim asystentem. Oprawcy przybyli tu, aby odebrać kolejny transport. Transport ludzi przeznaczonych do zagłady.

Otwarto drzwi wagonów bydłych i na zewnątrz wylało się morze ludzi. Tysiące wychudzonych, obdartych ludzkich cieni. Część z gołymi rękami, inni z nędznymi tobołami i walizkami. Mężczyźni, kobiety i starcy. Zdezorientowani, przerażeni, zrezygnowani. Wielu z nich z wycieńczenia ledwo trzymało się na nogach.

To Żydzi z getta w Litzmannstadt – jak niemieckie władze okupacyjne nazwały Łódź – którzy zostali deportowani do KL Auschwitz.

Doktor Mengele, ubrany w czarny mundur SS, przeprowadza rutynową selekcję. Zdrowi na prawo. Chorzy na lewo, do komór gazowych. Lekarz jest wyraźnie znudzony. Nagle jednak się ożywia. Jego uwagę przyciąga dwóch Żydów stojących na rampie i rozglądających się niepewnie. To garbaty mężczyzna i towarzyszący mu 15-letni chłopak z chromą nogą. Chłopak ma but ortopedyczny i metalowy aparat korekcyjny.

Mengele wyciąga ich z tłumu i – pod eskortą niemieckiego strażnika – kieru-

je w głąb obozu. Daje mu dwie wyrwane z notesu kartki. Na jednej jest polecenie dla egzekutora z SS – ojciec i syn mają zostać zabici. Na drugiej jest polecenie dla lekarza, aby niezwłocznie dokonał sekcji zwłok tych „ciekawych przypadków”.

Lekarz, do którego skierowany jest ten rozkaz, nazywa się Mikłós Nyszli. To węgierski więzień, którego Mengele wybrał do pomocy w sekcjach.

Ojciec i syn – pisał po wojnie Nyszli – dwie tragiczne postacie z łódzkiego getta. Patrzą na mnie niemo, ze ściśniętymi z lęku sercami. Uspokajam ich kilkoma słowami i wprowadzam do sali sekcyjnej. Cóż za potworna ironia losu! Mnie, żydowskiemu lekarzowi, przypadło w udziale dokładnie zbadać ich, zanim pójdą na śmierć, a następnie będę musiał przeprowadzić sekcję ich jeszcze ciepłych zwłok. Jestem bliski szaleństwa.

Doktor Nyszli zbadał dokładnie obu nieszczęśników. Ojciec cierpiał na rachityzm. Oprócz garbu miał skrzywiony kręgosłup. Syn z kolei miał wadę rozwojową – nie wykształciły mu się niektóre stawy. Po zakończeniu badania Nyszli nakarmił

wygłodniałych „pacjentów” gulaszem z makaronem. A potem po nich przyszli. Oberscharführer Muhsfeldt w asyście czterech członków Sonderkommando.

Po upływie kilku minut dwa ciała zostały wniesione na salę sekcijną. Nyszli i jego zespół dokonali profesjonalnej sekcji zwłok, która nie dała żadnych rezultatów. Potwierdziła jedynie wyniki wcześniejszego badania żywych jeszcze ludzi. Wieczorem na miejsce przyjechał Mengele. Po wysłuchaniu raportu z sekcji oba przypadki uznał za niezwykle interesujące. I wydał przerażający rozkaz.

Szkielety ojca i syna miały zostać nie-





Dzieci w obozie Auschwitz FOT. ARCHIWUM

zwłocznie wysłane do instytutu antropologicznego w Berlinie, gdzie miały posłużyć jako eksponaty dowodzące degeneracji rasy żydowskiej. Aby uzyskać szkielety, Mengele kazał Nyzszlemu oba trupy... ugotować. Oddzielić tkanki miękkie od kości, a następnie odtłuścić kości benzyną.

Na podwórzu przygotowano palenisko – pisał Nyzszli – i umieszczono na nim dwie beczki z potworną zawartością. Rozpoczyna się gotowanie. Po pięciu godzinach i wielokrotnych próbach przekonuję się, że mięso zaczyna oddzielać się od kości. Nagle przybiega jeden z ludzi pozostawionych przy palenisku i całkowicie wyprowadzony z równowagi krzyczy:

– Doktorze! Polacy jedzą mięso z beczek!

Pędzę do paleniska. Czterech więźniów w pasiakach stoi sparaliżowanych prerażeniem przy beczkach. To murarze, Polacy. Odkryli pozostawione na chwilę bez dozoru kadzie. Myśleli, że gotuje się w nich mięso dla Sonderkommanda. Powąchali, wyłowili kilka większych kawałków mięsa, odkroili i żarłocznie zaczęli jeść. Kiedy murarze dowiedzieli się, co jedli, skamieniali, jakby tknięci paraliżem.

Szczątki syna z ojcem zostały wyłowione z gorącej wody. Nyzszli i jego współpracownicy wypreparowali szkielety, złożyli do kupy i włożyli do paczki. „Eksponaty” wysłano do Instytutu Badań Antropologicznych i Biologiczno-Rasowych w Berlinie. Podobnie jak setki

innych szkieletów. A także fragmentów ciał, ludzkich oczu, języków i organów wewnętrznych, które dr Mengele wycinał swoim ofiarom i topił w słoikach z parafiną.

Nyzszli zapamiętał go jako na wpół szaleńca, który obstawiony probówkami i mikroskopami, w zakrwawionym kitlu, z rękami całymi we krwi grzebał w swoich makabrycznych preparatach. Jednym z nich była głowa dziecka w słoiku, innym – wyprute z brzuchów ciężarnych matek embriony.

Nazywany „Aniołem Śmierci” dr Josef Mengele był najsłynniejszym niemieckim lekarzem, który przeprowadzał w Auschwitz eksperymenty medyczne. Najwięcej z nich dokonał na karłach i bliźniakach, których wyławiał z transportów i umieszczał w specjalnym baraku. W tym ostatnim przypadku chodziło o rozwikłanie sekretu ciąży mnogich i sprawienie, żeby wszystkie Niemki rodziły dwojaczki i trojaczki.

Uchyłam prześcieradło – pisał Nyzszli – leżą pod nim zwłoki dwuletnich bliźniąt. Tych dwoje małych bliźniaków umarło jednocześnie. Na wielkim stole sekcyjnym leżą ich ciała. Swoją śmiercią mają przyczynić się do rozwiązania tajemnicy rozmnażania.

Otrzymuję kolejne pary bliźniaków. Zdejmuję pokrywę czaszki. Wyjmuję mózg ze rdzeniem przedłużonym. Dokładnie oglądam. Następnie otwieram klatkę piersiową i wyjmuję mostek. Wydobywam język z przełykiem przez nacięcie pod żuchwą. Wyjmuję tchawicę i oba płaty płuc. Obmywam narzędzia celem dokładnego ich obejrzenia. Wszystko bardzo zakrwawione. Otwieram worek osierdziowy, zbieram zawarty w nim wysięk.

Wyjmuję serce. Pod bieżącą wodą zmywam krew. Obracam w dłoni. Na zewnętrznej stronie mięśnia lewej komory dostrzegam bladoczerwoną plamkę wielkości łebka od szpilki...

Tak, to był ślad po dosercowym zastrzyku z fenolem. Tak, z rozkazu

■ dr. Mengelego, uśmiercano dzieci.

Co ciekawe, między Mengelem a częścią bliźniaków wytworzyła się dziwna więź. Zdezorientowane, oderwane od rodziców dzieci były pełne zaufania do „doktora”. Mengele dbał bowiem o swoje ludzkie „króliki doświadczalne”. W baraku, w którym umieścił bliźnięta, panowały niezłe jak na Auschwitz warunki. Sam Mengele, gdy był w dobrym humorze, głąskał dzieci po głowach.

Co rano – wspominała Eva Mozes Kor – Mengele przychodził do naszego baraku na inspekcję. Uśmiechnięty, nazywał nas Meine Kinder, czyli swoimi dziećmi. Niektóre z bliźniaków go lubiły i zwracały się do niego „wujek Mengele”. Nie ja. Ja się go strasznie bałam.

Pani Eva i jej siostra Miriam dostały serię tajemniczych zastrzyków. W efekcie zakażenia tajemniczą chorobą zносиły katusze. Obie przeżyły cudem. Nerki Miriam nigdy już się jednak nie rozwinęły. Pozostały wielkości nerek 10-letniej dziewczynki. W efekcie kobieta zmarła wiele lat po wojnie na raka tych narządów.

Zdaniem Nysizlego eksperymenty i badania Mengelego nie miały żadnego sensu. Były „szaleństwem”, wytworem „chorego umysłu”. Po pierwsze nie były bowiem oparte na podstawach naukowych, ale na ideologicznej teorii „walki ras”. Po drugie cele, jakie stawiał sobie Mengele, były nieosiągalne. Nie da się przecież wyjaśnić tajemnicy mnogich ciąży za pomocą krojenia na kawałki bliźniaków.

Mengele był jednak święcie przekonany, że dzięki nieograniczonym możliwościom, jakie daje mu Auschwitz, dokona epokowych odkryć i przejdzie do światowej historii medycyny. Po zwycięskim zakończeniu wojny stanie się medyczną sławą, a jego eksponaty – umieszczone w instytu-

tach i muzeach Rzeszy – będą podziwiał wycieczki szkolne.

Jak wiadomo, stało się inaczej. Nazwisko Mengelego zostało splamione na wieki. Lekarz z Auschwitz został zapamiętany jako jeden z największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości. On sam nie poniósł odpowiedzialności za swoje diabelskie zbrodnie. Udało mu się uciec do Ameryki Południowej. W 1979 r. utopił się podczas kąpieli w oceanie.

Sterylizacja i kastracja

Mengele nie był jedynym lekarzem, który pastwił się nad pacjentami w KL Auschwitz. Przeróżających czynów dopuszczali się również Carl Clauberg i Horst Schumann. Oni z kolei pracowali nad opracowaniem skutecznej metody masowej sterylizacji i kastracji, która miała być nieodzownym elementem narodowosocjalistycznego programu eugeniki. Ludziom, którzy zostali uznani za „mało wartościowych”, chciano uniemożliwić dalsze przekazywanie „wadliwych genów”. I to w taki sposób, by ofiary tego nie zauważyły!

Clauberg wstrzykiwał rozmaite ciecze kobietom w macice i jajniki za pomocą 30-centymetrowej strzykawki. Skutkiem tego potwornie bolesnego zabiegu były nieludzkie cierpienia, które kończyły się śmiercią w komorze gazowej.

Z kolei to, co wyrabiał

Schumann, było istną makabrą. Złem w najczystszej postaci. Stosował on bowiem wobec więźniów metodę sterylizacji rentgenowskiej. Naświetlał potężną dawką promieniowania kobiece jajniki i męskie jądra. A po pewnym czasie, bez narkozy, wycinał popalone narządy. Do eksperymentów tych wybierał cał-

kowicie zdrowe młode kobiety i młodych mężczyzn.

Efekty były upiorne. Naświetlania były wykonywane w sposób niefachowy, byle jak. Promienie wypalały młodym kobietom olbrzymie dziury w brzuchach. Uszkodzeniu ulegały jelita. Ofiary eksperymentów wracały do baraków w „prerażającym stanie”, z rozległymi poparzeniami i ciekącymi ranami. Potem Schumann polecał usuwać jajniki polskiemu więźniowi-lekarzowi Władysławowi Deringowi. I w ten sposób pozyskiwał preparaty do badań dla Instytutu Medycyny Sądowej we Wrocławiu.

Pielęgniarki zaciągali kobiety siłą do sali operacyjnej – relacjonował świadek, dr Alina Brewda – przyzywali do stołu, który nachylali pod kątem 30 stopni, głową w dół. Doktor Dering wykonywał następnie kilka nacięć brzucha, otwierał otrzewną, wprowadzał szczypce, aby podnieść macicę, umieszczał kolejne szczypce między jajowodem a jajnikiem, wycinał go, a następnie umieszczał w pojemniku obok stołu. Następnie umieszczał zszywki, ale w szybki i brutalny sposób, zapominając je dobrze umocować, i nie pokrywał otrzewną kikutą jajowodu. Każda operacja nie trwała dłużej niż 10 minut. Między poszczególnymi operacjami nie myto ani nie sterylizowano narzędzi. Lekarz nie mył rąk. Młode kobiety były w pełni przytomne, mimo że znieczulone od pasa do stóp i całkowicie świadome przebiegu operacji.

Rola Władysława Deringa w całym procedurze do dziś budzi kontrowersje. Jedni uważają go za ofiarę, która nie miała wyboru, inni za zwyrodniałego oprawcę. Sytuację zdają się dobrze oddawać słowa, które sam Dering wypowiedział do jednego z więźniów, który próbował stawiać opór: „Jeśli ja ci nie utnę jaj, mnie utną mojej”.

Podczas kastracji mężczyzn stosowano ten sam schemat jak przy sterylizacji kobiet. Najpierw napromieniowanie, po którym jądra w straszliwy sposób puchły i pęczniały. Gniły, czerniały i ropiały. A potem amputacja napromieniowanych organów.

Aby sprawdzić efekt takiej „kuracji”, sanitariusze głęboko w odbyty ofiary wkładali kij pokryty gumą. I tak długo pocierali gruczoły, aż dochodziło do wytrysku nasienia. Spermę kierowano do badań. A ponieważ więźniowie znajdowali się w opłakanym stanie fizycznym, ta barbarzyńska, bolesna i upokarzająca procedura trwała często bardzo długo.

Nasze narządy płciowe umieszczono pod pewnym urządzeniem na 15 minut – zeznawał po wojnie pewien młody Polak. – Urządzenie to silnie nagrzało nasze



Josef Mengele

FOT. ARCHIWUM

organy i sąsiednie części ciała, które później szczyrniały. Kilka dni później organy płciowe większości moich towarzyszy zaczęły ropieć, a do tego mieli wielkie trudności z chodzeniem. Mimo to musieli pracować aż do utraty przytomności. Tych, którzy zemdleli, wysłano do komory gazowej. Wycięli nam dwa jądra. Mogłem obserwować całą operację w odbiciu w lampie chirurgicznej. Wybaczcie, jeśli płaczę. Czuję się bardzo przygnębiony i wstydzę się mojej kastracji. Najgorsze jest to, że nie widzę przed sobą żadnej przyszłości. Jem niewiele, a mimo tego mocno tyję.

Wszystkie ofiary sterylizacji i kastracji, które przeżyły Auschwitz, po wojnie borykały się z problemami fizycznymi i psychicznymi. Nie mogły mieć dzieci, nie miały pożycia intymnego, cierpiały na choroby organów płciowych – nowotwory i ropienia. Miały depresje, popełniały samobójstwa.

Jeden z więźniów, któremu wycięto lewe jądro, po wojnie zdołał założyć rodzinę. Urodziło mu się jednak chore dziecko.

Penis wielkości poniżej normy – czytamy w orzeczeniu lekarskim mężczyzny z 1954 r. – Prawe jądro wykazuje wyraźne osłabienie czynności, co pokazują badania laboratoryjne. W tym uszkodzeniu należy dopatrywać się przyczyny narodzin córki niedorozwiniętej umysłowo i psychicznie.

Dodatkowymi efektami ubocznymi było odwapnienie kręgosłupa i myśli samobójcze.

Ernst Klee w książce „Auschwitz. Medycyna III Rzeszy i jej ofiary” opisał przypadek Polaka, któremu w obozie wyluskano oba jądra. Po wojnie lekarz wszył mu do moszny imitację jąder z żywicy syntetycznej. A na poparzonego penisa przeszczepił skórę z ud. Chłopak otrzymywał silne dawki męskich hormonów, ale pozostał całkowitym impotentem.

Mimo leczenia nie udało się usunąć zwięzienia cewki moczowej – napisano w opinii lekarskiej z 1955 r. – Moc oddaje przez przetokę moczową w kroczu. Ponieważ ta przetoka źle funkcjonuje, profesor Abulker proponuje ponowną operację: chciałby przedłużyć ujście cewki do odbiciu.

Czytanie tych straszliwych, makabrycznych szczegółów nie jest łatwe, ale bez nich nie można zrozumieć tego, co robili niemieccy lekarze w Auschwitz. Czyli niewyobrażalnej krzywdy, jaką wyrządzali bliźnim. Ze skutkami tej krzywdy ofiary musiały się borykać jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny i wiele lat po upadku III Rzeszy. Ich dalsze życie stało się pasmem cierpień i udręk.

Eksperymenty te, podobnie jak doświadczenia Mengelego, nie miały

sensu. Po zamordowaniu i okaleczeniu setek więźniów lekarze z Auschwitz 29 kwietnia 1944 r. poinformowali Heinricha Himmlera, że ich badania zakończyły się fiaskiem. Okazało się, że sterylizacja chirurgiczna jest jednak „pewniejsza i szybsza” niż sterylizacja rentgenowska. Cały projekt od początku do końca był nie tylko okrutny, lecz także absurdalny.

Pokusa Auschwitz

W Auschwitz dokonywano jeszcze wielu eksperymentów medycznych. Więźniów podtruwano, wychładzano, narkotyzowano, poddawano elektrowstrząsom i znęcano się nad nimi na wiele innych sposobów. Wszystko pod płaszczykiem medycyny.

Nie robili tego wszystkiego gestapowcy czy kryminaliści, ale dyplomowani lekarze. Ludzie z dogłębnym wykształceniem naukowym, z dyplomami najlepszych austriackich i niemieckich uczelni. Ludzie, którzy składali przysięgę Hipokratesa.

Dlaczego ci doktorzy dopuszczali się tak straszliwych bestialstw? Dlaczego wyrzekli się swojego człowieczeństwa? Z reguły na to pytanie udziela się prostej odpowiedzi: bo byli fanatycznymi narodowymi socjalistami. Niestety to by było za proste, to tylko część wytłumaczenia.

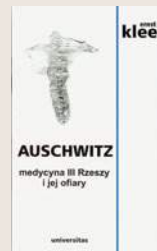
Ludobójczy system stworzony w Auschwitz, zgodnie z którym życie ludzkie było warte mniej niż splunięcie, dawał tym lekarzom niebywałą „okazję” i „szansę”. Dostęp do nieograniczonej ilości ludzkich „królików doświadczalnych”. Żywych pacjentów i ciał do przeprowadzania eksperymentów i sekcji.

Lekarze ci wierzyli, że dzięki temu będą mogli w krótkim czasie osiągnąć olbrzymie postępy w nauce, których osiągnięcia w normalnych warunkach zajęłoby długie lata żmudnych badań. A to z kolei otworzy im drogę do wielkiej kariery. Innymi słowy – Auschwitz oferowało im zawodową drogę na skróty. Kosztem życia i cierpienia tysięcy więźniów.

Niemieccy lekarze, którzy byli dobrzy mi ludźmi, nigdy nie ulegali tej pokusie. Potrafili się jej oprzeć. Wśród niemieckich lekarzy byli jednak również źli ludzie. I oni w Auschwitz stali się panami życia i śmierci. Ludzkimi potworami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PIĘĆ KSIĄŻEK O EKSPERYMENTACH W AUSCHWITZ



ERNST KLEE

„AUSCHWITZ. MEDYCYNĄ III RZESZY I JEJ OFIARY”

UNIVERSITAS

Klasyk monografii wybitnego niemieckiego historyka. Oparta na szerokim materiale źródłowym. Klee ukazuje upiorne skutki ideologizacji części środowiska lekarskiego III Rzeszy, które uwierzyło w „walkę ras”.



MIKLÓS NYISZLI

„BYŁEM ASYSTENTEM DOKTORA MENGELE”

FRAP-BOOKS

Szukająca relacja żydowskiego lekarza, któremu dr Mengele uratował życie na rampie Auschwitz. Cena za uratowanie życia była jednak bardzo wysoka.



MANUEL MOROS PEÑA

„LEKARZE HITLERA”

RM

Popularnonaukowa książka o niemieckich lekarzach-mordercach. Jej atutem są obszerne cytaty z powojennych dokumentów sądowych, relacji świadków i ocalałych. Ich lektura mrozi krew w żyłach.



EVA MOZES KOR

„PRZETRWAŁAM. ŻYCIE OFIARY JOSEFA MENGELE”

PRÓSZYŃSKI I S-KA

Wstrząsająca opowieść małej dziewczynki, która wraz z siostrą bliźniaczką dostała się do Auschwitz. Prosto w ręce diabelskiego dr. Mengelego. W środku przejmujące opisy eksperymentów na dzieciach.



HANS JOACHIM LANG

„KOBIEТЫ Z BLOKU 10”

MARGINESY

Historia więźniarek, które trafiły do bloku 10 w Auschwitz. I tam zostały w bestialski sposób wysterylizowane przez psychopatów w białych kitlach.

(p.z.)

/ „Verfluchte Schweine, raus, raus!”. To były pierwsze słowa, jakie usłyszałam po przybyciu do obozu – opowiada pani Bronisława Horowitz-Karakulska

Nigdy nie zapomnę tego zapachu. Czasami wydaje mi się, że nadal mam go w nozdrzach. Wciąż go czuję. Gęsty dym z komina krematorium. Smród palonych ciał. Ludzkich ciał.

Widziałam. Widziałam, jak pędzono więźniów z placu apelowego. Szli ze spuszczonej głowami. Niemcy prowadzili ich do tzw. sauny. Okłamywali ich, że idą pod prysznic, ale zamiast ciepłej wody puszczali gaz. Zabójczy cyklon B.

W komorach gazowych ludzie byli straszliwie stłoczeni. Gdy umierali, jeden człowiek leżał na drugim. Kiedy było już po wszystkim, do

środku wchodził człowiek, który taczkami wywoził ciała do pieców krematoryjnych. To była fabryka śmierci. Auschwitz.

Dym nad krematorium unosił się 24 godziny na dobę. Ludzi mordowano tysiącami.

Zdarzali się odważni więźniowie. Rzucali się na druty pod napięciem, żeby w ten sposób szybko zginąć. Byle nie dać się zagazować, zamknąć w komorze. Chcieli sami wybrać moment śmierci.

Wszyscy wiedzieliśmy, że prędzej czy później, w taki czy inny sposób stracimy życie. I trafimy do krematorium. Auschwitz było miejscem, z którego żywym się nie wychodziło. Każdy dzień przeżyty w obozie był cudem. Cudem było to, że człowiek rano otwierał oczy. Wstawał i żył. Tylko – jak długo jeszcze?



ANNA HERBICH
„DZIEWCZYN Y OCALAŁE”

ZNAK

kryć. A pasiaki były cienkie. Nie mieliśmy żadnych skarpetek, pończoch, rajstop. Nic. Gołe stopy, na które wkładaliśmy drewniane buty. Do tego odsłonięte głowy. Pora roku nie odgrywała roli. Czy była zima, czy lato, wiosna czy jesień – więźniowie zawsze byli tak samo ubrani.

Spaliśmy w barakach. Było w nich przeobraźliwie zimno. Prycze były twarde. Bolała od nich każda kość. Nie mieliśmy się czym przy-

Byliśmy na wpół zamrożeni. Fizycznie i duchowo. Obóz pozbawiał człowieka jakichkolwiek ciepłych uczuć wobec bliźnich. Liczyło się tylko własne przeżycie. Jedynie najbliżsi starali się trzymać razem, okazywać sobie dobroć. Wspierać się. Ale cierpienia obcych wzbudzały w więźniach tylko obojętność. Czy można ich za to winić? Byli udręczeni, zagłodzeni. Na każdym kroku bici, kopani, upokarzani. To obóz pozbawił ich człowieczeństwa. Tego, co widziałam w Auschwitz, nie da

Świadek historii /

Byłam w

Fragment „Dziewczyn ocalałych”

Auschwitz



zapomnieć. Minęło już przecież tyle lat, a ja wszystko pamiętam...

Auschwitz to była inna planeta. Ani jednego drzewa. Ani jednego zielonego listka. Nic. Tylko goła, czarna, zaorana ziemia wokół drutów kolczastych. Nawet ptaki do nas nie dolatywały. Czuły grozę tego miejsca. Za każdym razem, kiedy wracam do Auschwitz – na przykład na uroczystości rocznicowe – czuję ucisk w żołądku.

Od kilkudziesięciu lat przed pójściem spać muszę brać proszki nasenne. Inaczej

nie zasnę. Wszystko do mnie wraca. Wspomnienia ożywają, sceny z obozu śnią mi się po nocach. I tak już będzie zawsze.

Getto i KL Płaszów

Urodziłam się w Krakowie. Tu spędziłam dzieciństwo, prawie całą wojnę i tu mieszkam do dziś. Moi rodzice nazywali się Dawid i Regina Horowitzowie. Z dzieciństwa pamiętam bardzo niewiele. Kil-

ka chwil, które wyjątkowo mocno wryły się w pamięć dziecka, parę przedmiotów przypominających mi dom rodzinny.

Potem wybuchła wojna, a my trafiliśmy do getta. Po likwidacji zamkniętej dzielnicy, w marcu 1943 r., trafiliśmy do położonego na obrzeżach Krakowa obozu pracy przymusowej w Płaszowie. W trakcie pobytu w getcie myśleliśmy, że na całym świecie nie ma gorszego miejsca niż to, w którym się znaleźliśmy. Myliliśmy się.

Już w momencie, gdy wjeżdżaliśmy do KL Płaszów, byłam świadkiem egzekucji. Strażnicy wieszali akurat na szubienicy jakiegoś nieszczęsnego mężczyznę. Potem dowiedziałam się, że był to mój daleki krewny. A przecież to był dopiero początek. Najgorsze było jeszcze przede mną.

Każdego dnia w Płaszowie odbywały się trzy apele, na których Niemcy dokonywali selekcji. Wyciągali z szeregów Żydów niezdatnych do pracy i wysyłali ich na śmierć. Podczas takich selekcji wybierali często dzieci, które uznawali za „bezużyteczne” dla gospodarki wojennej III Rzeszy.

Dochoodziło do niewyobrażalnie okrutnych scen. Niemcy potrafili rzucać dziećmi o betonowe słupy... Mama straszliwie się bała, że mnie z nią rozdzieli. Że spotka mnie taki los. Dlatego w trakcie każdego apelu stawiała mnie na moich drewnianych chodakach, żebym wyglądała na wyższą. I malowała mi na policzkach rumieńce za pomocą łupin buraków wyciąganych z kontenerów na śmieci. Chodziło o to, żebym wyglądała na do- roślejszą, niż byłam – rumianą, zdrową, zdatną do pracy młodą dziewczynę. A nie na słabe, bezradne dziecko.

W Płaszowie mieszkaliśmy razem z mamą, babcią i ciocią w baraku kobiecym. A tata z moim bratem Rysiem w baraku męskim i tam go ukrywał, chował przed każdą selekcją. Ja zawdzięczam więc życie mamie, a mój brat – tacie.

W obozie pracowałam w wytwórni szczotek. Paradoksalnie było to najbezpieczniejsze miejsce. Niemcy się tam prawie nie pokazywali. Za to praca była koszmarnie ciężka. Przerwa? Jaka przerwa? Pracowaliśmy non stop. Dwanaście godzin, a może i więcej. Niemcy nie mieli dla nas żadnej litości. Dla nich liczyła się tylko produktywność.

Wytwórnia szczotek mieściła się w drewnianym baraku. W jednej ze ścian była dziura po sęku, czasem przez nią

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

■ wyglądałam. Widziałam przez tę dziurę rzeczy upiorne, horrendalne. Nieopodal obozowych warsztatów znajdowała się bowiem tzw. Hujowa Górka. Czyli wzniesienie, przepołowione wielkim rowem. Tak głębokim, żeby pomieścić setki ludzkich ciał. To właśnie tam Niemcy dokonywali egzekucji Żydów. Nie tylko więźniów KL Płaszów.

Widziałam, jak pod tę górkę całymi sznurami podjeżdżały ciężarówki. Strażnicy wyprowadzali z nich Żydów pochodzących z połowy okupowanej Europy. Ci ludzie trzymali w rękach walizeczki, neseserki, torby. Za ręce trzymali małe dzieci. Mamy poprawiały córeczkom kokardy we włosach. Otrząpywały dziecięce płaszczyki z kurzu podróży.

Pięć minut później rozległa się ogłuszająca karabinowa palba i wszyscy ci ludzie lądowali w rowie... Mężczyźni, kobiety, dzieci. Rozstrzelani. Zgładzeni.

Tak, wszystko to widziałam przez dziurę po sęku podczas robienia szczotek...

Dzień pracy zaczynaliśmy bardzo wczesnym rankiem. Nie pamiętam już o której, ale bardzo wcześnie. O szóstej rano był apel. Bez względu na pogodę i porę roku – czy był mróz, czy prażyło słońce, ludzie stali na zewnątrz w samych pasiakach. Z ogolonymi głowami, skuleni, przerażeni. Bo przecież z apelu można było trafić prosto na Hujową Górkę...

Stałam więc na tych apelach w drewnianych szpiczastych chodakach, co najmniej o trzy numery za dużych. Wyglądałam jak suchotnica. Przecież ja po wyjściu z obozu ważyłam dwadzieścia cztery kilo! A mama – trzydzieści sześć.

W Płaszowie chorowałam na dur brzuszny, czyli tyfus. Mama bała się, czy przez to nie zakatują mnie strażnicy. Bo chorych więźniów Niemcy często bezlitośnie bili pejcami. „Dwadzieścia pięć na dupę – jak to się wtedy mówiło. – Za karę, że zachorowałaś”. Ludzie byli tak wyczerpani, że te dwadzieścia pięć razów było często śmiertelne. Na szczęście jakoś mnie to ominęło.

Byliśmy pod nadzorem SS-Aufseherin, czyli – jak je nazywaliśmy – aufzejerki. Były to niemieckie strażniczki, które pełniły służbę w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Okropne baby. – Schweine! Raus! – tak się na nas darły.

Traktowały nas gorzej niż zwierzęta.

Lista Schindlera

Niemiecki przemysłowiec Oskar Schindler zawarł z komendantem obozu Amonem Göthem umowę o przekazanie mu 1,2 tys. żydowskich pracowników z KL Płaszów. Mieli przeprowadzić się do podobozu przylegającego do kierowanej przez Schindlera fabryki Emalia. Tam byli mniej narażeni na szykany i rabunek

ze strony strażników obozu głównego. A co za tym idzie – mieli większe szanse na przeżycie wojny. Miałam szczęście – znalazłam się w tej grupie.

W fabryce Emalia wyrabialiśmy garnki. Ja pracowałam przy ich czyszczeniu i polerowaniu. Kiedy Oskar Schindler przechodził obok, zawsze głaskał mnie po głowie. Wchodząc na halę fabryczną, zapalał papierosa, a zaraz potem rzucał go na ziemię, żeby któryś z pracowników mógł go sobie wziąć. Palenie tytoniu ratowało ludzi przed uczuciem głodu. Głód doprowadzał ludzi w obozie do szaleństwa. Tam przecież matka córce, a siostra siostrze potrafiła wykraść ostatni, nędzny kawałek chleba spod poduszki.

W urodziny Oskara Schindlera wydelegowano mnie do wręczenia mu tortu z chleba, który przygotowali więźniowie. To wszystko, co mogliśmy mu dać, by okazać naszą wdzięczność. Na tym torcie płonęła jedna świeczka. Schindler był tak wzruszony, że pocałował mnie w skroń.

Kiedy w 1944 r. do Krakowa zaczął się zbliżać front wschodni, Niemcy przystąpili do likwidowania niektórych obozów i więzień. Oskar Schindler postanowił wówczas ewakuować swoją fabrykę na Zachód, do Brünnlitz w Protektoracie Czech i Moraw. Razem z całym personelem. W sumie ok. 1,2 tys. osób.

Załadowano nas do pociągu. I od razu zaczęły się dział niepokojące rzeczy. Zostaliśmy straszliwie ściśnięci w bydłych wagonach. Niemal nie dało się oddychać, nie dawali nam nic do jedzenia, nic do picia. Nie było toalet – ludzie załatwiali swoje potrzeby na podłogę wagonów. Tam, gdzie stali. Koszmar. A na koniec okazało się, że z jakiegoś powodu, bez wiedzy Schindlera, zamiast do Brünnlitz przywieźli nas do KL Auschwitz. Do obozu Zagłady... Na rampie ujadające psy wartownicze i pełno Niemców.

– Verfluchte Schweine, raus, raus! – rykli na nas z wściekłością.

To były pierwsze słowa, które usłyszeliśmy w Auschwitz. A potem mieliśmy je słyszeć już codziennie. Ludzie po wyjściu z transportu byli przerażeni, zdezorientowani. Dzieci płakały, kobiety szlochały. Działy się tam dantejskie sceny.

Auschwitz przeżyłam cudem. Dwukrotnie odstawiano mnie do komory gazowej. Za pierwszym razem uratowała mnie mama. Przekupiła aufzejerkę brylantem, który udało jej się przemycić do obozu. Ta strażniczka nazywała się Alice



Główna brama wejściowa do obozu Auschwitz FOT. ARCHIWUM

Orłowski. Wysoka blondynka, w furażerce, umundurowana. Postrach kobiet osadzonych w Auschwitz. Wszystkie więźniarki się przed nią trzęsły, wszystkie się jej bały. Orłowski nie rozstawała się ze skórzanym pejcem.

Takim, którym smaga się po zadach konie, tylko dwa razy grubszym. Gdy ktoś jej podpadł, waliła gdzie popadnie. Robiła z ludźmi, co chciała.

Razem z innymi aufzejerkami z Auschwitz w 1947 r. zasiadła na ławie oskarżonych w pierwszym procesie oświęcimskim w Krakowie. Dostała 15 lat więzienia za pastwienie się nad więźniami.

Na szczęście Orłowski była chciwa. Kiedy dostała brylant, wyciągnęła mnie z grupy ludzi przeznaczonej do krematorium. Jak mamie udało się tak długo przechować szlachetny kamień? Ukrywała go w sobie. Połykała go i wydalala. I tak w kółko. Gdyby próbowała go schować w ubraniu lub pryczy, znalazłoby go podczas którejś z rewizji.

Za drugim razem, kiedy skazano mnie na śmierć, ciocia – która również przybyła z nami w transporcie do Auschwitz – uprosiła jakąś aufzejerkę, żeby pozwoliła mnie ukryć. Wsadzono mnie do miedzianego pieca węglowego w saunie, który był na dnie oczyszczony z popiołu. Wepchnięto mnie do niego od góry. Byłam tak chuda, że bez problemu się w nim zmieściłam. Przesiedziałam w tym piecu trzy i pół godziny. Wyciągnięto mnie z niego półprzytomną dopiero wtedy, gdy zakończyła się selekcja. Znowu się uratowałam.

Sauna to było jedno z największych upokorzeń obozowych. Gołe, ogolone, bezradne kobiety stały słoczone, oczekując na uduszenie gazem. Albo skierowanie na straszliwe eksperymenty naukowe. Człowiek nigdy do końca nie wiedział, co go czeka.

Kobiety były całkowicie nagie. Młode, stare, w średnim wieku. Z małymi piersiami, z dużymi piersiami, wiszącymi piersiami. Piękne i brzydkie. Wszystkie – przerażone. Stały tak na oczach strażników, którzy bez skrupowania im się przyglądali. Niebawem upokorzenie. Tym więźniarkom, które miały akurat



Bronisława Horowitz z rodzicami i bratem

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

menstruację, krew spływała po nogach. Niemcy dawali kobietom tabletki zatrzymujące okres, ale najwyraźniej nie zawsze działały. A może nie wszystkie więźniarki je połykały? Nie wiem.

I ja o mały włos nie zostałam z takiej sauny wzięta do gazu. W ostatniej chwili wyciągnęła mnie stamtąd ta aufzejerka, którą mama przekupiła brylantem. W Auschwitz cały czas się bałam. Łaziły po mnie wszy. Miałam tyfus, związane z tym bóle. Chodziłam stale głodna. Kawa, którą nam dawano, nie nadawała się do picia. Była koloru mietowego. Do tego marmolada z buraków i trzysta gramów czarnego chleba. Na obiad litr nędznej zupy – pływał w niej kawałek ziemniaka, brukwi albo trochę kaszy.

– Litra wody cztery krupy, taki obiad jest do dupy – mówili o tych „posiłkach” więźniowie.

Ludzie marzyli o rosole z makaronem, o torcie z orzechami. O tym, co jedli, zanim zaczął się ten cały koszmar. Niestety ci najbardziej wygłodzeni po wojnie bardzo szybko umierali. Z przejedzenia. Po wyzwoleniu rzucali się na jedzenie. Przyzwyczajony do poszczenia żołądek nie wytrzymał takiego obciążenia.

Podczas jednych obchodów wyzwolenia Auschwitz pewna młoda dziewczyna zapytała mnie, czy w trakcie pobytu w obozach modliłam się do jakiegoś świętego. Czy szukałam w Bogu, w mo-

dlitwie wsparcia? Ucieczki od koszarnej codzienności? Odpowiedziałam, że nie. Jestem niewierząca, podobnie jak 95 proc. ocalałych z Auschwitz. My nie wierzyliśmy w nikogo. Ani w Boga, ani w Matkę Boską, ani w żadnego świętego. Bo gdyby Bóg rzeczywiście istniał – czy mógłby na to pozwolić? W trakcie wojny unosiliśmy ręce do nieba z bezsilności.

– Boże, ty jesteś tam na górze i nie widzisz, co się tutaj dzieje z ludźmi? Ratuj!

Ale Bóg nas z Auschwitz nie uratował. Uratował nas człowiek – Oskar Schindler. Po kilku tygodniach odnalazł nas i wyciągnął z obozu. Niestety, nie był w stanie wydestakować wszystkich swoich robotników. W Auschwitz

zostali między innymi mój tata i Rysio. Rozdzielono naszą rodzinę. Baliśmy się, że to już na zawsze. Że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Transport z Auschwitz dotarł do obozu pracy w Brünnlitz. Tam nieco odetchnęliśmy. Przede wszystkim w Brünnlitz dawano lepsze jedzenie. Dokarmiała nas zresztą żona Schindlera. Były tam też długie koryta, w których można było się umyć w zimnej wodzie. To oczywiście żadne luksusy, ale warunki były znacznie lepsze niż w Auschwitz czy w Płaszowie. W Brünnlitz doczekaliśmy z mamą wyzwolenia. Odbyło się to bardzo zwyczajnie. Pewnego dnia do obozu przyjechał jakiś Rosjanin w mundurze i powiedział, że okupacja dobiegła końca. Niemcy się wycofali, jesteśmy wolni.

A więc udało się. Przeżyliśmy. Było to zasługą Oskara Schindlera. Gdyby nie on – wszyscy zginęlibyśmy w KL Płaszów lub w Auschwitz. Ocaleni robotnicy zrobili na pamiątkę dla swojego wybawcy pierścien ze stopionych złotych zębów. Niektórym udało się je zachować. Kto miał – wyrwał i oddawał.

Przed nami otworzyła się brama obozowa i każdy poszedł w swoim kierunku. My oczywiście wróciliśmy do Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment opowieści pani Bronisławy Horowitz-Karakulskiej pochodzi z nowej książki Anny Herbach „Dziewczyny ocalałe” (premiera: 29 stycznia 2020 r.).

Proces katów / Szokujące opowieści byłych więźniów i strażników



Frankfurcki proces załogi
Auschwitz FOT. AP/EAST NEWS

Ocalali z piekła mówią

W latach 1963–1965 we Frankfurcie nad Menem odbył się proces esesmanów służących w Auschwitz. Na ławie oskarżonych zasiadło 22 mężczyzn (w tym jeden kapo). Dziewiętnastu z nich skazano, w tym kilku na karę dożywocia. Trzech uniewinniono. Poniżej zamieszczamy fragmenty zeznań z Sali sądowej.

Przydzielono mnie do noszenia zwłok. W ten sposób stałem się świadkiem pierwszego zagazowania w bloku 11. Musieliśmy wynieść stamtąd zwłoki. To był mako-

bryczny widok. Widziałem ludzi, którzy w zaciśniętych pięściach bardzo silnie trzymali włosy, które wyrwali sobie lub innym. Widziałem także palce, które były całe obgryzione. Strzępy skóry zmarłych pozostawały w naszych rękach. Tego obrazu nie da się dokładnie zapisać ani nigdy zapomnieć.

Czesław Głowacki (świadek)

Nadszedł transport z Białorusi albo Ukrainy. Transport ten był 10 albo 12 dni w drodze. Żyła tylko jedna dziewczynka – miała może siedem lat – leżała w objęciach swojego martwego ojca. Dziewczynka ta razem z ciałami [wydobytymi z wagonów] pojechała do krematorium. Tam Moll rozewał ją na pół.

Simon Gotland (świadek)

Szef krematoriów Moll odebrał dziecko matce. Wrzucił to dziecko do gotującego się tłuszczu z trupów, który gromadził się w rowach wokół dołu, i powiedział do swojego kalefaktora: „Teraz najem się do syta, spełniłem swój obowiązek”.

Filip Müller (świadek)

Zagazowanie Cyganów było dla mnie najstraszniejszą rzeczą. Blockeführerzy opowiadali mi potem, że małe dzieci zabijano, uderzając ich głowami o ścianę lub drzewo.

Hermann Diamanski (świadek)

Pewnego razu esesman pozwolił sobie na następujący żart z nami: wszyscy mieliśmy ustawić się przy dole

służącym za latrynę. Rozkazał nam skoczyć do niej i powiedzieć: „Kto skoczy jako ostatni, dostanie ode mnie kulkę”. Wszyscy skoczyliśmy w ten kał. Kiedy chciałem pomóc podnieść się starszemu człowiekowi, esesman uderzył mnie szuflą po rękach. Potem bił trzonkiem szuflki tego starego człowieka po głowie i zanurzył go, aż się udusił.

Willi Leeuwarden (świadek)

Z całej siły kopali go obcasami w klatkę piersiową. Słyszałem odgłosy łamanych kości. Kopali go tak długo, aż przestał wydawać oznaki życia. To jest jedno z moich najgorszych wspomnień z Auschwitz.

Friedrich Skrein (świadek)

Jedna z kobiet nie chciała zdjąć biustonosza. Kaduk zerwał go z niej. Przy okazji opowiedział pozostałym, jak to jest przyjemnie, kiedy wpędza się nagie kobiety do komory gazowej i oblapuje je przy tym za piersi. Kaduk był z nich najgorszy. Głowami więźniów bawił się jak piłką do boksowania.

Friedrich Skrein (świadek)

To było latem 1942 r. Komenda: „Zdjść czapki!”. Zdjeli je za wolno. Kaduk wpadł w wielką wściekłość. Wziął stalowy pręt ze stołu do pracy i tak silnie uderzył jednego, że jego głowa była prawie rozpołowiona. Temu drugiemu – Żydowi – kazał położyć się. Kaduk położył mu ten zakrwawiony pręt na szyi i stanął na jednym jego końcu. Inny więzień stanął na drugim. W taki sposób uduszono tego człowieka. Proszę o krople na uspokojenie, trzęsę się cały w środku. Dostaję załamania nerwowego, jak tylko słyszę nazwisko Kaduk.

Józef Kral (świadek)

Bardzo dobrze. To, że dzisiaj jestem prawie głuchy na jedno ucho, zawdzięczam Kadukowi. Na początku bił pięściami, potem kazał mi przełożyć się przez stół i bił bykowcem. Potem Kaduk zapytał mnie, skąd pochodzę. Powiedziałem, że z Warszawy. Na to on wrzasnął: „Już my was znamy panowie bandyci z Warszawy!”. W tym czasie trwało powstanie warszawskie. Zaczął mnie bić na nowo. Po jednym z ciosów w lewe ucho zacząłem krwawić.

Witold Nieciński (świadek)

Nasze komando miało zbiórkę do powrotu. Razem z nami stanął chłopiec, który miał może 10, 11 lat. Kaduk zapytał: „Co to za chłopiec?”. Ten chłopiec przyszedł do nas, gdy grupa 50 ludzi została zaprowadzona do krematorium na rozstrzelanie. Ludzie szli do gazu tylko wtedy, gdy była ich większa ilość. Ten chłopiec przyszedł z tej grupy i dołączył do nas. Kaduk wziął go za rękę, rozmawiał z nim, uspokajał, zaprowadził do dołu i tam go zastrzelił.

Milton Buki (świadek)

Zostałem zawołany do wartowni. Byli tam Kaduk i jakaś brzydka kobieta. Kaduk rozkazał mi zbadać tę

kobietę. Zapytał przy tym: „Jak długo ta kurwa będzie jeszcze żyła?”. Zbadałem tę kobietę. Później okazało się, że to była jego żona.

Doktor Władysław Fejkiel (świadek)

Obok tego bloku składano zwłoki w szeregu, który był długi jak sam blok i mniej więcej wysoki na metr. Zwłoki te były obgryzane przez szczury. Zwierzęta te nadgryzały kobiety, które były nieprzytomne. Widziałam, jak nagim kandydatkom na śmierć wyrivano koce, mówiąc do nich: „Ty go już nie potrzebujesz!”.

Ella Lingens (świadek)

– Kiedy został pan wysterylizowany?
– 4 stycznia 1945 r.
– Czy wysterylizowano z panem także innych?
– Każdego dnia sterylizowano sześciu Cyganów w obozie dla mężczyzn.
– Czy doktor Lucas był jedynym lekarzem?
– Doktor Clauberg był w obozie dla kobiet. On wysterylizował moją żonę.

– W aktach znajdują się zeznania innego świadka, który został 10 stycznia 1945 r. wysterylizowany przez doktora Lucasa. Zabieg przeprowadzony został bez znieczulenia. Kiedy świadek krzyczał, doktor Lucas wrzasnął na niego: „Bądź cicho, świnio!”.

Rozmowa pełnomocnika oskarżenia
posiłkowego ze świadkiem



HERMANN LANGBEIN
„AUSCHWITZ PRZED SĄDEM.
PROCES WE FRANKFURCIE
NAD MENEM 1963–1965”

IPN

– W które miejsca szprycowano?
– W tamtym czasie w okolice ramienia.
– Jaki był tego skutek?
– Szpryca nie była jeszcze pusta, a ten człowiek nie żył. Trudno było jednak trafić w żyły i lekarz SS wpadł na pomysł, aby fenol wstrzykiwać bezpośrednio do komory serca.

– ...
– Zwykle szprycowano dwa razy w tygodniu, za każdym razem około 12 do 15 ludzi. Tak było przez okres od dwóch do trzech miesięcy.

– To daje to co najmniej 192 ludzi.
– Tak, mogło ich być od 250 do 300.
– Tych, którzy zginęli z pańskiej ręki?
– Na rozkaz, oczywiście.
– W jaki sposób zabił pan tych więźniów?
– Wymacywałem między żebrami serce. Kandydaci na śmierć byli pojedynczo wprowadzani do pokoju zastrzyków i sadzani na stołku, tak że później zapadali

się w sobie, nie spadając na podłogę. Potem zabierano ich do kostnicy, a stamtąd do krematorium.

Rozmowa sędziego z oskarżonym
Josephem Klehrem

– Ilu ludzi zabił Klehr w pana obecności?
– Mogło ich być nawet od 700 do 1000. 29 września 1942 r. Klehr na moich oczach zabił mojego ojca.
– Proszę opowiedzieć o tym zdarzeniu, nawet gdyby to było trudne dla pana.
– Proszę o chwilę przerwy. Do pokoju wprowadzono dwóch naraz. Jednym z nich był mój ojciec. Klehr powiedział: „Proszę usiąść, dostaniecie zastrzyk przeciw tyfusowi”. Zaczęłem płakać. Zrobił zastrzyk mojemu ojcu, a ja zaniósłem go do umywalni. Tydzień później zapytał mnie, dlaczego nie powiedziałem, że to był mój ojciec, wtedy by go nie zabił. Bałem się, że wtedy powie, że mam usiąść obok. Często do pokoju przyprowadzano dwóch do szprycowania. Klehr spieszył się, aby wyjść. Na podwórzu hodował króliki i kiedy chciał pójść do tych królików, szprycował szybciej.

Rozmowa sędziego ze świadkiem
Janem Weisssem

Ja byłem w Auschwitz. Tam zabito tysiące ludzi. Powiedziano nam, że takie jest prawo, że tak trzeba. Że trzeba zagazowywać. Powiedziano nam, że zagłada Żydów jest konieczna. Pytaliśmy: „Co ci ludzie zrobili?”. Powiedziano nam, że zatruli studnie i uprawiali sabotaż. Powiedziano nam, że wszystko, co zrobił Hitler, jest prawem. Dzisiaj wszystko, co wydarzyło się w Auschwitz, jest bezprawiem. Wykonywałem tylko rozkazy. Rozkazy były święte. Jeżeli przełożony powiedział: „To jest czarne”, to było to czarne, choćby było białe. Nikogo nie zabiłem.

Ostatnie słowo oskarżonego
Stefana Baretzkiego (dożywocie)

Przyznaję, że w Auschwitz wydarzyła się wielka zbrodnia. Ale to nie nasza wina. Tu trzeba drążyć do korzeni. Teraz to my jesteśmy głównymi winowajcami i mordercami. Reporterzy piszą: mordercy, mordercy, mordercy. Nasi najbliżsi spotykają się z pogardą. W nasze okna rzucają kamienie. A panowie, którzy nas rzeczywiście wturczyli w to nieszczęście [rozkazodawcy], większość z nich jest teraz na wolności. Ale to właśnie my siedzimy na ławie oskarżonych i to strasznie boli.

Ostatnie słowo oskarżonego
Oswalda Kaduka (dożywocie)

Podczas panowania rządów narodowosocjalistycznych istniał dla mnie tylko jeden punkt widzenia: wykonywanie rozkazów bez żadnych ograniczeń. Dzisiaj dostrzegam, że idea, którą wyznawałem, przyniosła zniszczenie i była zła.

Ostatnie słowo oskarżonego
Wilhelma Bogera (dożywocie)

wybór (p.z.)



Piotr Zychowicz

Komunizm /

Zajęcie Auschwitz przez Armię Czerwoną wcale nie wyglądało tak, jak przedstawiała to propaganda. Na terenie obozu NKWD utworzyła własne lagry

26 stycznia 1945 r. obozem wstrząsnęła potężna eksplozja. Nad zaśnięzonymi dachami baraków i wieżyczkami strażniczymi zawisł wielki grzyb gęstego, szarego pyłu. Wiatr powoli rozwiął dym, odsłaniając zięjący w ziemi krater. To niemieccy saperzy wysadzili w powietrze krematorium numer V, ostatnią spalarnię ludzkich ciał Auschwitz-Birkenau.

W obozie było już wówczas zaledwie kilka tysięcy więźniów. Resztę – w ramach chaotycznej ewakuacji – strażnicy z SS popędzili na Zachód w przerażających, ludobójczych marszach śmierci. Niemcy spalili dokumenty obozowej kancelarii, których popioły zalegały teraz na obozowych uliczkach. Tliły się jeszcze magazyny ze zrabowanym więźniom mieniem.

Wszystko to miało na celu zatarcie śladów dokonanego w Auschwitz straszliwego ludobójstwa. Zagłady miliona ludzi. Również ostatni więźniowie – w zamyśle komendy obozu – mieli zostać zgładzeni. Bolszewicka ofensywa parła jednak naprzód zbyt szybko. Nazajutrz, 27 stycznia 1945 r., obozową bramę przekroczyli pierwsi żołnierze 1. Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej.

Świadkowie mówią

Równo 10 lat temu – w styczniu 2010 r. – miałem zaszczyt rozmawiać z byłymi więźniami Auschwitz, którzy byli w obozie do końca. To, czego byli świadkami

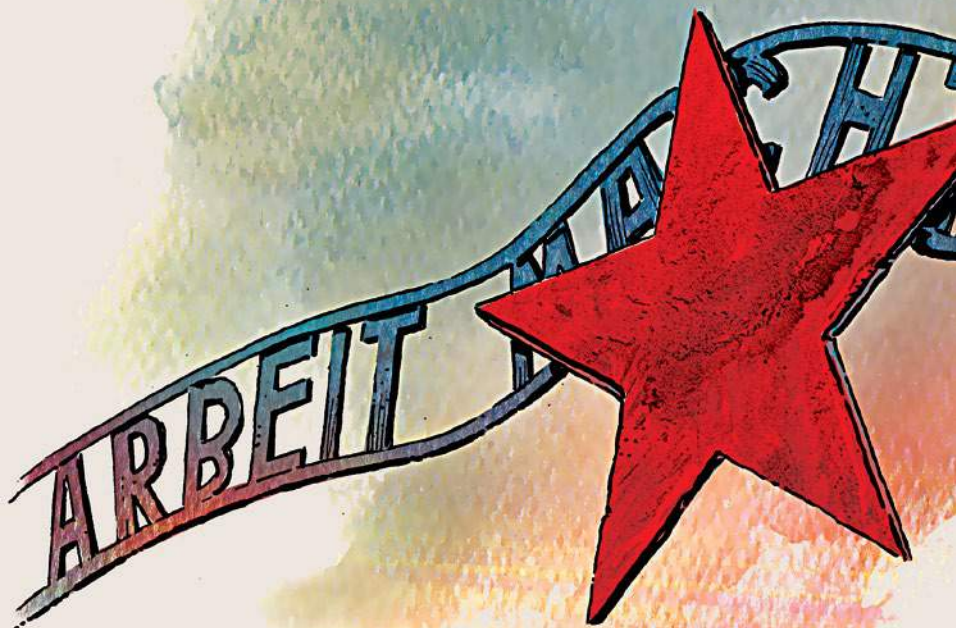
ci dzielni ludzie, odbiegało od propagandowej wizji wyzwolenia Auschwitz, lansowanej później przez sowiecką propagandę. Bolszewicy wcale nie wkroczyli do obozu z rozwiniętymi sztandarami i w akompaniamencie fanfar.

– Jak zapamiętałam tamten dzień? Byłam straszliwie głodna i było mi bardzo zimno. Szukałam w opuszczonych barakach jedzenia – opowiadała pani Hanna Wardak (numer 86760), która do Auschwitz została wywieziona w trakcie Powstania Warszawskiego. Miała wówczas siedem lat. – Sowietci? Widziałam ich dwóch. Szli z jakimiś sznurami i, przechodząc obok mnie i innych dzieci, nawet

na nas nie spojrzeli. Nie dali nam nic do jedzenia, nie pomogli – opowiada.

Wraz z innymi dziewczynkami pani Wardak zbiła z kilku desek prowizoryczne sanki dla najmłodszych dzieci i całą grupą wyszli z obozu. W nieznaną. Byle dalej od drutów kolczastych, baraków, głodu i śmierci.

– Znaleźliśmy się na drodze. Było potwornie zimno. Grzęźliśmy w śniegu. Pamiętam, że mijaliśmy kolumnę sowieckich czołgów. Znowu całkowita obojętność. Pomocy udzielili nam dopiero Polacy, gdy doszliśmy do jakiejś miejscowości – wspominała po latach swoje przeżycia.



Sowieci w

Obojętność wyzwolicieli



Rzucaliśmy się na nie, wydlubaliśmy z zasp i ogryzaliśmy – relacjonowała Kazimiera Wasiak.

Podobnie jak pani Wardak wraz z innymi dziećmi przeszła przez przecięte przez bolszewików druty i udała się po pomoc w stronę najbliższych polskich wiosek. Czy pani Wasiak uważa Sowieców za swoich dobroczyńców i wyzwolicieli? A może prąca w stronę Berlina Armia Czerwona wyzwoliła KL Auschwitz „przy okazji”, a co za tym idzie – nie ma powodu, aby okazywać jej specjalną wdzięczność?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. – Nie ulega wątpliwości, że zawdzięczam Sowiecom wszystko – mówiła pani Wasiak. – Gdyby nie oni, nie rozmawiałabym teraz z panem. Więźniom Auschwitz oni naprawdę przynieśli wyzwolenie. Ale z drugiej strony to wyzwolenie wyglądało zupełnie inaczej, niż przedstawiała je propaganda.

Całkowicie inne doświadczenia z bolszewikami miał z kolei pan Henryk Duszyk (numer obozowy 192692). On bardzo pozytywnie zapamiętał sowieckich żołnierzy, którzy 27 stycznia zajęli obóz. Otrzymał od nich pomoc, okazali mu współczucie. W przeciwieństwie do obu pań, z którymi rozmawiałem, pan Duszyk miał szczęście – trafił na dobrych ludzi.

– Nagle zobaczyłem przemykające między budynkami postacie. W zielonych mundurach i z bronią – wspominał. – Na początku nie miałem pojęcia, co się dzieje. Dopiero po pewnym czasie, gdy jeden z przebiegających obok mężczyzn rzucił parę słów po rosyjsku, zorientowałem się, o co chodzi. Nie mogłem uwierzyć, że to już koniec koszmaru. Jeden z bolszewików poklepał mnie po ramieniu i dał mi dwie konserwy. Potem od innego dostałem kilka kostek cukru. Nie mogę nic złego o nich powiedzieć. Ci ludzie uratowali nam życie – dodał.

Pan Duszyk do Auschwitz również został wywieziony w trakcie powstania. Miał wówczas dziewięć lat. Do innych obozów trafili też jego ojciec i siostra. Przeżył tylko on. Osiem miesięcy za drutami zniszczyło jego zdrowie. Do dziś boryka się z wieloma nabytymi w Auschwitz chorobami. Dwa razy został skatowany przez esesmanów za to, że bawił się w „nieodpowiednim miejscu”.

– Przyjście Sowieców było dla mnie prawdziwym wstrząsem. Po miesia-

– Przebiegli obok, chyba ścigali jakichś Niemców. Nas jakby nie zauważyli. Czy dali nam jakieś jedzenie? Skądże! Ale skąd niby ci biedni ludzie mieliby je wziąć? Oni sami byli piekielnie głodni – opowiadała.

Bolszewicy po kilku godzinach od wkroczenia do Auschwitz rozbili kuchnię połową przed barakiem, w którym znajdowały się pani Wasiak i inne dzieci. Przynieśli kawałki końskiej padliny.

– Byliśmy potwornie głodne. W obozie karmili nas zupą, w której pływały tłuste, rozgotowane robaki. Błagaliśmy Sowieców, by nam dali choć kawałek mięsa, ale oni rzucali tylko kości w śnieg.

Pani Wardak w obozie była wykorzystywana do eksperymentów medycznych przez słynnego „Anioła Śmierci”, czyli dr. Josefa Mengelego. Lekarz-sadysta przebił jej oba bębny w uszach, zakraplał oczy chemikaliami – podobno by zmienić kolor źrenicy z zielonego na niebieski. W wielu miejscach nacinał skórę i wstrzykiwał rozmaite substancje.

– Minęło tyle lat, a ja nadal panicznie się boję strzykawki. Do dziś mam również zrujnowane zdrowie – podkreśla.

Również pani Kazimiera Wasiak (numer 83803), która do obozu trafiła jako 11-letnia dziewczynka w 1944 r., spotkała się z obojętnością wyzwolicieli.



Żołnierze Armii Czerwonej
otwierają bramę Auschwitz.
Zdjęcie propagandowe FOT. ARCHIWUM

■ cach głodu, chorób i upokorzeń byłem wolny. To było wielkie zaskoczenie, bo wszyscy mieliśmy pewność, że nie wyjdziemy z Auschwitz żywi, że zostaniemy tam na zawsze. W takim miejscu traci się wszelką nadzieję – opowiadał pan Duszyk.

Z czasem, gdy miasto Oświęcim znalazło się pod regularną okupacją bolszewicką, Sowietzi zrobili w obozie wiele wstrząsających zdjęć pokazywanych później w kronikach filmowych. Zorganizowali kilka polowych szpitali i, we współpracy z Polskim Czerwonym Krzyżem, zaczęli pomagać ocalonym więźniom.

– O tym też nie można zapomnieć. Naprawdę zrobili sporo dobrego – mówił mi dr Andrzej Strzelecki, historyk pracujący w muzeum znajdującym się na terenie obozu, autor książki „Ewakuacja, likwidacja i wyzwolenie KL Auschwitz”. – Wystąpił tu historyczny paradoks. Żołnierze, którzy reprezentowali komunistyczny totalitaryzm, przynieśli wolność więźniom innego totalitaryzmu.

W tym kontekście można wytłumaczyć to, że reakcja żołnierzy Armii Czerwonej na to, co zobaczyli w Auschwitz, mogła się różnić od reakcji żołnierzy US Army wyzwalających obozy na froncie zachodnim. Człowiek sowiecki, sam uciemiężony przez dyktaturę, był znacznie bardziej oswojony z podobnymi widokami. Sam mógł być kiedyś więźniem łagru, a już na pewno w obozie siedział jakiś jego krewny lub znajomy.

Także przebieg wojny na Wschodzie był znacznie bardziej okrutny niż na

Zachodzie. To, co czerwonoarmiści zobaczyli w KL Auschwitz, nie było więc dla nich tak szokujące jak to, co w Dachau i innych obozach na Zachodzie zobaczyli amerykańscy żołnierze.

– Rozmawiałem z wieloma byłymi więźniami tego obozu, którzy byli w nim do końca. Z kilkoma jestem zaprzyjaźniony. Wszyscy mówili mi, że uważają Sowietów za swoich wyzwolicieli. Czym innym była bowiem polityka Stalina czy to, co Armia Czerwona robiła w innych miejscach. W Auschwitz po prostu uratowała ludziom życie – podkreślał dr Strzelecki.

Czerwone Auschwitz

Mało kto o tym wie, ale KL Auschwitz wcale nie zakończył swojego niestawnego żywota w styczniu 1945 r. Po tym, gdy Armia Czerwona zajęła obóz i oswobodziła jego więźniów, zainteresowały się nim komunistyczne organy bezpieczeństwa. W spadku po SS sowieckie organy bezpieczeństwa otrzymały bowiem idealną infrastrukturę do gnębienia ludzi. Oczywiście nie mogły przegapić takiej okazji. Taki obóz nie mógł się zmarnować.

Na terenie kompleksu Auschwitz-Birkenau jeszcze w 1945 r. komuniści założyli trzy własne obozy koncentracyjne. Jeden pod zarządem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego nowej, komu-

nistycznej Polski. A dwa pod zarządem NKWD. W sowieckiej nomenklaturze byłyby to łagry nr 22 i 78. Ich komendantem został niejaki płk Masłobojew.

Kogo polscy komuniści i bolszewicy więzili w Auschwitz? Oczywiście „wrogów ludu”. Niemieckich jeńców i cywili, Ślązaków i Polaków. Działacze polskiego podziemia niepodległościowego. Przedstawiciele miejscowych elit. A także uprowadzonych przez NKWD śląskich górników, których potem masowo wywożono pociągami do niewolniczej pracy w kopalniach Związku Sowieckiego.

Z kolei zamknięte w obozach na terenie Auschwitz kobiety bolszewicy traktowali jak seksualne niewolnice. Do znamienego incydentu doszło 7 sierpnia 1945 r. w części obozu zarządzanej przez ubecję. Za bramę wdarło się dwóch kompletnie pijanych, ledwie trzymających się w siódlach sowieckich kawalerzystów. Takie „wizyty” były na porządku dziennym, ale tym razem, ponieważ wszystko działo się w biały dzień, komendant obozu postanowił przeciwstawić się bolszewikom.

Dwa dni później, 9 sierpnia 1945 r., w raporcie z tego incydentu napisał swoim przełożonym:

„Zwróciłem się do niego [żołnierza sowieckiego], że nie może dalej jechać, a on wtemczas powiada, że on musi »posmotrzeć« i że muszę mu dać jedną kobietę »pojechać«. Żołnierze stawiali opór i musiałem użyć siły. Jednego z nich wyprowadziłem za bramę, lecz drugi starał się na mnie najechać koniem i wszczął awanturę, aż w końcu przyszło do bójki między nim a wartownikami. Widząc to, stojący poza bramą żołnierze radzieccy porwali za broń i zrobili napad na wartownię. Zaweźwałem NKWD. Jednak NKWD nie przybyło. Zaznaczam, że takie wypadki zdarzają się wciąż, szczególnie nocami”.

Warunki w obozach na terenie Auschwitz urągały wszelkim cywilizowanym standardom. Sowietzi zgotowali więźniom podobne piekło do tego, jakie wcześniej więźniom Auschwitz zgotowali esesmani. Oczywiście z jedną różnicą – w obozie nie doszło do masowego ludobójstwa za pomocą komór gazowych. Czerwone Auschwitz było obozem koncentracyjnym, a nie obozem zagłady.

W 2010 r. rozmawiałem z byłą więźniarką obozu panią Martą Nycz z domu



Wnętrze baraków w Auschwitzu FOT. WIKIPEDIA

Wiesner. Jej opowieść mroziła krew w żyłach.

– Na wstępie obcięli mi włosy, miałam piękne długie warkoczki – opowiadała o swoim przybyciu za obozowe druty. – Potem odebrali mi wszystkie rzeczy osobiste i wydali drelachowy uniform. Miał naszytą łatę z numerem i literę „W”. Od polskiego słowa „więzień”. Strażnicy, szarpając i wyzywając od najgorszych, skierowali mnie do żeńskiego baraku dla nieletnich. Tak się zaczął mój pobyt w obozie w Oświęcimiu.

Urodziła się w Hałcnowie. Obecnie to dzielnica Bielska-Białej. Tata pani Wiesner za niemieckiej okupacji został powołany do Wehrmachtu, ale Marta była dwujęzyczna. Miała wielu polskich przyjaciół, nikomu nie zrobiła żadnej krzywdy. Dla komunistów była jednak „podejrzana”. Gdy trafiła do obozu utworzonego w Auschwitzu, miała zaledwie 17 lat.

– Co było najgorsze? Apel. Ustawiali nas na placu i próbowali policzyć. Ponieważ ci ubeccy byli wyjątkowo prymitywni, nie mogli sobie z tym poradzić. Liczenie trwało więc czasami całymi godzinami. W międzyczasie kazano nam kukać z rękami na karku i skakać „żabki”. Ci, którzy padali ze zmęczenia, byli skopywani – relacjonuje była więźniarka.

Aprowizacja obozu była katastrofalna. Chociaż Sowietci na terenie kompleksu Auschwitz przejęli wielkie magazyny z żywnością, przeznaczoną dla kilku dywizji Wehrmachtu na pół roku, zostały one rozkradzione przez żołdaków lub wywiezione do Związku Sowieckiego.

Komunistyczne władze nie kwapiły się zaś oczywiście do żywienia „zdrajców” i „szwabów”.

Więźniowie dostawali więc cienką zupę ze zgniłej brukwi, z liści kapusty i otrębów. Do tego niewielkie racje źle wypieczonego, kleistego chleba. Czasami brakowało nawet wrzątku. Straszliwe były również warunki sanitarne. Brudne sienniki, które „ruszały się” od oblegających je pluskiew i wszy. Brak dostępu do lekarstw i opieki medycznej. Tak zwany barak sanitarny był zwykłą umieralnią. W obozie wybuchały epidemie.

– Oni nie musieli nas zabijać – mówiła mi pani Nycz. – Głód, wycieńczenie i tyfus robiły to za nich. Ludzie padali jak muchy. Ale zdarzały się również zabójstwa. Strażnicy, którzy tłukli więźniów za najmniejsze krzywe spojrzenie, byli panami życia i śmierci. Pewnego młodego chłopaka zakatowali na śmierć za próbę ucieczki. Gdy ktoś próbował zbiec, strażnicy dostawali szału.

Młoda więźniarka była również świadkiem morderstwa. Doszło do niego, gdy wraz z kolumną więźniów wracała

z pracy na teren obozu. – Nazywał się Józef. Był moim kolegą jeszcze z Hałcnowa. To był niepełnosprawny chłopak. Miał garb i ciężko mu było nadążyć za resztą. Przewrócił się. Zirytowany strażnik zaczął go kopać. Gdy nie mógł wstać, skończył mu na klatkę piersiową. Usłyszałam suchy trzask łamiącego się mostka i ciche „Jezu” konającego – mówiła.

Marta Wiesner była wykorzystywana do rozbierania pozostawionej przez Niemców fabryki benzyny syntetycznej IG Farben. Cały wielki zakład, od ciężkich maszyn do kontaktów, kabli, muszli kłozetowych i najmniejszych śrubek, został zdemonstrowany i wywieziony do Sowietów. Oprócz tej pracy, co pewien czas, gdy zachorował ktoś z komanda zajmującego się chowaniem więźniów, brała udział w „pogrzebach”.

– W obozie był wózek, na który zrzucało się ciała. Zaciągało się je na nim do przygotowanego wcześniej wielkiego dołu. Zwalało się śladunek, zasypywało wapnem, zakopywało, przyklepywało łopatami i koniec pracy. Wracaliśmy po kolejnych zmarłych – relacjonuje. W połowie 1946 r. przeniesiono ją do obozu w Jaworznie, potem wykorzystano do pracy w kopalni i świeżo utworzonych PGR-ach. Na wolność wyszła w 1947 r.

Jak podaje w książce „Gułag nad Wisłą” Bogusław Kopka, sowieckie obozy na terenie Auschwitz zostały zlikwidowane we wrześniu 1945 r. W 1946 r. zamknięty został zaś obóz ubecki. Przez ośrodki te przewinęło się kilkadziesiąt tysięcy więźniów. Zginąć w nich mogło kilka tysięcy. Liczby są tak ogólne, gdyż nie zachowały się niemal żadne dokumenty dotyczące obozów sowieckich. Archiwa bolszewicy zabrali ze sobą.

W 1947 r. Sejm komunistycznej Polski podjął decyzję, że na terenie świeżo opróżnionego z zeków obozu powstanie Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Placówka, która w tym miejscu działa do dziś i którą odwiedzają miliony turystów z całego świata. Tylko niewielu z nich dowiaduje się, że oprócz Niemców na terenie Auschwitz-Birkenau ludzie dręczyli również Sowietci.



© Wszelkie prawa zastrzeżone

1941-1945 / Tajna broń Stalina



Sowieckie psy-kamikadze



Mikołaj Iwanow

/ Szkolone w Armii Czerwonej psy zniszczyły 304 niemieckie czołgi. Potężne ładunki rozrywały zwierzęta na strzępy

W roku 2010 w rosyjskim Wołgogradzie (Stalingradzie) uroczyście odsłonięto pomnik niezwykle żołnierzowi wojny ojczyźnianej lat 1941-1945. Na pl. Czestków (to nie żart, właśnie tak nazywa się ten plac i nikomu nie przychodzi do głowy w tym mieście, aby coś z tą nazwą zrobić) postawiono pomnik – pieskowi-niszczycielowi czołgów.

Niszczenie czołgów przeciwnika za pomocą psów-kamikadze było nie odosobnioną akcją, lecz szeroko rozpowszechnioną taktyką walki Armii Czerwonej. Ogółem w wojsku sowieckim w czasie drugiej wojny światowej służyło ponad 60 tys. psów. Były to pieski-sanitariusze, pieski-dostarczyciele amunicji, pieski-saperzy, pieski-wykrywacze min, pieski-listonosze. Wykonywały one mnóstwo również innych ważnych dla wojska obowiązków.

Psy wytresowano tak, by szukały jedzenia pod kadłubami czołgów

FOT. ARCHIWUM



Szkolenie psów przenoszących ładunki wybuchowe FOT. ARCHIWUM

komunistów była to wojna absolutnie totalna od pierwszego do ostatniego dnia walki z Niemcami. Nie oszczędzano niczego: ani ludzi, ani sprzętu, ani honoru ludzkiego, a tym bardziej psów. Mimo druzgocących porażek Armii Czerwonej na początku wojny starcie między dwoma najpotężniejszymi totalitaryzmami XX w. wyraźnie dowiodło przewagę stalinowskiego systemu władzy. Związek Sowiecki w o wiele większym stopniu niż III Rzesza zdołał zmobilizować swoje społeczeństwo w celu prowadzenia wojny totalnej. Bardzo często przy tym komuniści sowieccy traktowali własnych obywateli jako niewolników, zdolnych jedynie być tzw. mięsem armatnim.

Armia Czerwona, która na początku wojny przypominała raczej zbiorowisko niedyscyplinowanych, marzących jedynie o ratowaniu własnego życia ludzi, z czasem przekształciła się w armię doświadczoną i zahartowaną w bojach, która poznała cenę porażek i zwycięstw, armię, która prowadziła wojnę, nie oszczędzając ani siebie, ani wroga. Była to armia, w której wyjątkowe bohaterstwo (fanatyzm) poszczególnych żołnierzy organicznie współżyło ze zdradą i z nienawiścią wobec reżimu stalinowskiego u innych. Życie ludzkie dla wielu prawie zupełnie straciło wartość. Sowiecka strategia wojskowa nie знаła litości dla własnych żołnierzy. Atak na pozycje wroga w celu ujawnienia jego pól minowych był szeroko rozpowszechniony, zwłaszcza siłami tzw. batalionów karanych. W Armii Czerwonej walczyło ponad 1 mln zwolnionych z obozów więźniów, przeważnie kryminalnych. NKWD było u szczytu swej potęgi, kontrolując każdy niemal krok milionów ludzi, ubranych w wojskowe mundury.

Od pierwszego i do ostatniego dnia drugiej wojny światowej niemiecki

Wehrmacht nigdy na froncie wschodnim nie miał przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował on również Armii Czerwonej pod względem liczby i dość często jakości wszystkich typów uzbrojenia. Wielkie niemieckie zwycięstwa 1941–1942 odniesiono głównie dzięki słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnemu dowództwu i braku motywacji do walki u milionów żołnierzy sowieckich. Naiwnie wierzono, że Niemcy mogą przynieść do Kraju Rad oswobodzenie od nieludzkiego totalitarnego systemu stalinowskiego.

Jednak wkrótce się okazało, że system narodowosocjalistyczny jest o wiele bardziej nieludzki wobec obywateli sowieckich wszystkich narodowości (poza volksdeutscheami) od stalinizmu. Paradoksalnie z każdą nową porażką Armii Czerwonej jej przewaga nad Wehrmachtem jedynie wzrastała. Przeważająca większość obywateli sowieckich (nawet wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) przekonała się, że faszyzm niemiecki stanowi dla nich o wiele gorsze zagrożenie niż stalinizm. Wojna z Niemcami dla przeważającej części społeczeństwa sowieckiego rzeczywiście przekształciła się w wojnę ojczyznianą.

Ta sytuacja tylko na pozór wygląda dziwnie. Stalin jeszcze w okresie przedwojennym zdołał zbudować potężny przemysł wojenny, który – mimo porażek Armii Czerwonej na froncie i mimo utraty znacznej części terytorium kraju – wyprzedzał niemiecki w produkcji wszystkich rodzajów broni. W roku 1943 ta przewaga już była wyraźnie zdecydowana (z wyjątkiem nowych okrętów dla marynarki wojennej). Amerykańskie i częściowo angielskie dostawy sprzętu wojskowego i materiałów strategicznych w ramach polityki „lend-lease”

Jednak najbardziej spektakularną rolę w wojnie odegrały pieski-antyczołgi.

Totalna wojna ZSRS

Związek Sowiecki w tej wojnie stracił co najmniej 27 mln ludzi, więcej niż wszystkie inne kraje świata uczestniczące w tej wojnie. Dla sowieckich



Efekt bojowy psów „przeciwpancernych” był mniejszy niż psychologiczny

FOT. WIKIPEDIA

■ dopełniały obraz miażdżącej przewagi sowieckiej w uzbrojeniu.

Wbrew zapewnieniom goebbel-sowskiej propagandy Związek Sowiecki wyraźnie wyprzedzał III Rzeszę w dziedzinie mobilizacji swego kraju na potrzeby wojny. Ogłoszona przez Hitlera na początku 1943 r. „wojna totalna” pod tym względem pozostawała w dużej mierze hasłem propagandowym. Prawdziwą „wojnę totalną” prowadził Stalin, nie Hitler. Na potrzeby Armii Czerwonej oddano wszystko, co tylko było możliwe. Bardzo często na tyłach frontu panował głód. Na potrzeby wojska konfiskowano nawet niezbędne dla normalnego życia rzeczy. Do Armii Czerwonej zmobilizowano ponad 1 mln kobiet. Stworzono jednostki artylerii przeciwlotniczej, saper-skie, jednostki zaopatrzeniowe, oddziały snajperskie i nawet lotnictwo, składające się z samych kobiet. Stworzono również specjalne jednostki niszcycieli czołgów, w których wykorzystywano psy...

Pieskie zwycięstwa

Użycie psów w Armii Czerwonej przeciwko Niemcom stało się tak rozpowszechnione, że niektórzy z weteranów wojny twierdzą, iż to psy wygrały bitwę stalingradzką. Jednak gwoi sprawiedliwości trzeba odnotować, że sama idea wykorzystania psów w wojsku nie narodziła się w okresie wojny, lecz wiele lat wcześniej, na początku lat 30. W mo-

mentie napadu III Rzeszy na Związek Sowiecki w Armii Czerwonej już istniała kilka specjalnych jednostek psów-niszcycieli czołgów.

Przygotowanie psów do niszczenia czołgów było dość proste. Głodzono biedne zwierzęta przez kilka dni, a później obficie karmiono pod dnem czołgu, używając przy tym dolnego wejścia do maszyny. Później tę operację wielokrotnie powtarzano. Przy tym czołg miał włączony silnik, ruszał się z różną prędkością, strzelał z karabinu maszynowego i z działa. Powoli pies się przyzwyczajał i nie bał strzelającej maszyny w ruchu, prześladował ją do utraty tchu. Na plecach zwierza mocowano minę wagi od 6 do 10 kg, która wybuchała po znalezieniu się psa pod czołgiem. Aby mieć pewność sukcesu, wykorzystywano trzy poruszające się czołgi. Pies wpadał pod pierwszy, nie znajdując tam jedzenia – pod drugi, a dopiero pod trzecim znajdował tak pożądany pokarm.

Pierwsze próby użycia psów przeciwko czołgom Wehrmachtu odnotowano na samym początku wojny. Próby te jednak okazały się wielce nieudane. Pierwsza kompania psów-niszcycieli czołgów pod dowództwem starszego lejtnanta Szkenina trafiła na front już w lipcu 1941 r. Liczyła 199 żołnierzy i oficerów oraz 212 psów. Już w pierwszym starciu doznano miażdżącej porażki. Z 20 psów wysłanych na śmierć zadania nie wykonał ani jeden. Część została zabita przez niemieckich piechurów nacierających razem z czołgami, część po prostu uciekła z pola

walki, inne – ku przerażeniu treserów – wróciły na pozycje sowieckie. Wkrótce kompania razem z 108 psami dostała się do niewoli. W wyniku przesłuchań jeńców dowództwo niemieckie dowiedziało się w detalach o tej „tajnej broni Stalina”. Natychmiast wydano rozkaz nakazujący wypracowanie odpowiednich środków przeciwdziałania użyciu psów-kamikadze.

Jeden z najbardziej znanych niemieckich czołgistów, płk Hans von Luck, który na froncie wschodnim odniósł wiele zwycięstw, tak opisuje w książce „Panzer Commander” swe pierwsze spotkanie z psami-kamikadze: „Był to dzień, kiedy moja jednostka zbierała się opuścić jedną ze wsi. Raptem pojawił się pies, który mocno merdał ogonem i żałośnie skomlał. Kiedy spróbowaliśmy zbliżyć się do niego, on zanurkował pod czołg i nastąpił potężny wybuch. Zbliżyliśmy się do martwego psa i znaleźliśmy resztki miny. Kiedy zwierzę wlało pod czołg, mina wybuchła. Pies był wytresowany dostawać jedzenie pod dnem czołgu... Od tego momentu zaczęliśmy wybijać wszystkie psy, które spotykaliśmy”.

W jednym z archiwów sowieckich (dziś rosyjskich) zachował się nadzwyczaj ciekawy dokument dotyczący pierwszych prób wykorzystania psów przeciwko czołgom niemieckim. Jest to sprawozdanie jednego z dowódców oddziału psów-antyczołgów. Oto ten tekst:

„1. Większość psów odmawia od razu wykonania zadania. Skacze do piechurów,

doprowadzając do wypadków. Zanotowano 6 wypadków wybuchów w otoczeniu własnych żołnierzy.

2. Dziewięć psów rozpoczęło bieg w dobrym kierunku, jednak po wybuchach min i pocisków artyleryjskich zaczęło szukać ukrycia i zaprzestało biegać naprzód. Niektóre próbowały wrócić do naszych pozycji, dlatego byliśmy zmuszeni zniszczyć je ogniem z karabinów maszynowych.

3. Trzy psy zabił faszyci ogniem swych karabinów maszynowych.

4. Jedynie 4 psy wykonały zadanie i dotarły do pozycji niemieckich, wywołując wybuchy. Czy udało się im zniszczyć czołgi niemieckie, informacji nie mamy”.

Do tej informacji możemy dodać, że zarejestrowano wypadki, kiedy pieski-kamikadze myliły niemieckie i sowieckie czołgi, co doprowadzało do niejednej tragedii wśród żołnierzy sowieckich.

Efekt bojowy

W związku z tymi pierwszymi niepowodzeniami w Armii Czerwonej zmieniono nieco taktykę przygotowania psów-niszczycieli czołgów. Uczono ich wpadać pod czołg nieprzyjaciela od tyłu, a także unikać ostrzału z karabinu maszynowego. Zwrócono również uwagę na bardziej solidne mocowanie min na grzbiecie psów, tak aby zwierzę nie mogło zgubić niebezpiecznego ładunku.

Następna próba, w sierpniu 1941 r., okazała się o wiele bardziej skuteczna. W rejonie Jelni psy zniszczyły sześć czołgów niemieckich. Wkrótce utworzono dziewięć specjalnych psich oddziałów (batalionów) niszczycieli czołgów.

Wysłano je prawie na wszystkie odcinki frontu sowiecko-niemieckiego. W składzie tych oddziałów walczyło przeciwko czołgom ponad 1070 psów. Co więcej, okazało się, że psy mogą być wykorzystywane jako środek zastraszenia przeciwnika. Puszczanie psów nawet z atrapami min doprowadzało do załamania ataków czołgowych Niemców. Żołnierze przeciwnika otrzymali specjalne zadanie polowania na wszystkie psy w rejonie działań bojowych. Ten strach przed psami-niszczycielami czołgów towarzyszył armii niemieckiej przez cały okres wojny na Wschodzie.

Z biegiem wojny okazało się, że najbardziej skutecznie jest wykorzystywanie psów-niszczycieli czołgów nie na otwartej przestrzeni, kiedy przeciwnik mógł je obserwować z daleka, lecz w miastach i na terenie zalesionym lub górzystym, gdy zwierzęta niezauważone zbliżały się do przeciwnika. Bitwa stalingradzka – to największy sukces bojowy psów-niszczycieli czołgów. Już w czerwcu 1942 r. na przedmieściach miasta psy zniszczyły 14 czołgów. 10 czerwca w rejonie Gawiłowski zniszczono kolejnych 10. Jeden z żołnierzy-opiekunów psów Nikołaj Masłow tak wspominał walki w rejonie fabryki traktorów:

„W walkach ulicznych w Stalingradzie psy dokonały prawie niemożliwego. Przybyliśmy na pozycję z naszymi psami w rejon zakładów traktorowych w nocy. Był rozkaz zachować pozycje obronne bez względu na koszty. Nocny atak niemiecki na nasze pozycje nie udał się. Bardzo dobrze popracowały psy. Czołgi niemieckie wybuchały jeden po drugim, ocalałe musiały zawracać. W czasie walk czołg niemiecki wjechał prawie wprost

na mnie, rzuciłem butelkę z benzyną (koktajl Mołotowa), ale bez skutku. Wybuch pocisku czołgowego urwał mi palec prawej ręki. Zraniono również mego psa, który jednak na mój rozkaz wskoczył pod czołg i zniszczył go”.

W bitwie stalingradzkiej psy zniszczyły 63 niemieckie czołgi. Ogółem w roku 1942 na front skierowano siedem nowych jednostek psów-niszczycieli czołgów, w których walczyło ponad 900 żołnierzy i oficerów oraz 783 psy. Według sprawozdań dowódców tych jednostek psy zniszczyły 192 czołgi przeciwnika, a z pomocą psów odparto 19 ataków czołgowych Niemców.

Masowo używano antyczołgowe psy również w bitwie na Łuku Kurskim. W największej bitwie czołgowej świata pod Prochorówką psy zniszczyły 12 czołgów niemieckich. Jednak z biegiem czasu użycie psów przeciwko czołgom przeciwnika stawało się coraz bardziej trudne. Wehrmacht zaczął wykorzystywać na czołgach miotacze ognia, które skutecznie odpędzały zwierzęta. Rozkaz polowania na psy otrzymali nawet piloci Luftwaffe. Do końca wojny ogólna liczba zniszczonych przez psy czołgów przeciwnika wzrosła do 304. W wojnie wzięły udział 33 specjalistyczne jednostki psów-niszczycieli czołgów, w których walczyło ponad 9,5 tys. tych zwierząt.

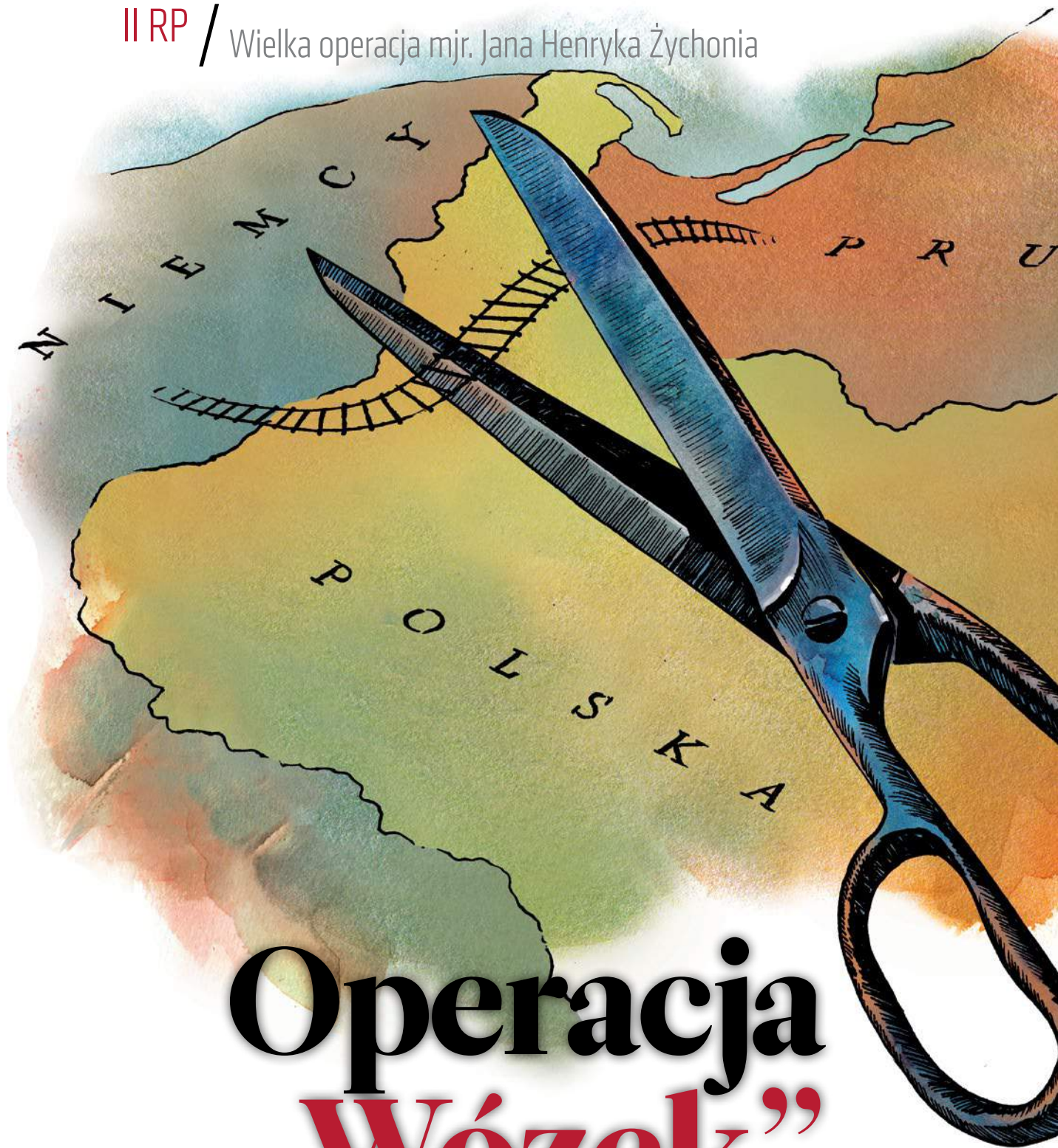
Efekt bojowy działania psów-kamikadze w czasie wojny nie był jednak aż tak wielki jak aspekt psychologiczny ich użycia. Ciągłe napięcie niemieckich żołnierzy zmuszało ich do popełniania błędów i czasem doprowadzało do osłabienia ducha walki.

Historia wykorzystania psów jako żywych min tylko na pozór może wydawać się czymś nadzwyczajnym i paradoksalnym. Dla Armii Czerwonej i dla społeczeństwa sowieckiego było to jak najbardziej naturalne narzędzie prowadzenia wojny. Mniej więcej takie samo jak użycie koni dla wojsk kawaleryjskich. Szczycono się psami-bohaterami. Niektóre psy ocalałe w wojnie wzięły udział w paradzie zwycięstwa w Moskwie w lipcu 1945 r. Po drugiej wojnie światowej tresura psów do podobnych zadań specjalnych trwała nadal. Planowano użyć ich do zniszczenia także rakiet przeciwnika. Ostatnie pieski-antyczołgi zostały zwolnione z wojska rosyjskiego dopiero w roku 1996.



Po drugiej wojnie światowej tresura psów „przeciwpancernych” trwała nadal. FOT. ARCHIWUM

II RP / Wielka operacja mjr. Jana Henryka Żychonia



Operacja „Wózek”



Grzegorz Janiszewski

Oficerowie polskiego wywiadu wraz z grupą kasiarzy i fałszerzy wykradali Niemcom tajne dokumenty wysyłane z Berlina do Prus

Pierwsze ustalenia polskich wywiadowców były optymistyczne. Niemiec-kie pociągi przewożące przesyłki wojskowe kursowały tranzytowo na trasie Szczecinek–Chojnice–Tczew–Malbork i Piła–Chojnice–Tczew. W Chojnicach składy były przejmowane przez polskie załogi. Niemcy ze względów oszczędnościowych nie konwojowali wagonów z pocztą, ale tylko je plombowali. W Tczewie plomby były sprawdzane przez polsko-niemiecką komisję.

Wejść do wagonów pocztowych można było jedynie w biegu, gdzieś na uboczu. Żeby tego dokonać, pociąg musiał mocno zwolnić. Do współpracy trzeba było pozyskać polskich kolejarzy. Nie było z tym większych problemów, bo patriotycznie nastawieni maszyniści chętnie współpracowali z polskim wywiadem. Nawet kiedy groziły im konsekwencje służbowe. W pociągach zamontowane były urządzenia mierzące czas przejazdu i za opóźnienia groziły surowe kary finansowe, ale potrafiło im to zrekompensować.

Pierwsze akcje przyniosły sporo informacji. Chociaż niemieckie instrukcje zabraniały przesyłania tajnych dokumentów przez teren Rzeczypospolitej, to i tak w ręce polskiego wywiadu dostało się mnóstwo materiału, który po fachowym przeanalizowaniu dawał niezły wgląd w sytuację – przede wszystkim militarną – w regionie.

Od 1931 r. Niemcy zaczęli lakować korespondencję, a potem plombować worki z przesyłkami. Spowodowało to wstrzymanie akcji aż do połowy 1932 r., kiedy to pozyskano wzory plomb od kierownika urzędu pocztowego w Chojnicach. Kolejnym problemem było zamykanie części korespondencji w sejfach i skrzyniach, których nie można było wyrzucić z pociągu. Prowadzący całą operację kpt Jan Henryk Żychoń z „Dwójki” rozwiązał również ten problem.

Przy pomocy komisarza Żbikowskiego z poznańskiej policji skompletował ekipę kasiarzy i włamywaczy – specjalistów od otwierania kas pancernych i zamków bez zostawiania śladów. Odtąd standardowymi narzędziami wykorzystywanymi w tych operacjach były łomy, młotki, obcęgi i wytrychy. Do tego podrobione plombownice i pieczęcie lakowe.

Ślepa Abwehra

Operacja ta była efektem spływających już od końca lat 20. do oficerów „Dwójki” informacji, że Niemcy mogą przewozić ważne dokumenty do Prus Wschodnich w pociągach przejeżdżających przez Polskę. Sprawą zainteresował się kpt. Janusz Rowiński z bydgoskiej ekspozytury polskiego wywiadu, który rzucił pomysł przechwytywania przesyłek i badania ich zawartości. Od polskich kolejarzy wiedział, że Niemcy nie prowadzą ich dokładnego rejestru, lecz jedynie liczą worki z pocztą.

Prawo tranzytu przysługiwało Niemcom na mocy traktatu wersalskiego. Akcja mogła łatwo skończyć się międzynarodowym skandalem i oskarżeniami Polski o złamanie umowy. Jednak Żychoń, wówczas szef Ekspozytury nr 3 w Bydgoszczy, zdecydował się podjąć ryzyko. Z początkiem 1930 r. rozpoczęto przygotowania do akcji przechwytywania tajnej niemieckiej korespondencji.

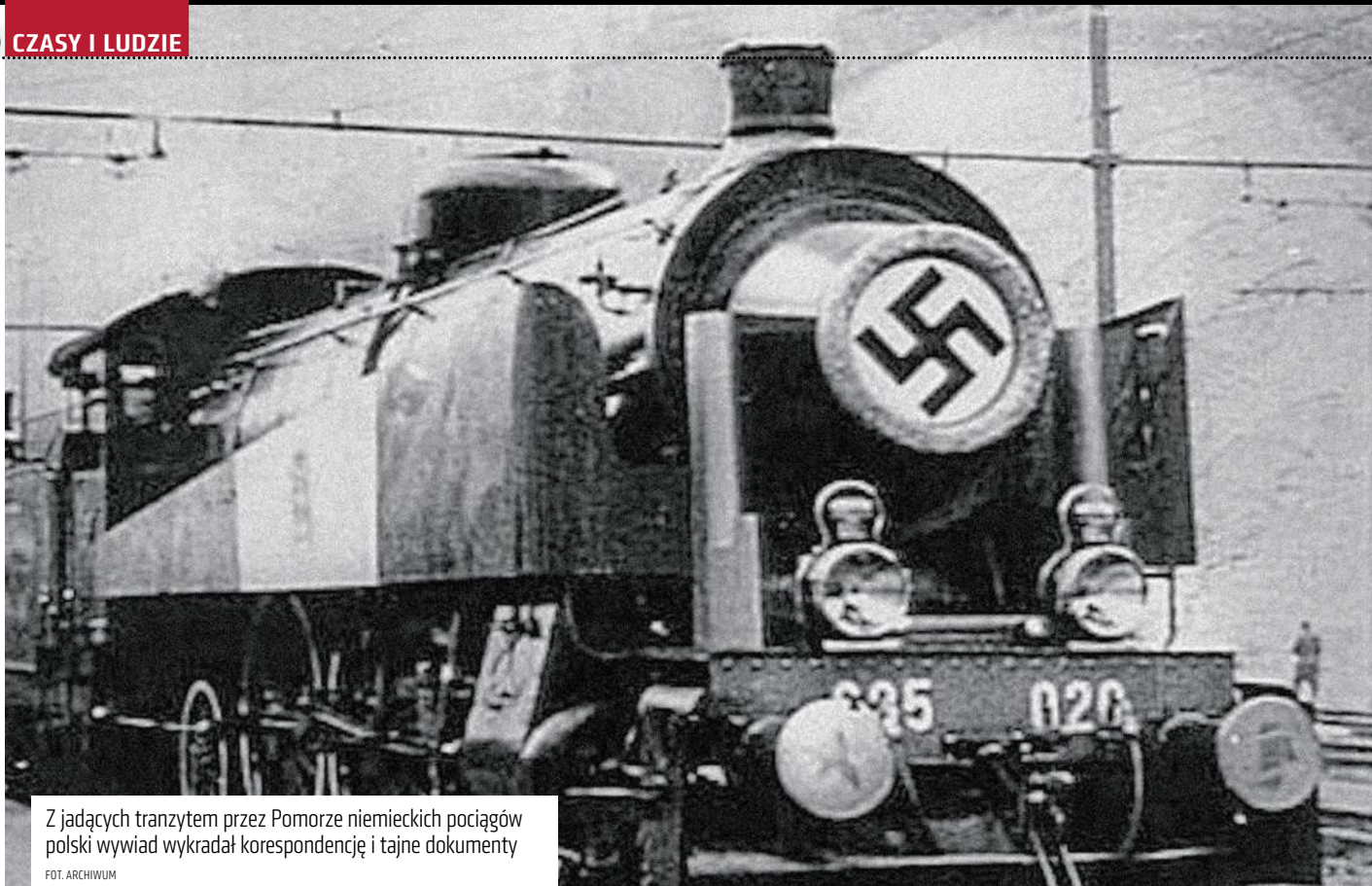
Po rozpoznaniu niemieckich zabezpieczeń i skompletowaniu grup operacyjne przybrały rutynowy charakter. W umówionym miejscu pociąg zwalniał, wtedy wsiadała do niego ekipa złożona z kasiarzy i żołnierzy „Dwójki”. Podczas jazdy wstępnie przeglądano zawartość worków, kas pancernych i skrzyń, a interesujący materiał był wyrzucany w miejscu, gdzie czekał łącznik z samochodem. Materiały były wiezione do wynajętego w pobliżu domu i tam kopiowane. Zwykle następnej nocy podrzucano je z powrotem do pociągu.



RYS. K. WYRZYKOWSKI



Jan Żychoń FOT. WIKIPEDIA



Z jadących tranzytem przez Pomorze niemieckich pociągów polski wywiad wykradał korespondencję i tajne dokumenty

FOT. ARCHIWUM

Wadą systemu była zupełna przypadkowość. Przez Pomorze przejeżdżało każdej doby od czterech do sześciu niemieckich pociągów z wagonami pocztowymi, a do tego jeszcze dwa pociągi pocztowe. Nie sposób było więc choćby pobieżnie przejrzeć całej korespondencji. Żychoń nie dysponował też agenturalną wiedzą o szczególnie ważnych przesyłkach. Mimo tego systematyczna kontrola niemieckiej poczty przynosiła zaskakująco dobre rezultaty. Zdarzało się, że z akcji „Wózek” – bo taki kryptonim nadano jej w 1936 r. – pochodziło ponad 60 proc. wszystkich informacji wywiadowczych z Niemiec.

Nabrało to szczególnego znaczenia po wypadce siatki Jerzego Sosnowskiego w Berlinie w lutym 1934 r., kiedy ustał dopływ niezwykle istotnych informacji z agenturalnego wywiadu głębokiego. Kiedy od 1938 r. narastały trudności z dekodowaniem informacji z „Enigmy”, operacja „Wózek” często była podstawowym źródłem informacji o niemieckich siłach zbrojnych. Przy tym była tania. Jej koszt wynosił ok. 1 tys. zł miesięcznie. Na prometejskie operacje Referatu Wschód wydawano 10 razy więcej.

Pozyskiwano nie tylko kopie dokumentów. W pociągach przewożono też nowe modele uzbrojenia. Ludzie Życho-

nia czasem kradli je w celu poddania dokładnym badaniom. Niemcy dwukrotnie – w latach 1932 i 1935 – uzyskali dowody na przejmowanie przesyłek przez Polaków, ale potraktowali to jako incydentalne wypadki. Awansowany w 1936 r. na majora Żychoń potrafił zapewnić doskonale działanie systemu, koordynując prace wykonywane przez jego podwładnych z wywiadu, kolejarzy, kasiarzy, fotografów i fałszerzy dokumentów. Jeszcze trudniejsze było utrzymanie całego przedsięwzięcia w tajemnicy przed bardzo aktywną na tym obszarze Abwehrą. Ta o całej akcji dowiedziała się dopiero z dokumentów „Dwójki”, niefrasobliwie pozostawionych po wybuchu wojny w Forcie Legionów.

Szczęólnego znaczenia akcja „Wózek” nabrała przed wybuchem drugiej wojny światowej. W Prusach Wschodnich stacjonowały trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii. Z dokumentów finansowych i logistycznych przesyłanych pocztą można było odtworzyć mobilizacyjne przygotowania tych jednostek do zbliżającego się konfliktu. W tym okresie Niemcy mniej rygorystycznie traktowali też zakaz przesyłania tą drogą dokumentów stricte operacyjnych. Ekspozytura nr 3 potrafiła uzyskać dokładne informacje o koncentracji niemieckich jednostek

przygotowujących się do ataku z Pomorza i Prus Wschodnich. 31 sierpnia Żychoń osobiście poinformował Komisarjat Generalny w Gdańsku, że atak na Westerplatte nastąpi w ciągu 24 godzin.

Pancerny „Piłsudczyk”

Kim był człowiek, który dowodził tą brawurą akcją? Pochodzący z podkrakowskiej Skawiny Żychoń w wieku 12 lat uciekł do Legionów. Za młody, żeby zostać żołnierzem, zaczępił się, pomagając legionistom w wydawaniu umundurowania i sprzętu. W listopadzie 1918 r. przyjęto go w końcu do wojska. Został dowódcą plutonu w pociągu pancernym „Piłsudczyk”, w którego zdobyciu brał zresztą wcześniej udział. Podczas wojny z bolszewikami służył w wywiadzie, a w 1921 r. został skierowany do grupy Wawelberg – prekursorów polskich oddziałów specjalnych. W jej składzie brał udział w wysadzeniu siedmiu mostów kolejowych na Odrze, łączących Śląsk z resztą Niemiec na początku trzeciego powstania śląskiego. Wiosną 1928 r. został szefem ekspozytury Oddziału II w niewralicznym punkcie – Gdańsku.



Wolne Miasto było prawdziwym bękartem traktatu wersalskiego. W Gdańsku krzyżowały się wpływy polskie i niemieckie, swoje interesy mieli tu Francuzi i Brytyjczycy. Intensywnie pracowały służby sowieckie. W dodatku gdańskie prawo nie zabraniało prowadzenia działalności szpiegowskiej.

Mogłoby się wydawać, że to miejsce idealne do szpiegowania przeciwnika. Jednak zawiły system podziału kompetencji w mieście i niemiecka przewaga sprawiały, że trudno było zachować zasady konspiracji. Prawdziwa funkcja Żychonia – oficjalnie pracownika Komisarjatu Generalnego RP – szybko stała się tajemnicą poliszynela. Oficer był nieustannie śledzony przez niemiecki kontrwywiad. Dziennikarze czatowali pod jego domem, szukając sensacji i próbując go ośmieszyć. Żychoń odpłacał pięknym za nadobne. Chodził po ulicach w znienawidzonym przez gdańskich Niemców polskim mundurze. Opłacona przez niego orkiestra dęta grała „Mazurka Dąbrowskiego” przed prezydium policji. Prowadził też bujne życie towarzyskie jako przykrywkę pracy wywiadowczej.

Szybko mógł się pochwalić doskonałymi wynikami. Stał się tak niebezpieczny, że szef gdańskiej Abwehry Oscar Reile zaplanował jego porwanie. Posłużył się w tym celu gdańską pięknością – Czesławą Bociąską – która miała odurzyć polskiego oficera i wydać w ręce Niemców. Akcja skończyła się przewerbowaniem kobiety przez Żychonia.

Prowadzenie pracy w takich warunkach było bardzo skomplikowane. Dlatego z inspiracji Żychonia w 1930 r. powstała Ekspozytura nr 3 w Bydgoszczy. Placówka pod jego kierownictwem

szybko zaczęła osiągać znaczące wyniki. Zbierała najwięcej informacji z zachodniego obszaru zainteresowania Oddziału II. Sukcesy Żychonia wywoływały zawiść jego kolegów, zwłaszcza z Referatu Wschód, nieustannie rozgrywanych przez sowieckie służby. Nie mogąc zarzucić mu porażek, czepiali się jego rzekomego pijaństwa i kobieciarstwa.

We wrześniu 1939 r. mjr Żychoń nie miał zamiaru czekać z założonymi rękami na Niemców. Ewakuował się na wschód, niszcząc dokumentację ekspozytury. Agenci Abwehry, którzy weszli tam zaraz po zajęciu Bydgoszczy, znaleźli tylko bezwartościowe materiały – głównie niemieckie książki telefoniczne. Na biurku w kancelarii Żychonia leżała jego wizytówka z odręcznym dopiskiem: „Götz von Berlichingen” – wspomnieniem bohatera z czasów niemieckich wojen chłopskich, którego ulubionym powiedzeniem było: „Pocałujcie mnie w tyłek”.

Major przedostał się do Francji i od razu stał się podejrzany dla sikorszczaków. Protekcji udzielił mu adm. Darlan, który miał nadzieję na przejęcie polskiej agentury w Kriegsmarine. Dzięki niemu Żychoń zaczął się w polskiej placówce wywiadowczej przy francuskiej admiralacji. Po klęsce Francji, dzięki pomocy Brytyjczyków, został szefem Wydziału Wywiadowczego Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza.

Po śmierci gen. Sikorskiego w lipcu 1943 r. kpt. Jerzy Niezbrzycki – przed wojną pracownik Referatu Wschód – wraz z dwoma innymi oficerami wysunął przeciwko Żychoniowi oskarżenia o współpracę z Niemcami. Według nich, akcja „Wózek” miała być drugim – obok siatki

Sosnowskiego – kanałem dezinformacji polskiego wywiadu przez Abwehrę. Rozpoznanie koncentracji Wehrmachtu przez bydgoską ekspozyturę przed atakiem na Polskę miało być elementem budowania pozycji majora jako podwójnego agenta. Nawiasem mówiąc, Referat Wschód nie potrafił rozpoznać koncentracji jednostek Armii Czerwonej nad wschodnią granicą Polski we wrześniu 1939 r., o czym donosił chociażby wywiad KOP. Oficerowie nie mieli żadnych dowodów na swoje twierdzenia, a sąd wojskowy, przed którego oblicze trafiła sprawa, oczyścił Żychonia z zarzutów, dodatkowo skazując delatorów za oszczerstwo.

Niezbrzycki miał jednak duże ambicje i duże wpływy w naczelnym dowództwie. Żychoń uznał, że nie może dłużej pracować w takiej atmosferze, i poprosił o skierowanie go do Polski jako cichociemnego. Nikt jednak nie chciał ryzykować wysłania w taką misję człowieka z archiwum wywiadu w głowie. W końcu, w lutym 1944 r., zostaje skierowany do 5. Kresowej Dywizji Piechoty jako zastępca dowódcy 13. Wileńskiego Batalionu Strzelców. 17 maja został ciężko ranny w bitwie pod Monte Cassino i umiera następnego dnia. Jego ostatnimi słowami były: „Za Polskę i dla Polski”.

Nawet po śmierci przeciwnicy nie dali mu spokoju. Założano jego ekshumacji, żeby sprawdzić, czy nie uciekł do Niemców. Jeszcze w 1945 r. skazany za oszczerstwo wobec Żychonia mjr Nowiński żądał od prezydenta Raczkiewicza wznowienia sprawy zdrady majora. Po powrocie do Polski wspierał PRL-owskie władze w oczernianiu „Dwójki” i sanacji. Wystąpił jako świadek oskarżenia w procesie Adama Doboszyńskiego, a nawet próbował zrzucić na Żychonia część odpowiedzialności za wydarzenia bydgoskiej krwawej niedzieli.

W 2017 r. nazwa bydgoskiej ulicy im. Oskara Langego – agenta GRU, który razem z Bolesławem Gebertem szpiegował w USA – została zdekomunizowana i otrzymała imię mjr. Żychonia. Wywołało to ostry protest lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej”, podpierającej się opiniami historyków, niezajmujących się dotychczas głębiej sprawami przedwojennego wywiadu. Uzasadnieniem znowu były nigdy niepotwierdzone oskarżenia Niezbrzyckiego i jego kompanów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

XIII w. /

Aleksander



Jakub Ostromecki

„Aleksander Newski” jest jednym z bardziej znanych dzieł powstałych w służbie totalitaryzmowi. Ordynarnie kłamliwy, zarazem jednak od strony artystycznej genialny

Prawda ekranu i prawda epoki Stalina

Newski

Kadr z filmu „Aleksander Newski”

FOT. GETTY IMAGES



Zwycięski książę Aleksander Newski
w bitwie na jeziorze Pejpus FOT. ARCHIWUM

S talin nieraz ingerował w scenariusze filmów Eisensteina. Jak pisze Michaił Heller w „Historii Imperium Rosyjskiego”: „Siergiej Eisenstein zamierzał zakończyć swój film sceną śmierci Aleksandra powracającego z Ordy. Stalin po przeczytaniu scenariusza odrzucił smutny finał. Napisał: »Taki dobry książę nie może umrzeć«”. Kilka lat później, podczas kręcenia „Iwana Groźnego”, dyktator kazał wykreślić sceny, w których okrutny (czyli w rozumieniu Stalina – dobry) car miewa rozterki moralne i momenty zawahania. Eisenstein nie mógł pozwolić sobie jednak na swobodę artystyczną. Stalin wiedział o jego homoseksualizmie, a w Sowietach był to wystarczający powód, by wtrącić kogoś do więzienia.

Losy „Aleksandra Newskiego” były dość poplątane i mogłyby stanowić inspirację dla orwellowskiej propagandy z „Roku 1984”. Film, w którym ucieleśnieniem zła są Niemcy, został nakręcony w 1938 r., w czasie gdy ZSRS i III Rzesza pały do siebie nienawiścią. Występujący na początku Mongołowie, których Aleksander Newski karze „zostawić na potem”, są zaś aluzją do rozejmu między Sowietami a Japonią, który zawarto pod koniec lat 30. Kilka miesięcy po premie-

rze filmu doszło do podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow. Film szybko zniknął zatem z ekranów i ludzie mający na uwadze swoje życie nie zadawali o niego pytań. W 1941 r., gdy Niemcy i Sowiet skoczyli sobie do gardeł, film wyciągnięto oczywiście z cenzorskich szaf i zagrzevano nim do boju w ramach tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej.

Jest rok 1241. Mieszkańcy Nowogrodu dowiadują się właśnie o inwazji Krzyżaków. Zagrożone miasto prosi o pomoc księcia Aleksandra Newskiego. „Drużyna to za mało” – mówi kniaź. I pod broń powołani zostają chłopci. Na zamrożonym jeziorze Pejpus (Czudzkim) ścierają się siły ciemności (Niemcy) i dobra (Ruś). Walka trwa długo, dochodzi do pojedynku między księciem a krzyżackim wielkim mistrzem. Ostatecznie wraża armia zostaje pokonana i wpada pod pękający lód.

Film opiera się na kilku wątkach charakterystycznych dla sowieckiej propagandy historycznej. Jest tu kult trzeźwo myślącego chłopskiego władcy przeciwstawiony śliskim kalkulacjom kupców. Jest prosty lud rąbiący na kawałki łaćńskie krzyże – symbole opresji – a w scenach wykuvania toporów i grotów pojawia się nawet przodownictwo pracy. Mongoł jest w filmie wrogi, ale jednak

przewidywalny. Bierze ludzi w jasyr i wymaga pokłonów, ale nie morduje. Co innego Niemiec. Zło idące z Zachodu jest tu wręcz archetypiczne.

Straszni Niemcy

W jednej z bardziej niedorzecznych scen niemieccy rycerze metodycznie wrzucają do płomieni małe dzieci, uprzednio unosząc je ku górze, niczym obrzydliwi czciciele kartagińskiego Baal-Hamona. Mimika aktorów emanuje butą. Grający mistrza Zakonu Kawalerów Mieczowych Władimir Jerszow został ucharakteryzowany na bohatera rzeźb Arno Brekera, czołowego artysty III Rzeszy. Wśród innych aktorów widać rysy twarzy i pozy niemal identyczne jak na XIX-wiecznych przedstawieniach Fryderyka II Hohenstaufa czy wielkiego mistrza Hermanna von Salzy.

Reżyser, portretując Niemców mordujących kobiety i dzieci, okazał się ordynarnym propagandzistą, choć oczywiście Inflantczycy nie byli święci. „Nie narodził się jeszcze taki, co by zdołał nas pokonać” – rzecze w filmie krzyżacki wielki mistrz. Owszem, narodził się. Kilka lat przed wojną z Nowogrodem, w 1236 r., Inflantczycy zostali

rozgromieni przez pogańskich Litwinów na bagnach w okolicy Szawli. Sowiecki reżyser nie mógł jednak w latach 30. hołubić osiągnięć Litwy – państwa niepodległego i do tego burżuazyjnego. Ci, którzy przeżyli pogrom, zostali w 1237 r. wcieleni do zakonu krzyżackiego. Pruscy mnisi uczynili to niechętnie, albowiem Inflantczyków mieli za oprychów i grzeszników. Raportowali do papieża i cesarza, że są to „ludzie folgujący własnym skłonnościom, niedochowujący wierności regule, chcą tylko, aby dać im wolną rękę i nie kontrolować ich postępowania, chyba że za ich zgodą”.

Najeźdźcy nie byli jednak bardziej okrutni niż Rusini wobec siebie. W XII i na początku XIII w. bratobójcze walki były tu na porządku dziennym. Rurikowiczowie rządzący poszczególnymi księstwami nie mieli oporów, aby wyżywać całe miasta, choć były zamieszkane przez ludzi mówiących tym samym językiem i wyznających tę samą wiarę.

Wojna Konfederacji Inflanckiej z Księstwem Nowogrodu nie była ani epickim starciem cywilizacji na miarę krucjat lewantyjskich czy rekonkwisty, ani tym bardziej preludium do hitlerowskiego ludobójstwa. Co to bowiem za krucjata, która na zdobytym terenie nie kwapi się zbytnio do chrzczenia podbitych czy wznoszenia katolickich świątyń w miejscu prawosławnych? Przecież w zdobytym w 1241 r. Pskowie Inflantczycy pozostawili raptem dwóch braci-rycerzy wraz z knechtami, a miastem dalej zarządzili rusińscy sojusznicy Niemców. Nie było masowych konwersji na katolicyzm. Najeźdźcy faktycznie łupili okolicę, tak jak każda inna armia owych czasów. Nie było jednak żadnej rzezi pskowie – miasto się poddało, a przeciwnikom „opcji niemieckiej” pozwolono ująć wraz z rodzinami.

O tym, że Niemcy i Rusini z Pskowa nie byli sobie aż tak

obcy, świadczy to, iż kilka lat przed wojną Teodoryk z Buxhövdén, brat biskupa Dorpatu, wziął sobie za żonę „schizmatyczkę” Zofię z dynastii Rurikowiczów. Autor słynnych „Krucjat Północnych” Eric Christiansen stwierdza wyraźnie: „Biskup Albert i Kawalerowie Mieczowi nie byli bezpośrednio zainteresowani przeobrażeniem doraźnych wojen z ruskimi księżętami w walkę z Kościołem wschodnim. Rusowie byli zbyt wartościowi jako kupcy i zbyt uciążliwi jako najeźdźcy, aby antagonizować ich bardziej, niż potrzeba. Dopóki dawali sobie wyperswadować, by trzymali się z dala od Bałtów, Rydze to wystarczało”.

Bzdurna jest też teza, którą film kładł do głów sowieckiej publiczności, o wyłącznie obronnej postawie Rusi Nowogrodzkiej. Państwo to, tak jak każde inne, dokonywało podbojów – zmuszało do posłuszeństwa Ugrofinów na dalekiej

północy i starało się, choć niemrawo, uzależnić Bałtów. W latach 1221 i 1234 Rusini wyprawiali się na tereny zajęte przez Niemców i Duńczyków. W dalekiej Finlandii trwała walka między Rzymem a prawosławiem o dusze tamtejszych ludów łowieckich. Jednakże pskowscy Rusini i Niemcy nieraz stawali w jednym szeregu – np. przeciw pogańskim Litwinom. Raz zostali nawet wynajęci jako najemnicy przez kawalerów mieczowych w ich reżimie przeciw... katolickiemu biskupowi Lihuli.

Krzyżowcy w wiadrach na głowie

Eisenstein ubrał wszystkich niemieckich rycerzy w jednolite białe płaszcze z czarnym krzyżem. Ten sam błąd popełnił potem Ford w „Kruczakach”. W rzeczywistości w 1241 r. na Nowogród najeżdżały siły konfederacji państewek, które w początkach stulecia założyli Niemcy i Duńczycy na terenie dzisiejszych Łotwy i Estonii. Były to zatem ziemie: kawalerów mieczowych (od 1237 r. krzyżackie), biskupstwa Dorpatu i należące bezpośrednio do króla Danii.

Podczas bitwy na lodzie braci zakonnych było w tej armii nie więcej niż 100 na całą armię liczącą ponad 2,5 tys. zbrojnych. Większość kontyngentu rycerzy stanowili świeccy miejscowi lub „przyjezdni”. Armia napastników powinna zatem mieć się kolorowymi herbami rodów, miast lub biskupstw. Mistrz krajowy Andreas von Felbena nie mógł pojedynkować się z kniazem Aleksandrem. David Nicolle – autor monografii bitwy – stwierdza wręcz, że mistrz „nie popierał chyba tej kampanii, chociaż wziął udział w podboju Pskowa. Trzymał się jednak z dala od następnych operacji wojskowych



Siergiej Eisenstein FOT. ARCHIWUM

ani nie był obecny podczas bitwy na jeziorze Pejpus". Armią krzyżowców dowodził biskup Dorpatu Hermann von Buxhövden.

Eisenstein założył owej armii na głowy jednolite zamknięte „garnckowe” hełmy mające z grubsza przypominać te używane od połowy XIII w. Do owych filmowych rekwizytów bardziej pasowałoby jednak słowo „wiadro”. Lata 40. XIII w. to zdecydowanie zbyt wczesny okres na to, aby wszyscy konni wasale mogli uzbroid się w drodze zamknięte hełmy tego typu. Nicolle wspomina, że rycerstwo duńskie było pod względem wyposażenia „lekkie zacofane” wobec Niemców. Większość z wasali powinna mieć zatem hełmy otwarte, u góry lekko kwadratowe, a konni sierżanci (u nas najbliższy termin to pocztowi lub panosze) mogli sobie pozwolić najwyżej na kapalinę lub tylko na kaptury koczne.

Sporą część owej napastniczej armii, bo aż 1 tys. wojów, stanowili powierzchownie schrzystianizowani Estowie, zachęceni perspektywą łupu na wschodnich sąsiadach. W filmie ich odpowiednikiem jest niewiadomego pochodzenia piechota ubrana w baśniowe hełmy będące mieszanką niemieckiego stahlhelmu z pierwszej wojny światowej i późnośredniowiecznej salady. W rzeczywistości Estowie walczący po stronie krzyżowców zakładali ochrony ze skóry, bogatsi zaś typowo wschodnie pancerze lamelkowe. Piechota ta w marszu używała karłowatych koników, które nie nadawały się oczywiście do szarży. W filmie po klęsce na jeziorze owi anonimowi piechurzy zostają wspaniałomyślnie puszczeni wolno przez kniazia Aleksandra, „bo Niemcy zmusili ich do służby i walki”. Jest to jawne nawiązanie do propagandy „wyzysku chłopca i robotnika w społeczeństwie feudalnym i kapitalistycznym”. Prawdziwa historia Estów w owej wojnie wyglądała jednak inaczej – po odbiciu pogranicznych grodów książę Aleksander wypuszczał Niemców, Ugrofinów zaś, którym niegdyś Ruś narzuciła zwierzchność, a którzy teraz przeszli na stronę Niemców, wieszał jako „zdrajców”.

Bitwa na lodzie

Prawdziwa bitwa na lodzie składała się z dwóch faz. Najpierw ciężka jazda krzyżowców uszykowana w klin ude-

rzyła na piechotę stojącą w centrum ugrupowania nowogrodzian. Zmiażdżyła dużą jego część, ale utknęła. W czasie gdy rycerze i sierżanci przegrupowywali się, na ich boki uderzyła ze skrzydła konnica nowogrodzka. Jedno z rusińskich skrzydeł, północne (prawe), złożone było w dużej części z konnych łuczników, „czarnych czap”, najprawdopodobniej Połowców. To uderzenie spowodowało zamieszanie w szeregach krzyżowców, odwrót i w konsekwencji klęskę. Estowie podążający za jazdą nie zdążyli najprawdopodobniej wziąć udziału w walce i też uciekli.

Eisenstein ukazał owe dwa krytyczne momenty bitwy, nie informując oczywiście o tym, że krzyżowcy mieli sojuszników wśród lokalnych plemion. Z przyczyn propagandowych nie zamierzał również dzielić się zwycięstwem z jakimś tureckimi koczownikami. Bitwa na lodzie miała być sukcesem wyłącznie ludu ruskiego. Reżyser dodał jednocześnie kilka fikcyjnych elementów, takich jak pojedynek Aleksandra z mistrzem krzyżackim czy opór stawiany przez piechotę krzyżowców na środku jeziora. Nie wiadomo, czy rzeczywiście lód załamał się pod naporem cofających się stłoczonych krzyżowców. Najwcześniejsze opisy bitwy o tym nie wspominają i najprawdopodobniej jest to wymysł reżysera.

Ludowy spryt

Aleksander w wyobrażeniu Eisensteina to prawdziwie chłopski książę. Dzień upływa mu na zastawianiu sieci wspólnie ze smerdami. Do polityki ma dość duży dystans aż do momentu, gdy Psków wpada w ręce krzyżowców. Jego niezłomny charakter jest przeciwieństwem ośliżłych nowogrodzkich kupców, którzy na każdym kroku myślą, jak tu się wykupić od krzyżackiego niebezpieczeństwa.

Niepodobna oczywiście, by ruski książę parał się pracą fizyczną. Prawdziwy Aleksander nie był też gorszym



lawirantem od swoich nowogrodzkich poddanych. Jedno z wielu prawdziwych zdań, które pada w filmie, dotyczy właśnie wyboru między niebezpieczeństwem krzyżackim a mongolskim. Aleksander wiedział, że jego ojciec został otruty przez Mongołów, ale mimo to dobrowolnie ukorzył się przed nimi i gorliwie zabiegał

o względy zdobywców, nie mając skrupułów w nasyłaniu mongolskich zaigonów na swoich krewnych. Jest to teza bardzo w Rosji niepopularna, ale wielu historyków stwierdza, że Ruś przetrwała właśnie dzięki Mongołom. Zdobycy, choć okrutni w czasie dokonywania podboju, byli tolerancyjni. Cerkiew pod ich rządami była zwolniona z podatków. Takimi swobodami na pewno nie cieszyłaby się, gdyby Aleksander Newski ukorzył się przed Zachodem.

Niepodobna, by wówczas w Sowietach nakręcono jakiegokolwiek dzieło w pozytywnym świetle ukazujące religię. Niemcom w filmie towarzyszą oczywiście ohydni katolicyści duchowni. Zbrodniarzom przygrywa na przenośnych organach brzydki stary mnich w habicie. Pod koniec filmu, już po klęsce krzyżowców na jeziorze, rusińscy chłopci uzbrojeni w siekiery i spisy ruszają na namiot wielkiego mistrza. Rąbią i depczą krzyże, a księża i mnisi uciekają niczym szczury.

Po stronie Nowogrodu duchowni występują gdzieś w tle i zaraz chowają się w cerkwi. Triumf na zamrażniętym jeziorze jest triumfem na wskroś świeckim. Jest to skrajny anachronizm. Prawosławie, cokolwiek by powiedzieć o reliktach pogaństwa w ówczesnej Rusi, było jej najważniejszym spoiwem i trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek przedsięwzięcie publiczne bez udziału batiuszków i metropolitów. Ten błąd polegający na rugowaniu religii z życia dawnych kultur jest jednakowoż powielany również w dzisiejszych superprodukcjach historycznych powstałych – zdawałoby się – bez nacisków propagandy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1667-2020

Trzecia z Gujan + Surinam

Budowa imperium kolonialnego
Niderlandów nie byłaby możliwa
bez silnej dalekomorskiej floty. FOT.

PIOTR SEMKA

Smutek holenderskich tropików



Piotr Semka

Holandia stworzyła imperium kolonialne, którego ważną częścią był Surinam. Współcześni Holendrzy próbują się rozliczyć z tą przeszłością

Surinam przez prawie cztery wieki był kolonią Holandii i pod wieloma względami osobliwością. Obok Gujany Francuskiej i Gujany Brytyjskiej stanowił jedną z trzech „obcych” kolonii na kontynencie Ameryki Południowej, której reszta po-

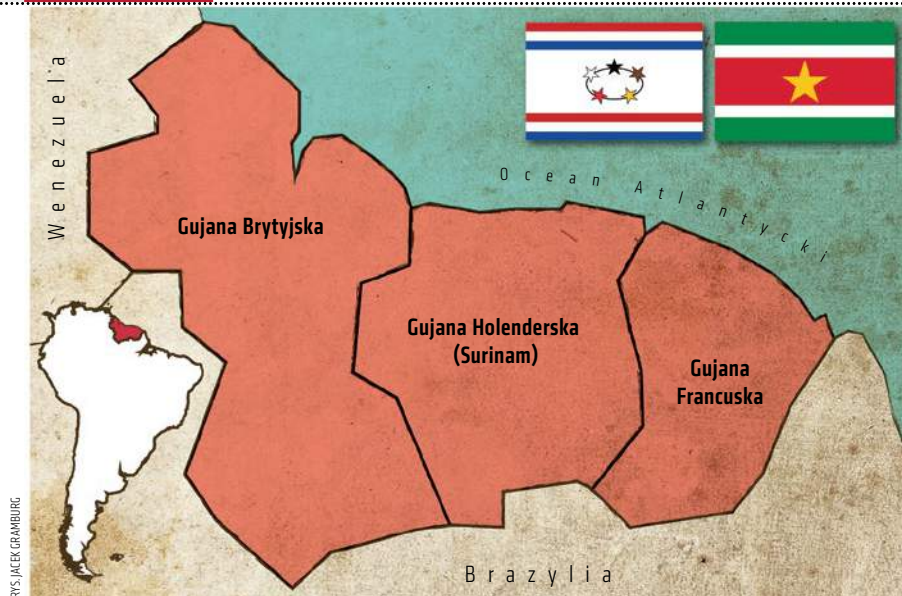
dzieliły między sobą Hiszpania i Portugalia. Obejmował obszar czterokrotnie większy od Holandii, a zamieszkiwało go zawsze niewiele ludności. Jeszcze dziś ten kraj liczy tylko 597 tys. ludzi. W 1975 r. królowa Holandii Juliana uroczyście ogłosiła zrzeczenie się władzy kolonialnej i początek niepodległości

Surinamu. Jest to jedyny kraj – poza Holandią i jej terytoriami zamorskimi oraz Belgią – gdzie mówi się po niderlandzku.

O losach tej mało znanej krainy opowiada wielka wystawa w amsterdamskim Nieuwe Kerk. Ekspozycja jest fascynująca szczególnie dla polskiego widza. No bo co my w końcu wiemy o Surinamie?

W poszukiwaniu Eldorado

Holendrzy, tak jak w wielu innych miejscach na świecie, pojawili się tu „na trzeciego”. Najpierw do tych wybrzeży



■ przybijali Hiszpanie, potem Portugalczycy, jeszcze później Anglicy i wreszcie swój skrawek Ameryki Południowej postanowili zdobyć przybysze z Niderlandów. Jednak – choć przybyli jako trzeci – nie dali sobie wyrwać tego skrawka Ameryki Południowej przez kolejne prawie 400 lat. Pokój w Bredzie (1667) uroczyście przyznawał Holendrom prawa do ich własnej Gujany. Własnej, bo Anglicy założyli swoją własną po jej zachodniej stronie, a Francuzi po wschodniej.

Tereny te długo nie były spokojne. W epoce napoleońskiej kraj znów okupowali Brytyjczycy. Portugalczycy próbowali od południa uszczknąć, co się dało, z tej holenderskiej kolonii. Nic dziwnego. Większość ludności kolonii skupiała się w pasie terytorium wzdłuż morza.

Największą część terenów Surinamu stanowią lasy tropikalne. I to od nich zaczyna się ekspozycja. Świat surinamskiej dżungli, zwany przez Europejczyków „zielonym piekłem”, dla przybyszy z Holandii był niezwykle trudny do eksplorowania. Stanowił za to dom indygenicznych plemion Indian. Z megafonów na wystawie płyną odgłosy dżungli – świergot ptaków i ryki zwierząt. Dzisiaj pozostały jedynie resztki po ok. 200 tys. populacji indiańskiej, którą zastali Holendrzy w XVI w. Na honorowym miejscu ekspozycji widnieje kamienna maska rytualna – jeden z niewielu śladów po tutejszej kulturze prekolumbijskiej.

Dlaczego wdzierano się w te zielone płataniny lian i drzew tropikalnych? Początkowo wierzono, że gdzieś tu znajduje się Eldorado – baśniowa kraina pełna złota. Potem zainteresowano się wypalaniem dżungli i tworzeniem plantacji

kakao, kawy i trzciny cukrowej, na które był w wiekach XVII i XVIII boom w Europie. Gdy w 1667 r. Holendrzy obejmowali te tereny, istniało już 178 angielskich plantacji. Ich liczba rosła szybko. Szybko kapitanowie holenderskich kompanii handlowych zaczęli dostarczać kolejne partie niewolników z Afryki.

Tej haniebnej praktyce poświęcono osobną salę wystawową, całą w przygnębiającej czerni. Wejście do niej przypomina klatkę z kratami na wzór pomieszczeń dla „żywego towaru” na statkach. Zza krat wystają ręce nieszczęsnych więźniów. W XVII w. powstał tzw. złoty trójkąt – holenderscy kupcy wypływali z Amsterdamu do faktorii na brzegu Afryki. Tam kupowano niewolników od arabskich handlarzy. Murzynów wieziono na statkach do Brazylii lub Surinamu, gdzie sprzedawano ich na aukcjach niewolników. Za uzyskane pieniądze kupowano towary kolonialne i wracano do Amsterdamu.

Kolejna sala w bardzo interesujący sposób pokazuje, jak powstała i okrzepła na długie trzy stulecia dość sztywna hierarchia społeczna oparta na władzy białych, roli pomocniczej Mulatów – czyli dzieci Holendrów i Murzynek – i wreszcie pracy przymusowej czarnych niewolników.

Najwięcej eksponatów pochodzi z Amsterdamu. Z uroczystych portretów spogląda na nas cała plejada gubernatorów kolonii, dowódców wojskowych i potentatów z kompanii handlowych. Tuż obok sztychy obrazujące egzotyczne i intrygujące białych życie niewolników. Ich afrykańskie wierzenia, karnawałowe pochody i wyniszczającą pracę. Plantato-

rów ten dziwny świat odstręczał swoją dzikością, ale i kusił swoją vitalnością.

Właściciele ziemscy trzymali niewolników w twardej dyscyplinie utrzymywanej przez strażników z pejcami, ale niekiedy potrafili edukować wybranych chłopców, a potem zabierać ich ze sobą do odległej Holandii.

Specyfiką Surinamu był spory udział Żydów w warstwie właścicieli plantacji. Byli to Żydzi sefardyjscy, którzy po wygnaniu z Półwyspu Iberyjskiego znaleźli schronienie w Niderlandach, skąd po zdobyciu kapitału wyruszyli do kolonii. Pierwsza synagoga Żydów portugalskich powstała w Jodensavanne w 1685 r. Prawie pół wieku później, w 1730 r., Żydzi stanowili grupę 115 właścicieli plantacji trzciny cukrowej na ogólnej liczbie ok. 400 farm.

Przemoc jednak wywołuje opór. Szybko pojawiła się nowa grupa społeczna – „marrons”, czyli czarni zbiegowie z plantacji znajdujący schronienie w buszu. Ci, którzy zdołali się nauczyć życia w dżungli i zorganizować, rozpoczynali ataki na plantacje. W ramach represji wysyłano ekspedycje wojskowe, aby wyłapywać i wieszać buntowników. Z czasem jednak gubernatorzy zaczęli iść z niektórymi maronami na układy. Dzisiaj niektórzy ich watażkowie są pasowani ex post na liderów walki antykolonialnej, awansując do rangi bohaterów narodowych niczym nasz Janosik.

Osobne sale przeznaczono dla uczczenia kobiety, którą zafascynowała flora i fauna Surinamu. Maria Sibylla Merian (1647–1717) zorganizowała wiele wypraw w głąb dżungli i własnoręcznie stworzyła dziesiątki rycin poświęconych owadom i kwiatom dżungli.

Tygiel kultur i narodów

Świat plantacji oparty na sile niewolników zaczął powoli chylić się ku upadkowi w pierwszej połowie XIX w. Gdy w 1833 r. niewolnictwo zniesiono w imperium brytyjskim, a w 1848 r. uczyniła tak samo Francja – stało się jasne, że Holandia będzie zmuszona pójść za przykładem swoich sąsiadów. Po długich sporach o to, kto ma wynagrodzić straty właścicielom plantacji, w końcu (1863) król Holandii Wilhelm III ogłosił

długo propagowany przez obrońców praw człowieka zakaz handlu niewolnikami. W ich miejsce zaczęto kontraktować robotników z Chin, Indii i Jawy. Dwie trzecie przybyszy zostawało tu na stałe. Szybko zmieniło się oblicze etniczne Surinamu. Obok białych Europejczyków, Mulatów i Murzynów pojawili się wyznawcy islamu z Indii Holenderskich, Chińczycy i Hindusi. Paradoksalnie wzmocniło to pozycję Holendrów jako gwarantów ładu, w którym żadna z grup kolorowych nie zyskiwała dominacji.

Pochyliam się nad wystawą darów fundowanych z datków 8 tys. bardziej zamożnych mieszkańców Surinamu na prezenty ślubne dla następczyni tronu księżny Wilhelminy, która wyszła za mąż za księcia meklemburskiego Henryka. Pięknie wyczelowany przez złotnika model starego galeonu i herb surinamskiej kolonii wykonano z czystego złota wykopanego w odległej posiadłości monarchii orańskiej. Poza takimi uroczystościami jak święta z okazji ślubów królewskich czas płynął w kolonii w zwolnionym tempie, którego nie zakłóciła nawet pierwsza wojna światowa, w której Holandia zachowała neutralność. Ten świat zatrzęsł się dopiero w czerwcu 1940 r., gdy Niemcy zajęli stary kraj, a dwa lata potem Japończycy podbili Indie Holenderskie, czyli dzisiejszą Indonezję. Królowa Wilhelmina wyjechała do Kanady, będąc żywym symbolem oporu Holendrów i jej emigracyjnej armii. Surinam wraz z holenderskimi Antylami pozostały jedyną nieokupowaną częścią królestwa. Z racji niezwykle ważnych dla aliantów złóż boksytów Surinam obsadziła za zgodą królowej Wilhelminy armia amerykańska. Najwyraźniej Anglicom nie ufano.

Wizyta następczyni tronu Juliany w 1943 r. była wielkim świętem Surinamu, które obejrzeć można na wojennych

czarno-białych zdjęciach. Pod naciskiem USA Holendrzy wprowadzili po drugiej wojnie światowej pełny pluralizm partyjny. Szybko na czele polityki wolnościowej znaleźli się Kreole (miejscowi potomkowie kolonizatorów), niekiedy bardzo wyraźnie komunizujący.

Za prekursora ruchu wyzwolenczego uchodzi dziś w Surinamie czarnoskóry Anton de Kom (1898–1945). Jego ojciec urodził się jeszcze jako niewolnik. Wyda-

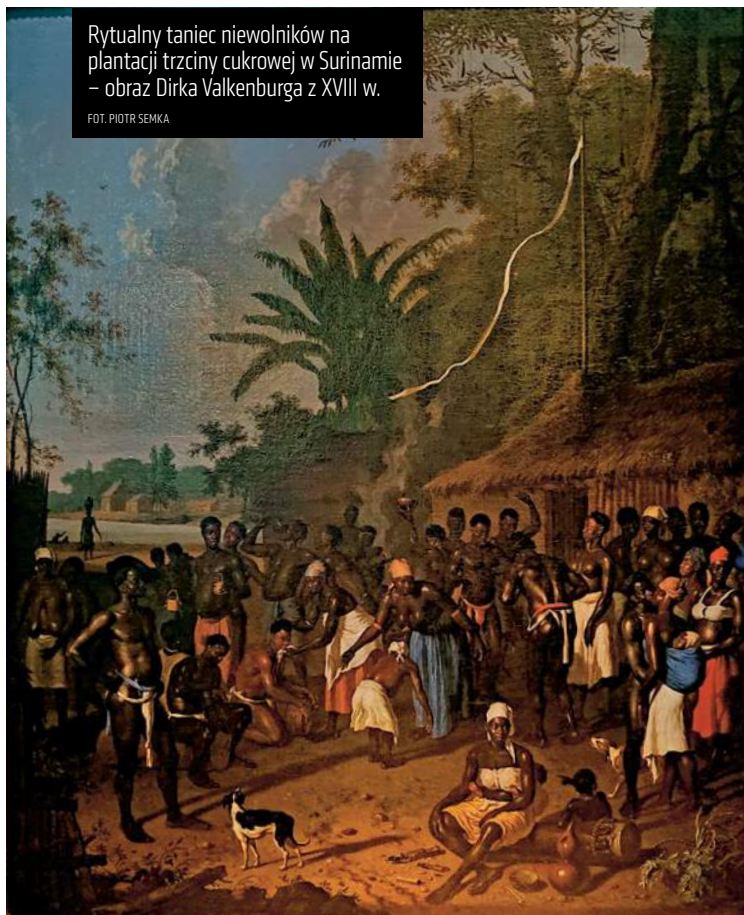
obawy Hindusów, Chińczyków i Jawajczyków przed dominacją kreolską jeszcze czas jakiś powstrzymywały rząd w Hadze przed zakończeniem epoki kolonialnej. Wreszcie w 1975 r. królowa Juliana przybyła do Paramaribo ogłosić niepodległość kraju. Jej zielona suknia balowa przyszykowana na tę okazję jest centralnym eksponatem na wystawie. Co było potem? To wystawa omawia bardzo ogólnikowo. Około 300 tys. Surinam-

czyków wyemigrowało do Holandii, nie ufając w zdolności lokalnych polityków do utrzymania poziomu życia jak za czasów kolonialnych. Czas pokazał, że mieli pełną rację. Rozpoczął się okres ponad trzech dekad politycznego kryzysu, zamachów stanu, wojny domowej i życia z pomocy Holandii dla byłego dominium.

Dzisiaj na czele Surinamu stoi polityk zamieszany w handel narkotykami, korupcja jest niemal jawna, a stare zabytkowe drewniane domy w stolicy kraju – Paramaribo – rozpadają się wskutek braku pieniędzy na remonty. O tym wszystkim na wystawie się nie dowiemy. Możemy za to obejrzeć imitację wędrownego baru rowerowego z drinkami z ulic Paramaribo, imitację bazaru surinamskiego czy przekonać się, jak niewiarygodnie kolorowe są suknie surinamskich Murzynek.

Autorzy wystawy w amsterdamskim Nieuwe Kerk wyraźnie kierowali się logiką rozliczenia z kolonialną przeszłością Holandii. To powoduje z jednej strony ostre mówienie o holenderskim niewolnictwie, a z drugiej – wygładzanie wielu zmarszczek, gdy mowa o najnowszych losach byłej kolonii. Ano cóż, poczucie winy za kolonializm w Holandii nadal jest silne. Nie nam osądzać te historyczne traumy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rytualny taniec niewolników na plantacji trzciny cukrowej w Surinamie – obraz Dirka Valkenburga z XVIII w.

FOT. PIOTR SEMKA

lony z Surinamu przez miejscową policję za działalność komunistyczną, tuż przed wojną został zmuszony do wyjazdu do Holandii. Aktywny w holenderskim ruchu oporu, został pojmany przez Niemców i zesłany do obozu w Sachsenhausen, a następnie do pracy niewolniczej w fabryce Heinkla w Bremervörde, gdzie zmarł wskutek gruźlicy 24 kwietnia 1945 r., dwa tygodnie przed wejściem wojsk sowieckich.

Holandia z coraz większym trudem powstrzymywała populizm lewicowych polityków kreolskich. Tylko wyraźne

Wielka wystawa „Surinam” czynna jest w Nieuwe Kerk w Amsterdamie do 2 lutego 2020 r.

/ Żołnierze Waffen-SS słynęli z potwornego okrucieństwa i fanatycznej waleczności. Dlaczego tak wielu ochotników spoza Rzeszy zgłosiło się do tej formacji?

PIOTR WŁOCZYK: Co 800 Francuzów robiło w kwietniu 1945 r. pod Kancelarią Rzeszy?

DR HAB. JOCHEN BÖHLER: Bronili siedziby Hitlera przed ostatnim atakiem wojsk sowieckich. To oczywiście wygląda jak absurd – Francja jest już w tym czasie wolnym krajem, ale setki Francuzów bronią stolicy III Rzeszy.

Francuzi z 33. Dywizji Grenadierów SS „Charlemagne”, którzy bronili Berlina przed Sowietami, już od kilku lat służyli po stronie Niemców. Walczyli do samego końca, ponieważ nie widzieli innej możliwości, nie mieli już niczego do stracenia. W przypadku pojmania groziła im śmierć – z rąk Sowietów, którzy nie mieli litości dla esesmanów, ale także najwyższa kara groziła im w ich ojczyźnie. Walcząc po stronie Waffen-SS, brali bowiem na siebie część winy za potworne zbrodnie.

Prawie nie było jednostki Waffen-SS, która nie miałaby na swoim koncie mordów.

Francuzi do dziś wspominają masakrę dokonaną na mieszkańcach Oradour-sur-Glane.

Mówimy teraz o esesmanach z dywizji pancernej „Das Reich”, którzy zamordowali 10 czerwca 1944 r. w Oradour-sur-Glane 642 osoby – mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Zabici zostali niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Masakra była przeprowadzona na olbrzymią skalę, ale był to absolutny wyjątek w kontekście okupacji Francji. W tej sprawie szokować może, że niektórzy sprawcy tej masakry zostali ukarani przez francuski sąd dopiero dziewięć lat po wojnie!

Dlaczego francuskiemu wymiarowi sprawiedliwości tak trudno było osądzić tych ludzi?

Ponieważ Francja miała z nimi problem. Czternastu członków kompanii SS, która dokonała tego mordu,



Grenadierzy Waffen-SS

FOT. BUNDESARCHIV BILD 1 WIKIPEDIA

Wywiad / Z niemieckim historykiem
dr. hab. Jochenem Böhlere



rozmawia Piotr Włoczyk

Zabójcza machina Waffen-SS



scy żołnierze Waffen-SS mogli nie być największymi fanami Hitlera, ale byli za to zajadłymi wrogami Stalina. Żeby tylko nie żyć pod sierpem i młotem, oddawali się swastyce.

Ten rodzaj motywacji jest jak najbardziej zrozumiały u żołnierzy z państw bałtyckich czy u Ukraińców. Ale u Francuzów? Przecież ten kraj nigdy nie zaznał komunistycznego terroru.

Czerwonego terroru faktycznie nie zaznał, ale przed drugą wojną światową komunizm był tam bardzo silny. Do Waffen-SS szli Francuzi z drugiej strony sceny ideologicznej – ze skrajnej prawicy. Inna sprawa, że niemiecka okupacja Francji była dużo łagodniejsza niż w Europie Wschodniej, co sprzyjało rekrutacji. We Francji zagrożeni śmiercią byli głównie Żydzi i członkowie ruchu oporu.

Wojna domowa w Hiszpanii, po sąsiedzku, też chyba robiła swoje?

To był też bardzo ważny czynnik motywacyjny. Wojna domowa w Hiszpanii była w znacznej mierze międzynarodowa. Ludzie, którzy walczyli po stronie Franco – w tym Francuzi – często szli potem na ochotnika na front wschodni, by walczyć z bolszewizmem.

Do legendy przeszła niesamowita wartość bojowa jednostek Waffen-SS. Na ile ten obraz przystaje do rzeczywistości?

Skuteczność i waleczność Waffen-SS były oceniane generalnie bardzo wysoko, ale... Waffen-SS z roku 1941 to nie to samo co Waffen-SS z 1944 r. Początkowo była to bowiem totalnie elitarna armia złożona z samych Niemców. Bardzo trudno było się dostać do tych jednostek, liczyła się nie tylko ponadprzeciętna sprawność fizyczna, lecz także postawa ideologiczna. Początkowo trzeba było mieć nawet odpowiedni wzrost, ponieważ Heinrich Himmler chciał zrobić z tych jednostek absolutną awangardę nazistowskiego państwa.

W pierwszym okresie istnienia Waffen-SS dawały jednak o sobie znać ■

decydowało się walczyć pod Niemcami, aby dostać dobry żołd, zapewnić byt rodzinie, a także swoim akcesem zabezpieczyć bliskich przed niebezpieczeństwem eksterminacji.

Innym ważnym czynnikiem motywacyjnym była oczywiście ideologia. Trudno nam zrozumieć, jak to możliwe, skoro Niemcy uważali się za nadludzi. Przedstawiciele innych nacji, np. niektórzy Francuzi, sądzili jednak, że walką w Waffen-SS polepszą własny los i znajdą dla siebie jakieś miejsce w 1000-letniej Rzeszy.

Po stronie Niemców walczyli jednak też ci, którzy byli niemal na samym końcu ich hierarchii ludów europejskich...

Tak, np. Ukraińcy. Dla nich największą rolę grały powody historyczne, państwowotwórcze. Do Waffen-SS zgłaszali się ludzie, którzy chcieli żyć we własnych państwach narodowych. W tej kategorii ochotników do Waffen-SS obok Ukraińców znajdują się też żołnierze z państw bałtyckich. Pewnie mało kto z nich się łudził, że ich państwa będą w pełni niezależne, ale ci ludzie liczyli na pewną autonomię pod skrzydłami III Rzeszy.

Ważne też było to, przeciwko komu walczyli. W drugiej fazie wojny antybolszewizm wychodził na czoło czynników motywacyjnych. Widać to w niemieckiej propagandzie – na wszystkich plakatach z tego okresu Niemcy grają na nucie antybolszewickiej. Cudzoziem-

było bowiem Francuzami... To była dla Francji bardzo wstydliva sprawa. Ten problem dotyczył jednak nie tylko Francji. Nierzadko zdarzało się przecież, że obcokrajowcy w Waffen-SS zabijali własnych rodaków. W Europie Wschodniej pod koniec wojny było to właściwie na porządku dziennym.

W Waffen-SS w czasie wojny służyło w sumie ok. 1 mln żołnierzy. Około pół miliona z nich stanowili obcokrajowcy. O co oni wszyscy walczyli? A może bardziej – przeciwko komu?

W naszej książce chcieliśmy pokazać, jak różna była motywacja ludzi, którzy walczyli w drugiej wojnie światowej po stronie Niemiec. Mówimy oczywiście o ochotnikach, ponieważ część żołnierzy wcielono do Waffen-SS siłą. Prawie wszędzie, gdzie Niemcy rządili w czasie wojny, znaleźli się ludzie chętni do Waffen-SS. Wyjątkiem była tu oczywiście Polska, ale też jej sytuacja była bardzo specyficzna. O tym pisze szerzej współautor książki, dr Jacek Młynarczyk.

Dla niektórych na pierwszy plan wysuwały się sprawy materialne. To bardzo ważna motywacja. Wielu

Ruiny Dradour-sur-Glane,
francuskiego miasteczka
spacyfikowanego przez
Waffen-SS FOT. WIKIPEDIA



■ pewne problemy z wartością bojową. Wehrmacht był doświadczoną machiną wojenną, ale jednostki Himmlera były przecież w tym temacie kompletnie zielone. Przykładowo raporty Wehrmachtu z pola walki w Polsce z 1939 r. punktowały wiele podstawowych błędów, jakie siły Waffen-SS popełniały w starciu z Polakami.

Nie wynikało to ze zwykłej niechęci? Generałowie z tradycyjnej armii chyba nie do końca przepadali za formacją, która była pupilem Himmlera?

To prawda, że nie przepadali za Waffen-SS, ale wygląda na to, że raporty były napisane w sposób obiektywny – armia Himmlera wtedy jeszcze dopiero zaczynała się wdrażać w żołnierski fach.

Tym, co bardzo odróżniało Waffen-SS od Wehrmachtu, było zacięcie ideologiczne, które kazało walczyć tym ludziom z dużo większym poświęceniem niż żołnierzom Wehrmachtu. To byli kompletni fanatycy, którzy bez wahania byli gotowi oddać życie za

nazizm. Jednostki Wehrmachtu były gotowe poddać się, gdy nie było innego wyboru. To było nie do pomyślenia w Waffen-SS.

Wehrmacht zazdrościł Waffen-SS takiego umocowania w strukturach III Rzeszy?

W 1939 r., w czasie kampanii wrześniowej, Waffen-SS było uważane przez Wehrmacht za konkurencję. Do tego czasu Wehrmacht był jedyną w III Rzeszy instytucją, która mogła walczyć. Generałowie z armii zwalczali konkurencję, bo chcieli mieć monopol. W miarę upływu czasu rywalizacja jednak zanikała. Każdy żołnierz się liczył. Pod koniec wojny nie było już żadnej konkurencji między Wehrmachtem a Waffen-SS.

Po co właściwie utworzona została ta formacja? W III Rzeszy wiele instytucji nachodziło na siebie pod względem kompetencji, żeby chaos organizacyjny sprzyjał zachowywaniu pozycji przez jedynego rozjemcę – Hitlera.

I nie inaczej było w przypadku Waffen-SS. Tak właśnie działała nazistowska machina państwowa.

Początki były elitarne, Waffen-SS pełne było „nadludzi”. Jednak po pewnym czasie ta koncepcja uległa zmianie i Himmler nagle się „zliberalizował”, jeżeli chodzi o rekrutację do tej formacji.

Była to decyzja wbrew oficjalnej ideologii, która mówiła, że Niemcy są najlepszymi wojownikami. Z punktu widzenia wierzeń nazistów ten krok był kompletnie nielogiczny. Sytuacja na froncie nie pozostawiała jednak wyboru – Niemcy potrzebowali wzmocnienia swoich szeregów. Ideologia musiała zejść na drugi plan i Waffen-SS trzeba było otworzyć na ochotników spoza „rasy panów”.

Jak Himmler tłumaczył esesmanom, że przyjmuje do Waffen-SS np. Ukraińców?



JOCHEN BÖHLER,
ROBERT GERWARTH,
JACEK MŁYNARZYK
„WAFEN-SS”

ZNAK



Zabójstwo cywila przez żołnierzy Waffen-SS FOT. ARCHIWUM

Tak, cała ta kwestia musiała być dla niego, twórcy „czarnego zakonu”, bardzo bolesna i musiała uderzać w jego ambicję. Na szczytach władzy dłuższy czas toczyła się dyskusja, czy można zaciągać do sił zbrojnych nie-Niemców. Dla wielu czołowych nazistów było to nie do zaakceptowania. Jednak wraz z kolejnymi problemami na froncie wschodnim zwykli żołnierze coraz lepiej rozumieli, że III Rzesza przegrywa wojnę i desperacko potrzebuje cudzoziemskich żołnierzy. Propaganda nie była więc ukierunkowana na przekonywanie niemieckich żołnierzy Waffen-SS, że poszerzenie ich szeregów jest konieczne, ale na wybrane społeczeństwa okupowane.

Czy to nie był niesamowity paradoks – Niemcy rozpętuja na froncie wschodnim fanatyczną wojnę totalną, zabijając masowo „podludzi”, przez co mieszkańcy ZSRŚ zaczynają z przekonaniem walczyć przeciw Hitlerowi. A potem ci sami Niemcy muszą sięgać po żołnierzy spoza kręgu „narludzi”, żeby zaradzić problemom na froncie, które sami na siebie ściągnęli swoim fanatyzmem...

Tych paradoksów jest cała masa w Waffen-SS. To się rzeczywiście wy- myka logice. Jeden paradoks pociągał za sobą drugi. Powiększenie armii w końcu doprowadziło do problemów, które początkowo wydawały się nie dotyczyć Waffen-SS, np. rozluźnienia dyscypliny. Cudzoziemscy żołnierze myśleli, że będą traktowani tak samo jak ich niemieccy koledzy, ale tak oczy-

wiście nie było – byli jednostkami drugiej kategorii. I to też wpływało na ich postawę. Zdarzało się, że całe oddziały Waffen-SS z Bałkanów przechodziły na stronę aliantów! Ci ludzie dołączali do Niemców, by bronić własnych wiosek przed partyzantką komunistyczną. Kiedy jednak dowództwo zabierało ich do Francji, by walczyli z Amerykanami, cała walka traciła dla nich sens.

W szeregach Waffen-SS służyli też muzuł- manie z Bałkanów. Jak dużą rolę odgrywał w ich przypadku antysemityzm, z którym generalnie kojarzy się wyznawców tej religii?

Nie da się ukryć, że antysemityzm też odgrywał pewną rolę, ale raczej nie była to sprawa pierwszorzędna. Muzułmańskimi żołnierzami Himmlera bardziej kierowały inne pobudki, np. możliwość zdobycia świetnego uzbro- jenia, które przypadało jednostkom tej formacji. Tę tezę potwierdzają częste dezercje muzułmańskich żołnierzy Waffen-SS.

Im bliżej końca wojny, tym gorzej się działo w ukochanej armii Himmlera?

Zgadza się. Szkolenie w esesmań- skiej „formacji” było coraz krótsze, a swoje robiły też problemy językowe. Żołnierze często nie rozumieli roz- kazów – nie wiedzieli, czego oficer od nich chce. Działo się coś, co było nie do pomyślenia w Waffen-SS – dyscyplina powoli się załamywała. To jednak róż- niło się w poszczególnych jednostkach, bo – jak już wspomnieliśmy – esesma-

ni z „Charlemagne” do końca bili się fanatycznie.

Czy Niemcom udało się zbudować w tej for- macji antykomunistyczne braterstwo broni?

Waffen-SS było projektem ogólnoeu- ropejskim, którego nie da się wytłu- maczyć jednym słowem: „antybolse- wizm”. To się różniło w odniesieniu do konkretnego kraju i jednostki. Jeżeli jednak szukać najczęściej pojawiają- cego się motywu, który łączył ze sobą tych żołnierzy, to tak – walka ze Związ- kiem Sowieckim na pewno zajmuje tu pierwsze miejsce. Ten rodzaj motywacji rezonuje po dziś dzień. Wciąż przecież widzimy, jak w krajach bałtyckich i na Ukrainie weterani z Waffen-SS są uwa- żani za bohaterów, co np. w Niemczech jest nie do pomyślenia. Ludzie, którzy czczą tych weteranów, nie widzą w tym ani krzty kolaboracji, tylko podkreślają antybolsewizm, którym kierowali się ci żołnierze.

Waffen-SS zostało przez historię zapamię- tane dużo gorzej niż Wehrmacht. Czy faktycznie obie te formacje tak bardzo się w tym kontekście różniły od siebie?

Myślę, że nie. Po wojnie w Niemczech długo funkcjonował mit, że Wehrmacht był rycerski, w przeciwieństwie do Waffen-SS. Tymczasem dla mieszkań- ców wiosek w Europie Wschodniej nie było większej różnicy, kto ich mordow- wał. Obie formacje wykazywały się podobnym bestialstwem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Jochen Böhler

– niemiecki historyk, wieloletni pracownik Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Obecnie pracuje na Uniwersytecie w Jenie. Jest m.in. autorem książek „Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce”, „Najazd 1939” i „Einsatzgruppen w Polsce” oraz „Waffen-SS” (współautorami tej ostatniej są Robert Gerwarth oraz Jacek Młynarczyk).



ZSRS / Potworna zemsta Stalina

Tajemnica procesu Bucharina



Piotr Zychowicz

/ Słynny bolszewicki przywódca na moskiewskim procesie pokazowym przyznał się do niepopelnionych zbrodni. Dlaczego?

Moskiewskie procesy pokazowe stanowią jeden z najbardziej odrażających epizodów w odrażających dziejach bolszewizmu.

A zarazem wielką zagadkę, nad której rozwikłaniem od ponad 80 lat biedzą się historycy, sowietolodzy, psychologowie i psychiatry. Jak coś takiego było możliwe? Jak to się mogło zdarzyć?

Oto bowiem w latach 1936–1938 w stolicy Związku Sowieckiego doszło do serii wielkich przedstawień sądowych, które wprawiły w osłupienie świat. Na ławach oskarżonych zasiedli bowiem czołowi sowieccy dygnitarze partyjni. Najważniejsi przywódcy komunistyczni, starzy bolszewicy, którzy razem z Leninem dokonali rewolucji.

Ludzie ci zostali oskarżeni o niedorzeczne i absurdatne czyny. O planowanie zamachów terrorystycznych na towarzysza Stalina, o akty sabotażu i dywersji, o szpiegostwo na rzecz III Rzeszy, Japonii i Polski. Oskarżono ich o to, że są faszystami, białogwardzistami, wrogami

ludu, którzy przez lata prowadzili szkodniczą działalność wymierzoną w partię i ojczyznę światowego proletariatu.

To nie fantastyczne oskarżenia były jednak najbardziej odrażające w moskiewskich procesach. Najbardziej odrażające było zachowanie podsądnych. Zamiast bronić się i odpyrać zarzuty – jak robią to normalni ludzie w każdym normalnym kraju świata – oni wysuwali samooskarżenia. Zamiast współpracować z obrońcami, pomagali prokuratorom.

Na sali sądowej wili się w histerycznych paroksyzmach samokrytyki. Miotali pod swoim adresem najgorsze obelgi, nazywając się „wściekłymi psami”, „zbrodniczymi faszystami” i „szpiegami”. Oskarżali siebie i swoich przyjaciół o najgorsze zbrodnie. Domagali się dla siebie kary śmierci.



Aleksiej Rykow i Nikołaj Bucharin w drodze na salę rozpraw FOT. WIKIPEDIA

Sieriebriakow i Karol Radek. Ten ostatni dostał tylko 10 lat, ale wkrótce został zabity w tajemniczych okolicznościach w łagrze.

Kulminacją kampanii był proces „ulubieńca partii” Nikołaja Bucharina. Odbył się on w marcu 1938 r., a wraz z nim sądzeni byli kolejni aparatchycy. Między innymi Aleksiej Rykow oraz były szef sowieckiej bezpieki Gienrich Jagoda.

We wszystkich trzech procesach główną rolę odegrała słynna złowieszka para: prokurator generalny Andrzej Wyszyński i sędzia Wasilij Ulrich. A tłem procesów była wielka czystka, która w latach 1937–1938 przewalała się jak walec przez Związek Sowiecki. W okresie tym NKWD zamordowało ponad 700 tys. ludzi.

Cztery teorie

Zachowanie oskarżonych na procesach moskiewskich było o tyle zaskakujące, że byli to starzy, zaprawieni w bojach rewolucjoniści. W czasie walki z caratem narażali życie, spędzili całe lata w więzieniach i na zesłaniu. Potem bili się w wojnie domowej i wprowadzali krwawą czerwony terror. Byli to więc ludzie twardzi. Co się z nimi nagle stało?

Według jednej z teorii oskarżonym w procesach pokazowych podawano narkotyki. Według innej – poddawano ich hipnozie. Według jeszcze innej samo oskarżenie były efektem bestialskiego katowania, wymyślnych tortur i wielodniowego pozbawiania snu. Oskarżeni byli już tak wymęczeni, że gotowi byli zrobić wszystko – byle tylko przestano ich maltretować.

W tej ostatniej hipotezie bez wątpienia jest sporo prawdy. Ściany pokojów

przesłuchań na Łubiance w tym okresie rzeczywiście były czerwone od krwi. Wielu oskarżonych w procesach moskiewskich było okrutnie bitych przez NKWD-zistów. Jest jednak jeszcze jedno wytłumaczenie. Jeszcze jedna teoria.

Teorię tę nagłośnił Arthur Koestler, nawrócony węgierski komunista, w swojej słynnej powieści „Ciemność w południe” z 1940 r. Według niego część oskarżonych zachowywała się tak na sali sądowej, bo uważała to za swój święty obowiązek wobec partii. Uważała, że dla dobra rewolucji musi złożyć w ofierze swoje życie i reputację.

O co chodzi w tym wariactwie? Otóż oskarżeni jako fanatyczni bolszewicy wierzyli święcie, że partia nigdy się nie myli. Skoro więc partia uznała, że są „podłymi faszystami” i „dwulicowymi zdrajcami”, to tak musiało być. Partii ufali bardziej niż sobie samym. Przez lata tresowano ich przecież w absolutnej wierności i posłuszeństwie.

Gdyby oskarżeni próbowali na sali rozpraw udowodniać, że są niewinni, oznaczałoby to, że publicznie zarzucają partii kłamstwo i prześladowanie ludzi na mocy sfabrykowanych oskarżeń. A to już byłby czyn otwarcie antypartyjny. Niepojęty akt antysowieckiego sabotażu. Oskarżeni dostarczyliby w ten sposób amunicji „wrogom klasowym” i „światowym kołom reakcyjnym”.

To oczywiście byłoby zaś dla nich niewyobrażalne. Podjęcie walki z partią – nawet o własne życie – byłoby sprzeniewierzeniem się całej ich dotychczasowej drodze życiowej. Wyparcie się ideologii, w którą święcie wierzyli, i państwa, które współtworzyli.

Mając do wyboru interes swój i partii, wybierali ten ostatni. Woleli sami zginąć, niż zaszkodzić Związkowi Sowieckiemu, dopuścić do jego kompromitacji. Swoją śmierć uważali więc po prostu za ostatnie zadanie, jakie wyznacza im partia. Ostatnią przysługę. Czyż nie przysięgali wielokrotnie, że za sprawę rewolucji gotowi są oddać życie? No więc nadszedł moment dotrzymania słowa.

Bucharin i Stalin

Wyda się, że prof. Yuri Slezkine – autor wydanej właśnie w Polsce książki „Dom władzy” – przychyliła się do hipotezy Koestlera. „Dom władzy” to monu-

mentalna, epicka opowieść o rewolucji bolszewickiej, ukazanej z perspektywy lokatorów słynnego domu nad rzeką Moskwą. Czyli zbudowanego na początku lat 30. kolosalnego i – jak na warunki sowieckie – luksusowego budynku mieszkalnego dla prominentów partyjnych.

Jednym z głównych bohaterów książki jest Nikołaj Bucharin. Główny ideolog partii. Były członek Biura Politycznego, przewodniczący Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu i redaktor naczelny „Prawdy”. Pod koniec lat 20. główny rywal Józefa Stalina, który próbował powstrzymać kolektywizację wsi.

Bucharin był czerwoną grubą rybą, najwybitniejszym spośród starych bolszewików. Jego portrety wisiały niegdyś w bolszewickich urzędach, a jego imię nadawano fabrykom. Teraz zaś przyszło mu odegrać ostatnią wielką rolę w dramacie rewolucji.

Na Bucharina jako członka rzekomego antypartyjnego spisku jako pierwsi wskazali Zinowjew i Kamieniew podczas procesu w sierpniu 1936 r. Zanim zginęli, pociągnęli na dno jeszcze jego. A także jego przyjaciół – Aleksieja Rykova i Michaiła Tomskiego. Ten ostatni postanowił oszczędzić sobie cierpień i dopuścił się – w oczach partii – „haniebnego czynu antysowieckiej dywersji”. Czyli strzelił sobie w łeb.

Dla Bucharina oskarżenia były szokiem. Był wiernym bolszewikiem. Nie protestował przeciwko czerwonemu terrorowi, łagrom i zbrodniom Czecha. „Przymus proletariacki we wszystkich swoich formach – dowodził – poczynając od rozstrzelania, a kończąc na obowiązku pracy, jest metodą tworzenia komunistycznego człowieka”. Przez lata domagał się, aby władza sowiecka bezwzględnie gromiła „wrogów ludu”. Teraz nagle uświadomił sobie, że sam może zostać uznany za jednego z nich.

Wstrząśnięty Bucharin natychmiast przerwał urlop i 22 sierpnia, jeszcze z Taszkentu, napisał telegram do Stalina:

Właśnie przeczytałem oszczerce zeznania tych łajdaków. Jestem dogłębnie wstrząśnięty. Wylatuję samolotem z Taszkentu rankiem 25.

Po powrocie do Moskwy napisał wierноподdańczy list do politbiura, w którym zapewniał o swojej wierności partii. Nie omieszkał przy tym – a jakżeby inaczej – potępić dotychczas skazanych przywódców partyjnych, których działania nazwał „cuchnącą i krwawą otchłanią,



Józef Stalin, Nikołaj Bucharin i Sergo Ordżonikidze na kremłowskiej trybunie FOT. ARCHIWUM

w której ludzie przestali już być ludźmi”. On jednak, zapewniał, jest prawomyślnym komunistą. Zinowjewa, Kamieniewa i innych „faszystów” skazano słusznie, ale w jego przypadku oskarżenia są pomyłką!

W kolejnym liście – wysłanym do Klimenta Woroszyłowa – Bucharin nazwał Kamieniewa „najbardziej odrażającym człowiekiem na świecie, ludzką padliną”. Tak jakby miotanie obelg pod adresem zamordowanych towarzyszy partyjnych mogło uchronić go przed ich losem... To zresztą kolejna charakterystyczna cecha wielkiej czystki. Ludzie, którzy w najbardziej plugawy sposób oskarżali i opluwali innych, już kolejnego dnia mogli znaleźć się na ich miejscu. Wtedy nikt nie był bezpieczny.

Bucharin tymczasem zaczął bombardować Stalina żałosnymi, prywatnymi listami, które można ująć tylko jednym słowem – skomlenie. W jednym z nich zapewniał nawet dyktatora, że go kocha. Zapewniał, że „duśzą jest ze Stalinem, z partią, z krajem, z sercu miłymi towarzyszami”. W sumie listów tych Bucharin napisał 34.

Oczywiście na nic się to nie zdało. Mechanizm czystki raz puszczonej w ruch jest nie do zatrzymania. Gdy człowiek

znajdzie się na celowniku NKWD, jest zgubiony. Trwające przeciwko Bucharinowi śledztwo polegało na tym, że „chłopcy Jeżowa” katowali kolejnych znajomych Nikołaja Iwanowicza, zmuszając ich do składania obciążających go zeznań. Teczka Bucharina puchła.

Atmosfera wokół niego gęstniała, pęta zasikała się wokół jego szyi. Podczas kolejnych plenów Komitetu Centralnego wczorajsi towarzysze i przyjaciele Bucharina urządzali mu seanse nienawiści. On próbował się niezdarnie bronić, oni udowadniali, że jest parszywym kłamcą i zdrajcą. Odrzucony przez partię, popadł w głęboką depresję. Wychudł i niemal z dnia na dzień posiwił. Całymi godzinami siedział bez ruchu i wpatrywał się w ścianę.

Koniec gry

W styczniu 1937 r. zaczął się drugi proces moskiewski, w którym na sali oskarżonych zasiadli Jurij Piatakow i Karol Radek. Pierwszy z nich zadeklarował, że udowodni swoją niewinność i szczerość wobec partii w ten sposób, że własnoręcznie rozstrzela innych oskarżonych o zdradę. Na czele z własną żoną!

Z kolei Karol Radek, który w trakcie procesu Zinowjewa i Kamieniewa pisał na łamach „Prawdy” napastliwe paszkwile o obu oskarżonych, teraz – siedząc na ławie oskarżonych – mówił mniej więcej to samo o sobie samym. A przy okazji publicznie o „działalność terrorystyczną” oskarżył Bucharina. Był to dla niego straszliwy cios.



YURI SLEZKINE
„DOM WŁADZY”
PIW

W pierwszy odruchu Bucharin próbował zaprzeczać, walczyć. „Ja wiem, że jestem niewinny – pisał w jednym z rozpaczliwych listów do Stalina. – I nic, i nikt, i nigdy nie zmusi mnie żebym powiedział «tak», podczas gdy prawda zawiera się w »nie«”.

Problem tylko w tym – jak słusznie zauważył Yuri Slezkine – że partia życzyła sobie, żeby Bucharin powiedział „tak”. I prędzej czy później Bucharin to „tak” musiał powiedzieć. Zdawali sobie z tego sprawę zarówno Stalin, jak i Mołotow, Jeżow i cały Komitet Centralny. Zdawał sobie z tego sprawę również sam Bucharin.

Na nic zdał się ostatni akt rozpacz – ogłoszenie głódówki protestacyjnej. Dramat nieuchronnie dobiegał swojego finału. 23 lutego 1937 r. został ponownie wezwany na plenum KC. Tam Stalin i jego wierni akolici ostatecznie go upokorzyli i wdeptali w ziemię. Był to czerwony lincz.

Ledwo trzymający się na nogach Bucharin stał na mównicy, a towarzysze partyjni wyzywali go od „potworów”, „ropuch” i „odszczępieńców”. Jego tłumaczenia, zapewnienia o szczerości były kwitowane wybuchami śmiechu. Głódówka Bucharina – tak jak wcześniejsze samobójstwo Tomskiego – została uznana za akt terroru wobec kierownictwa państwa.

Najbardziej zajadłe i agresywnie Bucharina atakował Władimir Mołotow. To właśnie on zadał decydujący sztych:

Mołotow: – *Czy to, co zeznawali trockiści, jest wiarygodne?*

Bucharin: – *W tych miejscach, gdzie zeznawali przeciwko mnie – nie. (Śmiech, szum sali) Dlaczego wy się śmiejecie? Tu nie ma nic śmiesznego.*

Mołotow: – *A zeznania dotyczące ich samych są prawdopodobne?*

Bucharin: – *Są prawdopodobne.*

To była genialna pułapka. Każda odpowiedź była bowiem fatalna. Gdyby Bucharin powiedział, że wszystkie zeznania trockistów złożone na procesie pokazowym były niewiarygodne, byłby to atak na partię. Straszliwy zarzut, że sowiecki aparat sprawiedliwości i całe

czerwone państwo morduje niewinnych ludzi na podstawie sfabrykowanych dowodów. Nie, tego Bucharin na plenum KC powiedzieć nie mógł.

Skoro zaś zeznania trockistów były wiarygodne, gdy opowiadali o swoich „straszliwych zbrodniach”, to dlaczego miałyby nie być wiarygodne, gdy mówili o zbrodniach Bucharina? To rzeczywiście brzmiało niedorzecznie. Nikołaj Iwanowicz zrozumiał, że jest zgubiony.

27 lutego 1937 r. Bucharin został aresztowany w swoim mieszkaniu. Na odchodnym rzucił się na kolana przed żoną i... błagał ją, aby wychowała ich syna na bolszewika. „Koniecznie na bolszewika!” – podkreślił.

W więzieniu Bucharin skapitulował. Istnieją dwie wersje wydarzeń. Według jednej był ciężko bity, straszono go, że jeżeli się nie przyzna do stawianych mu zarzutów, to NKWD zamorduje jego żonę i malutkiego synka.

Według innej, do której przychylił się Yuri Slezkine, śledczy nie musieli się nad nim specjalnie znęcać. „Ulubieniec partii”, rozmyślając w samotności

zarzutów. W mowie końcowej mówił co prawda o „dwójmyśleniu” i starał się zasugerować, że nie wszystko w jego sprawie jest jednoznaczne. Kluczowe fragmenty wystąpienia – które przedrukowały później sowieckie gazety – nie pozostawiały jednak wątpliwości:

Przyznaję się, że byłem jednym z wiodących przywódców bloku prawicy i trockistów – mówił. – Tym samym przyznaję się do odpowiedzialności za całokształt przestępstw, których dopuściła się ta kontrrewolucyjna organizacja, bez względu na to, czy o nich wiedziałem, czy nie, czy brałem w nich udział, czy też nie. Cięży bowiem na mnie odpowiedzialność przywódcy, a nie jednego z szeregowych członków.

Proces ten, kończący całą serię podobnych procesów, ujawnił wszystkie zbrodnie, wszystkie zdradzieckie działania i obnażył historyczne znaczenie i korzenie naszej walki przeciwko partii i rządowi rad. Jeszcze raz wyrażam ubolewanie, że dopuściłem się zdrady mojej socjalistycznej ojczyzny, najpodlejszego ze wszystkich możliwych przestępstw, organizowania powstań chłopskich, przygotowywania aktów terroru i uczestnictwa w organizacji antyrządzieckiej.

Przyznaję, że pracowałem nad organizacją spisku w celu obalenia władzy. Przyznaję, że jestem winny skonstruowania zdradzieckiego planu podziału ZSRR.

Kłęczę przed całym krajem, przed partią, przed całym ludem. Ogrom moich zbrodni jest niezmierny,

szczególnie na tym nowym etapie walki, jaką prowadzi Związek Sowiecki. Niechaj proces ten będzie ostatnią surową nauką, a potęgą Związku Sowieckiego niech ukaże się wszystkim. Wszyscy dostrzegają mądre kierownictwo, jakie zapewnia naszemu krajowi Stalin. Z tą właśnie świadomością oczekuję na wyrok. Liczę się nie osobiste odczucia skruszonego wroga ludu, lecz rozkwit Związku Sowieckiego i jego znaczenia na świecie.

A jednak „nie” zamieniło się w „tak”.

Prokurator Andrzej Wyszyński ogłosił, że Bucharin jest „przeklętą krzyżówką lisa i świni”. A 13 marca 1938 r. sędzia skazał go na karę śmierci. Dwa dni później kat wpakował mu kulę w potylicę.

Podobno na sekundy przed śmiercią Bucharin na kawałku papieru wyrwanym z notesu napisał swój ostatni list do Stalina. List ten składał się z jednego zdania: „Koba, po co Ci potrzebna moja śmierć?”. Jak głosi legenda w 1953 r., po śmierci dyktatora list ten znaleziono w szufladzie jego biurka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



w zimnej celi, sam postanowił odegrać wyznaczoną mu rolę. Postanowił złożyć się w ofierze w imię „wielkiego procesu historycznego, jakim był marsz do komunizmu”.

Przygotowując się mentalnie do zejścia z tego padoku łez – pisał w liście do Stalina 10 grudnia 1937 r. – nie czuję wobec was wszystkich, wobec partii i wobec sprawy, niczego innego prócz wielkiej, niezmiennej miłości. Po raz ostatni proszę, abys mi wybaczył (oczywiście jedynie sercem, nie inaczej). Dlatego też w umyśle obejmuję cię mocno. Żegnaj na zawsze i pamiętaj życzliwie o mnie nieszczęsnym.

Trzy miesiące później na sali sądowej przyznał się do stawianych mu



Car Borys III
FOT. WIKIPEDIA

XX w. / Dramat Bułgarii i jej władcy

Tajemnica Borysa III



Arkadiusz Karbowski

Car znajdował się między presją nacjonalistów i III Rzeszy a zagrożeniem ze strony skomunizowanej lewicy. Rola odpowiedzialnej za naród głowy państwa stała się arcytrudna...

Kiedy 3 października 1918 r., w wyniku wojennej klęski poniesionej przez Bułgarię, Ferdynand I abdykował, jego miejsce zajął młody, bo zaledwie 24-letni, dotychczasowy następca tronu Borys III. Jednym z pierwszych posunięć nowego władcy było ogłoszenie amnestii. Skorzystał z niej znany działacz i przywódca Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego – Aleksandr Stambolijski, który 6 października 1919 r. objął funkcję premiera Bułgarii. Jego gabinet podjął wiele reform, które miały – przynajmniej w teorii – poprawić sytuację społeczno-ekonomiczną ludności wiejskiej.

Jedną z pierwszych decyzji było znacjonalizowanie części gruntów klasztornych, obciążenie progresywnym podatkiem bogatszych warstw społeczeństwa, wywłaszczenie właścicieli niektórych nieruchomości. Te posunięcia pogłębiły i tak trudną sytuację gospodarczą kraju. Bułgaria stała się areną masowych strajków i protestów społecznych. Radykalizacja postaw sprzyjała rozwojowi Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Jej członkowie tylko w 1919 r. zorganizowali aż 146 strajków w 222 przedsiębiorstwach. Ponadto BPK tworzyła na opanowanych przez siebie terenach komuny gminne, przygotowując się w nich do komunistycznego powstania.

Politycy prawicy z niepokojem przyglądali się temu niekorzystnemu dla kraju rozwojowi sytuacji. Sam Borys III

w owym czasie nie posiadał praktycznie żadnych instrumentów, dzięki którym mógłby wyhamować impet podejmowanych reform. Pozbawiono go zwierzchnictwa nad armią, nie miał również możliwości kształtowania polityki zagranicznej i wewnętrznej. Anarchizacja życia publicznego osiągnęła taki poziom, że sam zaczął się obawiać o swoje życie. Coraz donośniej brzmiały też głosy wzywające do ustanowienia republiki i obalenia monarchii.

Tymczasem wybory w 1923 r. umocniły władzę Stambolijskiego. Jego rządy ewoluowały w stronę lewicowej dyktatury. Temu trendowi nie zamierzały się biernie przyglądać środowiska wojskowe, skupione w Związku Wojskowym, nazywanym także Ligą Wojskową. Wojskowi podjęli przygotowania do zamachu stanu. W tym dziele wspierał ich późniejszy premier – lider opozycyjnego prawicowego Porozumienia Narodowego – Aleksandyr Cankow.

Zamach wojska

Wydawało się, że spisek zostanie stłumiony w zarodku, bo rząd wcześniej pozyskał informacje o planowanym przewrocie. Jednak nakazane przez szefa MSW aresztowania okazały się spóźnione. Nim do nich przystąpiono, zamachowcy zdołali rankiem 9 czerwca 1923 r. obsadzić gmachy wszystkich ważnych instytucji publicznych i dokonać zatrzymań rządowych polityków.

Stambolijski podjął próbę zorganizowania oporu w okolicy swej rodzinnej wsi Sławowicy. Dowodzona przez niego grupa gwardzystów z tzw. Gwardii Pomarańczowej (czyli bojówki partyjne BLZCh) dokonała masakry kilku ujętych zwolenników zamachu. Premier został aresztowany przez oddział wojska i przekazany w ręce członków grupy Wewnętrznej Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej (WMRO), dowodzonej przez Wieliczko Welianowa. WMRO-owcy po torturach zasztyteliwali go nad wykopanym przez niego grobem (rząd Stambolijskiego zwalczał strukturę WMRO prowadzącą działalność terrorystyczną w należącej do Jugosławii Macedonii Wardarskiej).

Pomimo posiadanych kontaktów do walki w obronie rządu Stambolijskiego

nie stanęli komuniści. KC BPK uznał, że konfrontacja jest wewnętrzną sprawą bułgarskiej burżuazji. Jak się okazało, moskiewska centrala nie podzieliła tego stanowiska i wydała rozkaz wzniecenia w kraju komunistycznej rebelii. Wywołane 23 września 1923 r. tylko w północnej części Bułgarii, kompletnie nieprzygotowane powstanie zostało szybko stłumione. W wyniku walk oraz przeprowadzonych doraźnych egzekucji śmierć poniosło 841 osób. Na komunistów spadły represje.

Kiedy wydawało się, że zdeзор- ganozowały one kompletnie szeregi partii, czerwoni bojownicy postanowili przypomnieć o swoim istnieniu. Na ich celowniku znalazł się sam car Borys III. Wyznaczone do zabicia cara komando zabójców nawiązało kontakt z Peterem Zadgorskim – zakrystianinem pracującym w cerkwi Święta Niedziela w Sofii. Dzięki jego pomocy w kościele

trzech deputowanych do parlamentu. Reakcja władz była natychmiastowa i zdecydowana.

W odpowiedzi na zamach 450 komunistycznych działaczy rozstrzelano bez sądu, a trzech organizatorów zamachu skazano na karę śmierci i stracono. Kilkaset osób aresztowano. Represje wstrzymano dopiero w związku z amnestią, którą ogłosił w 1927 r. następca „krwawego premiera” Cankowa, Adriej Lepaczew. Jego demokratyczne rządy nie trwały zbyt długo. W maju 1934 r. doszło do antydemokratycznego przewrotu dokonanego przez działaczy organizacji Zweno, wspieranych przez oficerów należących do Związku Wojskowego. Na czele gabinetu stanął Kimon Georgijew.

Car zaakceptował nowy rząd, choć miał świadomość, że jego członkowie wyznające idee republikańskie nie są przychylni osobie monarchy.



Cerkiew Sweta Nedela w Sofii po zamachu bombowym FOT. WIKIPEDIA

umieszczono 25-kilogramowy ładunek wybuchowy. Aby skłonić do udziału we mszy świętej cara i osoby z najwyższych kręgów władzy, komuniści 14 kwietnia 1925 r. dokonali zabójstwa gen. Kostantina Georgijewa. Dwa dni później, w Wielki Czwartek, na mszy żałobnej zebrało się spore grono dostojników państwowych. Car na szczęście na mszę nie przybył, bo uczestniczył wtedy w innym nabożeństwie.

Pomimo jego nieobecności zamachowcy zdetonowali bombę. W wyniku eksplozji oraz od poniesionych ran śmierć poniosło 213 osób, a 500 zostało rannych. Wśród zabitych było 25 kobiet i dzieci oraz 12 generałów, 15 pułkowników, siedmiu podpułkowników,

Koegzystencja Borysa III z premierem Georgijewem nie trwała zbyt długo, bo w styczniu 1935 r. car wymusił dymisję rządu i mianował na stanowisko szefa rady ministrów generała Penczo Złatewa, a po nim Adrieja Toszewa i wreszcie Georgija Kjoseiwanowa. Ten ostatni znajdował się u steru władzy aż do 1940 r.

Kjoseiwanow zachował autorytarny charakter państwa odziedziczony po poprzednikach. Nie przywrócono możliwości działalności partii politycznych zdelegalizowanych za czasów Georgijewa. Wpływ na tę decyzję miał zapewne sam car Borys III, postrzegający partie jako ośrodki polityczne destabilizujące sytuację wewnętrzną w kraju. Premier

■ Kioseiwanow przejął ster rządów w trudnym momencie, gdy Niemcy rozpoczęły starania o ustanowienie hegemonii na kontynencie europejskim. Bułgaria należąca do grona państw niebędących beneficjentami powojennego ładu politycznego dążyła do odzyskania terenów utraconych w wyniku podpisania traktatu z Neuilly (27 listopada 1919 r.). Konsekwencją porażki poniesionej w czasie pierwszej wojny światowej była utrata Dobrudży Południowej (na rzecz Rumunii), Tracji Zachodniej (na rzecz Grecji) i Strumicy (na rzecz Jugosławii). Warunkiem odzyskania tych ziem wydawała się dekompozycja istniejącego powojennego porządku międzynarodowego. Kiedy więc porządek wersalski na skutek działań III Rzeszy zaczął się chwiać, Bułgarzy dostrzegli w tym swoją szansę, którą postanowili wykorzystać, obierając proniemiecki kurs w polityce zagranicznej.

Cena Dobrudży

Po wybuchu drugiej wojny światowej Bułgaria ogłosiła neutralność, nie chcąc uczestniczyć w rozwijającym się konflikcie po żadnej ze stron. Koncepcja balansu między blokami alianckim i narodowosocjalistyczno-faszystowskim szybko zdezaktualizowała się w związku z upadkiem Francji i słabością polityczno-militarną Wielkiej Brytanii. Próbną geopolityczną na Bałkanach próbował wypełnić ZSRS, sygnalizując chęć objęcia Bułgarii swym patronatem. Car Borys III oraz nowo mianowany przez niego w lutym 1940 r. na stanowisko premiera rektor Uniwersytetu Sofijskiego Bogdan Fiłow nie mieli złudzeń, że zawarcie jakiegokolwiek układu z Sowietami zakończy się prędzej czy później ustanowieniem bułgarskiej republiki rad.

Pomimo tego Sofia postanowiła – strasząc sowieckim zagrożeniem – wymusić na przywódcy III Rzeszy zaangażowanie Berlina w działania zmierzające do odebrania Rumunii Dobrudży Południowej. Ta niebezpieczna gra się opłacała, bo Hitler, dostrzegając impet sowieckiego parcia na Bałkany, postanowił nie sprawdzać, jak daleko

jest w stanie się posunąć rząd bułgarski w swej uległości wobec Moskwy (Sowieci popierali bułgarskie rewindykacje terytorialne wobec Rumunii), aby odzyskać utracone terytoria. Skłonił Rumunów do zwrotu Bułgarom Dobrudży Południowej (oficjalnie zwrot tych obszarów nastąpił w wyniku porozumienia bułgarsko-rumuńskiego zawartego 7 września 1940 r. w Krajowej).

Skorzystanie z pomocy III Rzeszy oraz brak jakiegokolwiek poza proniemiecką alternatywy politycznej nie pozostawiły władzom w Sofii żadnego pola manewru politycznego. 1 marca 1941 r. Bułgaria przystąpiła do paktu trzech. Stosowny dokument w tej sprawie podpisał w Wiedniu premier Bogdan Fiłow. Bułgaria stała się oficjalnie sojusznikiem III Rzeszy. Car Borys



Herb cesarstwa Bułgarii

III za wszelką cenę starał się uniknąć wciągnięcia Bułgarii w odmęty toczącej się na kontynencie wojny.

Przyjęta strategia nie oznaczała jednak uchylania się od wypełniania sojuszniczych obowiązków. Stąd niemal natychmiast po podpisaniu paktu na terytorium Bułgarii wkroczyły szykujące do uderzenia na Jugosławię i Grecję wojska 12. Armii niemieckiej feldmarszałka Wilhelma Lista. 6 kwietnia 1941 r. inwazja (kraj ten od października 1940 r.

znajdował się w stanie wojny z Włochami) stała się faktem. Zadaniem armii bułgarskiej było zabezpieczenie tyłów Wehrmachtu oraz granicy z Turcją na wypadek ataku wojsk tego kraju. W nagrodę za pomoc Niemcy i Włosi przyznali Bułgarom większą część Macedonii Wardarskiej, południowo-wschodnią część Serbii oraz wschodnią część Macedonii Egejskiej i Trację Zachodnią.

Co prawda, te nabytki nie do końca zadowalały Borysa III, ale zajęcie tych ziem wywołało w społeczeństwie bułgarskim niezwykle entuzjazm. Przejęte obszary wcielono do Bułgarii. Wszystkim mieszkańcom przyznano bułgarskie obywatelstwo. Zaczęto rozbudowywać infrastrukturę, m.in. drogową, poprawiając poziom życia ludności. Przystąpiono również do bułgaryzacji życia publicznego. Język bułgarski stał się językiem urzędowym.

Jednak o tym, że sprawowanie władzy na nowo włączonych terytoriach nie będzie łatwe, przekonać się mieli Bułgarzy bardzo szybko. W dniach 28–29 września 1941 r. w prefekturze Drama (tereny należące przed wojną do Grecji) wybuchło chłopskie powstanie kierowane przez Komunistyczną Partię Grecji. Jego zasięg obejmował 69 wsi. Rebelia od razu przybrała krwawy przebieg, ponieważ w jej trakcie powstańcy mordowali przedstawicieli władz i policjantów. Bułgarska armia zareagowała na te czyny z całą

bezwzględnością, zabijając w walce oraz egzekucjach ok. 3 tys. uczestników powstania (212 osób zginęło po stronie rządowej) oraz osób uznanych za sympatyków partyzantów. Mając samemu problemy z komunistyczną partyzantką, Niemcy z zadowoleniem przyjęli przejęcie obowiązków okupacyjnych przez wojska bułgarskie na byłych obszarach Grecji i Jugosławii, bo dawało to możliwość relokacji części sił wojskowych na inne obszary – zwłaszcza na otwarty w czerwcu 1941 r. na front wschodni.

Udział w wojnie partyzanckiej na Bałkanach był jedyną formą militarnej pomocy udzielonej Niemcom podczas drugiej wojny. Bułgaria jako jedyne państwo należące do paktu trzech nie wypowiedziała wojny ZSRS ani

nie wzięła udziału w krucjacie antybolshewickiej ze względu na silne sympatie, jakimi w Bułgarii cieszyli się Rosja i Rosjanie od czasu wyzwolenia kraju przez armię carską z rąk Turków. Natomiast 13 grudnia 1941 r. Bułgaria wypowiedziała, bez podjęcia żadnych realnych działań, wojnę USA i Wielkiej Brytanii, skutkiem czego były prowadzone od listopada 1943 r. przez lotnictwo alianckie naloty na Bułgarię, podczas których zginęły 1374 osoby.

Ciężką próbą dla cara Borysa III i władz bułgarskich stały się wewnętrzne wydarzenia, które rozegrały się zimą-wiosną 1943 r. Jeszcze przed akcesją do paktu trzech, 23 stycznia 1941 r., w Bułgarii weszła w życie prze głosowana przez bułgarski parlament ustawa o ochronie narodu bułgarskiego. Ograniczała ona znacząco prawa obywatelskie osobom pochodzenia żydowskiego. Po konferencji w Wannsee, która odbyła się w styczniu 1942 r., Niemcy postanowili wcielić w życie plan „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Procesem eksterminacji mieli być objęci również Żydzi bułgarscy oraz ci znajdujący się pod formalną jurysdykcją władz bułgarskich.

Ratunek Żydów

Aby nadzorować i inicjować kwestie dotyczące polityki wobec Żydów w sierpniu 1942 r., minister spraw wewnętrznych Petyr Gabrowski powołał do życia w ramach swego resortu Komisariat ds. Żydowskich. Na jego czele stanął urzędnik MSW, były członek radykalnie nacjonalistycznej organizacji Ratnik – Aleksander Belew. Szef KdŻ, znając wszystkie założenia polityki antysemickiej realizowanej wobec Żydów przez państwo niemieckie, postanowił dołożyć do niej własną cegiełkę, podpisując 22 lutego 1943 r. porozumienie ze specjalnym wysłannikiem RSHA z Departamentu IV B 4 (kierował nim SS-Obersturmbannführer Adolf Eichmann) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa SS-Hauptsturmführerem Theodorem Danneckerem w sprawie deportacji do niemieckich obozów koncentracyjnych 20 tys. Żydów.

2 marca 1943 r. rząd premiera Fiłowa zaakceptował ten dokument. W międzyczasie jednak Belew samo-



Borys III i Adolf Hitler FOT. ARCHIWUM

dzielnie naniósł na nim poprawkę w postaci wykreślenia z tekstu zapisu wskazującego, że deportacje miały odbywać się tylko z nowo zajętych terytoriów. Komisarz zorientował się, że na przyłączonych terenach mieszka tylko ok. 12 tys. Żydów nieposiadających bułgarskiego obywatelstwa (w czerwcu 1942 r. im je odebrano). Stąd wykreślając ten zapis, postanowił stworzyć możliwość dobrania brakującej reszty z tzw. starej Bułgarii.

Informację o podpisaniu dokumentu oraz o dacie rozpoczęcia deportacji, która miała rozpocząć się 9 marca 1943 r., przekazała żydowskiemu przywódcy Buko Leviemu sekretarka Belewa – Lilianna Panica. Żydzi, widząc, że sprawa jest poważna, postanowili zaalarmować bułgarskich parlamentarzystów, m.in. wiceprzewodniczącego parlamentu Dymitro Penczewa, który zebrawszy podpisy pod krytykującą to posunięcie petycją, nie zastanawiając się zbyt długo, podjął natychmiastową interwencję u ministra Gabrowskiego i premiera Fiłowa. Alarm wszczęli również hierarchowie Kościoła prawosławnego z metropolitą Stefanem oraz metropolitą płowdiwskim Cyrylem. O zaistniałym problemie powiadomiony został również car Borys III, który podjął ostateczną decyzję o wyłączeniu bułgarskich Żydów z deportacji.

Niestety, nie uniknęło jej 11 362 Żydów z Macedonii oraz z Tracji, wywiezionych, a następnie wymordowanych w niemieckich obozach zagłady. Tymczasem bułgarscy antysemici ośmieleni poparciem ambasadora III Rzeszy postanowili nie składać broni. Gabrowski podjął jeszcze jedną próbę rozmowy z Borysem III celem

przekonania go do innej koncepcji rozwiązania problemu żydowskiego. Tym razem car dał przyzwolenie na liberalny – jak na ówczesne antysemickie standardy – pomysł ministra dotyczący przeniesienia Żydów na prowincję. Pomiędzy 26 maja a 7 czerwca 1915 Żydów wysiedlono na tereny wiejskie. W ten oto sposób dzięki decyzji bułgarskiego władcy i na skutek nacisków różnych środowisk 48 tys. bułgarskich Żydów udało się uratować przed niechybną śmiercią.

Niestety, 28 sierpnia 1943 r. Borys III zmarł. Podczas pogrzebu zginęło go 600 tys. Bułgarów. Po śmierci Borysa III rządy w kraju przejęła Rada Regencyjna w składzie: premier Bogdan Fiłow, regent Cyryl i gen. Mykoła Michow. 9 września 1944 r., kiedy do Bułgarii wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, władzę przejęli politycy wspieranego przez komunistów Frontu Ojczyźnianego. Środowiska antykomunistyczne utworzyły w Wiedniu pod parasolem ochronnym III Rzeszy rząd emigracyjny pod wodzą prof. Aleksandry Cankowa, ale nie odegrał on żadnej poważnej roli.

W opanowanej przez komunistów Bułgarii rozpoczęło się natomiast swoje polowanie na zwolenników dawnego reżimu. W jego wyniku w ciągu kilku pierwszych lat powojennych śmierć poniosło 29 220 osób. Wśród zamordowanych znaleźli się skazani przez sąd „ludowy” i rozstrzelani w nocy z 1 na 2 lutego 1945 r. trzej byli członkowie Rady Regencyjnej. W 1996 r. po upadku komunizmu sąd bułgarski unieważnił wydany na nich haniebny wyrok.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1896–1966 / Prywatne życie Stanisława Cata-Mackiewicza

Swawole kresowego Żubra



Sławomir Koper

/ Stanisław Cat-Mackiewicz słynął nie tylko z temperamentu publicystycznego. Był żarłokiem i miłośnikiem pięknych kobiet, a spory kończył pojedynekami

Stanisław Cat-Mackiewicz

FOT. NAC





Trudno wyobrazić sobie międzywojenne Wilno bez „Słowa” i jego redaktora naczelnego, Stanisława Cata-Mackiewicza. 1 sierpnia 1922 r. w Wilnie ukazał się pierwszy numer gazety wychodzącej „codziennie z wyjątkiem dni poświęconych”. W artykule wstępnym poinformowano czytelników, że tytuł będzie propagował wartości konserwatywne i zachowawcze.

W gronie założycieli „Słowa” było dwaj książęta (Albrecht Radziwiłł i Eustachy Sapieha), dwóch hrabiów (Marian Broel-Plater i Jan Tyszkiewicz), rektor USB Marian Zdziechowski i ziemianin Stanisław Wańkowicz. Nie zabrakło też człowieka splamionego lojalizmem wobec władz carskich; Aleksander Meysztowicz kilkanaście lat wcześniej wziął udział w odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie. Nie bez powodu to środowisko określano mianem „żubrów wileńskich”, uosabiało bowiem charakterystyczne cechy kresowego ziemiaństwa.

„Słowo” miało zastąpić zadłużoną i mało popularną „Gazetę Krajową”, zresztą już w pierwszym numerze nowego pisma poinformowano o przejęciu jej zobowiązań. Liczyły się bowiem nowy szyld i nowe siły redakcyjne, a założyciele powierzyli kierownictwo pisma młodemu, niespełna 26-letniemu Stanisławowi Mackiewiczowi. Wcześniej pracował on w „Gazecie Krajowej” i dał się poznać jako dobrze zapowiadający się dziennikarz.

Z czasem miało się okazać, że był to znakomity wybór, Mackiewicz bowiem nie tylko w pełni identyfikował się z linią polityczną gazety, lecz także dał się poznać jako jeden z najlepszych polskich publicystów.

Mackiewicz przybrał pseudonim dziennikarski Cat, podobnie bowiem jak kot z opowiadania Rudyarda Kiplinga chodził wyłącznie swoimi drogami. Jako publicysta, polityk i człowiek.

Kresowy szlachcic

Naczelny „Słowa” pochodził ze starego szlacheckiego rodu, ale jego rodzice prowadzili już zasobne mieszczańskie życie. „Cat” był jednak niespokojnym duchem i podczas wojny z bolszewikami służył w słynnym oddziale kawalerijskim kresowych zagończyków, Jerzego i Władysława Dąmbrowskich. Licząca ok. 600 szabel grupa składała się głównie z młodzieży ziemiańskiej, chociaż w jej szeregach trafiali się również „biali” kubańscy Kozacy.

„Grudniowy, brudny śnieg – wspominał jeden z członków oddziału, ks. Władysław Meysztowicz – na placu na Łukiszkach w Wilnie. Przed gmachem sądów, na tle dominikańskich murów św. Jakuba kilkuset konnych w podwójnym szeregu. Każdy inaczej ubrany, inaczej uzbrojony, niedobre konie, siodła. Przed nimi osadza na zadzie pięknego kasztana Jerzy Dąmbrowski. I wali prze-

mówienie, w czterech słowach: »Chłopczy! Ojczyzna! Bolszewicy! Takichmać! Od prawego trójkami – stępa – marsz«”.

Dąmbrowscy prowadzili wojnę szarpaną i raczej nie brali jeńców, a szczególną nienawiścią darzyli Polaków walczących po stronie bolszewików. Wziętych do niewoli rozstrzeliwano na miejscu lub zarąbawano szablami. Nie na darmo Jerzy Dąmbrowski nosił przydomek Łupaszka. Razem z „Catem” służył jego młodszy brat, Józef, obaj też pozostali w służbie, gdy ich oddział przekształcono w 13. Pułk Ułanów. „Cat” walczył w jego szeregach aż do czasu demobilizacji, po latach jednak raczej nie powracał wspomnieniami do tego okresu życia. Zdarzało mu się natomiast dość ironicznie wypowiadać na temat swojej kariery wojskowej:

„Zawsze opowiadam, że w chwili wybuchu I wojny byłem pomocnikiem sekretarza komisji poborowej koni, a w chwili wybuchu II wojny światowej, jako podporucznik rezerwy 13. Pułku Ułanów, byłem przewodniczącym komisji poborowej koni. Od 1914 do 1939 r. zrobiłem jednak pewne postępy w swojej karierze życiowej”.

Pan redaktor z bliska

„Zawsze mnie interesował – oceniał Mackiewicza Melchior Wańkowicz. – Krążyły o nim legendy. Wcale nie był gurmantem [smakoszem] i szarmantem, ale żarłokiem i kobieciarzem [...]. To zgnity produkt kultury postszlacheckiej. Żarłok, kurwiarz, nieopanowany w piórze i nieopanowany osobie”.

Mackiewicz faktycznie miał trudny charakter, nie tylko w życiu zawodowym, lecz także prywatnym. Czasami zresztą nie odróżniał jednego od drugiego i przenosił sprawy zawodowe na grunt towarzyski, a prywatne spory na łamy „Słowa”. Sprawiał wrażenie, jakby był zawsze gotowy do polemiki, awantury czy pojedynku.

Była to bowiem epoka załatwiania sporów na udeptanej ziemi i pojedynki stały się prawdziwą plagą II Rzeczypospolitej. Dochodziło do 400 starć rocznie, z czego jedna czwarta kończyła się śmiercią lub trwałym kalectwem. W międzywojennym Wilnie zanoto-



Stanisław Cat-Mackiewicz z Ireną Dziedzic
w telewizyjnym programie „Tele-Echo” FOT. PAP

Wano ich około setki, a Mackiewicz brał udział co najmniej w siedmiu z nich, znacznie podnosząc statystykę. Zdecydowanie preferował broń białą, był zresztą niezłym szermierzem.

„Walczył o wszystko – wyjaśniała Jadwiga Karbowska. – Pojedynki miał o sprawy polityczne, o kobiety, każdy pretekst był dostatecznie dobry, by można było zacząć się rąbać. To było nawet dosyć zabawne zresztą. Redaktor Okulicz z »Kuriera Wileńskiego« czy Hulewicz, szef radia wileńskiego, jeden miał temblak, drugi rozorane czoło, Mackiewicz był cały poharatany. Dodawało to temu miastu temperamentu, gdyż Wilno było trochę senne, a dzięki pojedynkom się ożywiało”.

Z Kazimierzem Okuliczem kłócił się zawsze i wszędzie, a jego prosanacyjny „Kurier Wileński” stanowił pewną konkurencję w Wilnie. Mackiewicz notorycznie obrażał gazetę, używając na łamach „Słowa” skrótów „Kur.wil”. Obaj naczelni stawali do pojedynku dwukrotnie (w tym raz na pistolety), podobno wpływ na ich złe stosunki miały także sprawy ściśle prywatne. Mackiewicz potrafił się pojedynkować nawet ze znakomitym znawcą życia i twórczości Adama Mickiewicza, prof. Stanisławem Pigionem. Tym razem poszło o różnicę poglądów na literaturę, naczelny „Słowa” zarzucił rektorowi USB, że „policzył wszystkie guziki w tużurku” Mickiewicza, ale kompletnie nie rozumie jego poezji, a Wilna i Nowogródka również. Natomiast pojedynek z Witoldem Hulewiczem był ukoronowaniem długiej kampanii prasowej mającej zdyskredytować osobę szefa rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia.

Mackiewicz miał zresztą swoisty rytuał przygotowywania się do pojedynków, uwielbiał bowiem teatralne efekty. „Przygotuj w pokoju jadalnym – instruował żonę – stół na kolację dla kilku osób, jeśli wygram. W łazience miednicę z wodą i bandaż, gdybym został ranny. I katafalk w salonie na wypadek mojej śmierci”.

Z Wandą Krahelską ożenił się jeszcze w 1920 r., doczekali się dwóch córek, ale małżeństwo nie uchodziło za specjalnie udane. Przyczyną tego stanu był nie tylko gwałtowny charakter „Cata”, lecz także jego permanentna niewierność. Mackiewicz był bowiem wyjątkowym kobieciarzem, w czym nie przeszkadzało mu raczej wątpliwej jakości uroda. Otyły, z apoplektyczną, nalaną twarzą, miał jednak nieprawdopodobne powodzenie u kobiet, z czego chętnie korzystał. „To była fascynacja intelektem – wyjaśniała Jadwiga Karbowska. – Był bardzo interesującym człowiekiem i nie można było się przy nim nigdy nudzić. Po jego towarzysystwie inni mężczyźni wydawali się bardzo monotoni”.

Przy okazji zauważano, że wobec kobiet stosował znacznie łagodniejszą taryfę niż wobec mężczyzn. Nie znosił głupoty u swoich rozmówców czy oponentów, natomiast „patentowanym idiotkom” prawil wyszukiwane komplementy”. Być może dlatego, że wśród kobiet nie szukał partnerek umysłowych i pomimo szarmanckiego zachowania traktował je bardzo przedmiotowo. Zdecydowanie bowiem wołał pogawędkę z mężczyznami.

Otoczenie Mackiewicza zadawało sobie jednak pytanie: Czy bardziej lubił

dziennikarstwo, politykę, kobiety czy obżarstwo? Szokował bowiem swoim upodobaniem do dobrej kuchni i kompletnie nie zwracał uwagi na swoją nadwagę. Gdy siadał do suto zastawionego stołu, mawiał, że nawet jeżeli wybuchnie wojna światowa, to nikt nie ma prawa przeszkadzać mu w posiłku. Na ogół była to zresztą prawdziwa orgia kulinarna, w lokalach miał zwyczaj zamawiać trzy potrawy jednocześnie i jadł je palcami jednocześnie. Podobnie było z zupami, które uwielbiał, z reguły jadł dwie różne oburącz dwiema łyżkami. Na jedzenie rzucał się tak gwałtownie, że zawsze chodził w poplamionej marynarce i krawacie, czym wcale się nie przejmował. Jego wielbicielkom najwyraźniej to także nie przeszkadzało, a może zajęte adoracją jego umysłu w ogóle tego nie dostrzegali.

Upodobanie do obżarstwa zachował przez całe życie, na emigracji w Londynie, nie mając już zbyt wiele pieniędzy, potrafił długo oszczędzać, by wszystko przepuścić jednego wieczoru. Wtedy czuł się znakomicie, nawet jeżeli miał głodować przez najbliższe dni. Wychodził jednak z założenia, że chwila obżarstwa w dawnym stylu była tego warta.

Inna sprawa, że chociaż zawsze uważał angielską kuchnię za niejadalną, okazało się jednak, że na Wyspach było jednak coś jeszcze bardziej odstręczającego. Gdy pewnego razu skorzystał z usług domu publicznego, zwierzył się przyjacielowi, że „jest coś znacznie gorszego od angielskiej kuchni, to angielska kurwa...”.

Do końca soba

Ostatni numer „Słowa” ukazał się 18 września 1939 r., dzień po wkroczeniu Sowietów do Polski. Mackiewicz, informując o bolszewickiej agresji, zakończył artykuł, prosząc Boga, by „dopomógł w słusznej walce i zmiłował się nad Wilnem”. Tego dnia przekroczył samochodem granicę z Litwą, nie zabrawszy jednak ze sobą rodziny. Wraz z nim do Kowna przybyła natomiast wdowa po przyjacielu i sponsorze „Słowa”, Janie Tyszkiewicz, wraz z dziećmi.

Mackiewicz przedostał się do Francji, wydawał w Paryżu „Słowo” jako tygodnik, wszedł też w skład Rady Narodowej, szcątkowego parlamentu przy polskim rządzie na wychodź-

stwie. Początkowo był zwolennikiem gen. Sikorskiego, zmienił zdanie po klęsce Francji. Obwinił Naczelnego Wodza i premiera o utracenie polskiej armii, to właśnie wówczas doszedł do wniosku, że Niemcy podbiją całą Europę i trzeba z nimi dojść do porozumienia. Usiłował nakłonić prezydenta Raczkiewicza do podjęcia rokowań z hitlerowcami, a gdy spotkał się z odmową, jego nazwisko pojawiło się w gronie sygnatariuszy memoriału do władz III Rzeszy. Proponowano w nim powołanie kolaboracyjnego rządu w Warszawie, Berlin jednak dokument ten pominął milczeniem.

Mackiewicz zawsze był realistą, uważał, że należy zrobić wszystko, by ocalić Polskę dla Polaków. Nie zwracał uwagi na to, że został okrzyknięty zdrajcą sprawy narodowej, a niektórzy sugerowali postawienie go przed sądem. Zawsze pozytywnie oceniał marszałka Pétaina i rząd z Vichy, uważając, że dochodząc do porozumienia z Niemcami, zminimalizowali skutki klęski. Nawet za cenę osobistej niesławy.

„Cat” przedostał się do Londynu, tam ostatecznie skłócił się z Sikorskim, zarzucając mu, że podpisanie paktu z Sowietami oznaczało zdradę Polski. Gdyby nie mógł mu wybaczyć, że zrezygnował z Kresów, a szczególnie z jego ukochanego Wilna. W tym czasie też bardzo dużo pisał; jego najważniejsze książki, z „Historią Polski od 11 listopada 1918 roku do 5 lipca 1945 roku” na czele, powstały właśnie w tamtych latach. Wydawał też „Słowo” w formie tygodnika, a już po wojnie czasopismo „Lwów i Wilno”.

Jak zwykle pozostawał sobą, awanturował się niemal z każdym, kto miał inne zdanie. Gdy miał pieniądze, oddawał się ulubionemu obżarstwu, miał też wiele romansów. Najważniejszym z nich był związek z hrabianką Renatą Ostrowską, a gdy ta porzuciła go, wyjeżdżając do Argentyny, jedną ze swoich książek zatytułował „Zielone oczy”. Ukochana miała właśnie ten kolor oczu, a Mackie-

wicz zupełnie nie przejmował się tym, że była to książka typowo polityczna i tytuł kompletnie do niej nie pasował.

Już początek romansu nie rokował najlepiej, Ostrowska prowadziła spotkanie autorskie „Cata”. Bardzo się mu spodobała i zaprosił ją na kolację. „– To ja jej najpiękniejsze anegdoty – zwierzał się Jadwidze Karbowski – wyszukane

odzieży na sobie i wyglądały na dość zadowolone z całej sytuacji. Było ich kilkanaście, „Cat” wciąż prowadził bogate życie erotyczne, a czasami korzystał też z płatnej miłości.

W 1954 r. został mianowany premierem rządu emigracyjnego. Był to czas kłótni i rozłamów wśród polskiego wychodźstwa. Być może dlatego „Cat” zdecydował się na powrót do kraju, miał dosyć awantur i ubóstwa. Nad Wisłą zameldował się w czerwcu 1956 r., zrezygnawszy wcześniej z urzędu premiera. Na emigracji uznano go za zdrajcę, zerwał z nim kontakty rodzony brat, a Marian Hemar ogłosił złośliwy wiersz, porównując go do Judasza. „Cata” to bardzo dotknęło, wyzwał go nawet pojedynek i żądał od władz PRL, by wystawiły pocie „list żelazny”. Chciał, by Hemar przyjechał do Polski i stanął z nim do walki. Decydenci partyjni jednak odmówili, a sam Hemar zresztą nie wybierał się nad Wisłę.

Władze z Warszawy uznały powrót Mackiewicza za wielki sukces, ale „Cat” musiał spłacić dług wobec nich. W swoich kolejnych książkach opłukał emigrację i rząd brytyjski, z czasem jednak zaczął stwarzać problemy. Pisywał pod pseudonimem do paryskiej „Kultury”, został też jednym sygnatariuszy Listu 34. Gdy odmówił wycofania podpisu, zarzucono mu działalność na szkodę socjalistycznego państwa i rozpoczęto przygotowania do procesu sądowego. „Cat” jednak go nie doczekał, zmarł w lutym 1966 r. w Warszawie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

J. Karbowska, „Z Mackiewiczem na ty”, Warszawa 1994; W. Meysztowicz, „Gawędy o czasach i ludziach”, Londyn 1993; K. Orłowski, „Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłowskiów z Ukrainy”, Kraków 2015; J. Jaruzelski, „Stanisław Cat-Mackiewicz. 1896–1996. Wilno – Londyn – Warszawa”, Warszawa 1994; Za: M. Grabowski, „Cat-Mackiewicz, kobiety, wino, polityka i suto zastawiony stół”, <https://naszahistoria.pl/catmackiewicz-kobiety-wino-polityka-i-suto-zastawiony-stol/ar/9872631>.



Po powrocie do Polski w 1956 r. Cat-Mackiewicz zamieszkał w Warszawie FOT. NAC

komplementy, wreszcie butelkę wina, i to jakiego wina. A ona, ona... – Cóż takiego strasznego mogła zrobić?

– Przy końcu kolacji zapytała: »Czy mógłby pan jutro rano zanieść mego pekińczyka do weterynarza?«. Rozumiesz?!

W listopadzie 2006 r. zaprezentowano w Gdańsku wystawę fotografii z archiwum „Cata” (nie rozstawał się z aparatem), a wśród udostępnionych zdjęć szczególną uwagę zwracały portrety kobiet. Modelki bez wątpliwości pozostawały z Mackiewiczem w bliskich relacjach, na większości zdjęć raczej nie miały wiele

Michał Brzęk-Osiński był jednym z najbardziej bojowych kawalerzystów Piłsudskiego. Jego dokonania na polach bitew przeszły do legendy

VIRTUTI MILITARI / Boje polskiego ułana

Cztery wojny majora „Brzęka”



Marek Gałęzowski

Póznym wieczorem jednego z pierwszych dni sierpniowych 1914 r. w krakowskich Oleandrach, w ciągu dnia tętniących gwarem wyruszającą na wojnę z Rosją młodzieżą strzeleckiej, nie było już prawie nikogo. „W pewnej chwili otwierają się drzwi do gabinetu Komendanta i On sam wchodzi. Zatopiony w rozważaniach, nie zwrócił na mnie uwagi i swym zwyczajem zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż pokoju,

myśląc głośno: – Kości rzucone..., lecz czy nie będą to jeszcze jedne kości rozrzucone na darmo po Polsce, jak za dawnych powstań? – słowa wyraźnie usłyszane dobrze sobie wbiłem w pamięć, aby nie przerwać Komendantowi toku myśli. Lecz już mnie spostrzegł, zatrzymał się i spytał: – Co ty tu jeszcze robisz, chłopcze?”.

Wojna po raz pierwszy

Zagadnięty przez Komendanta, którym był Józef Piłsudski, Michał Tadeusz

Osiński nie był już takim chłopcem. Dwudziestodwulek wśród strzeleckiej braci należał do starszych wiekiem. Pochodził z Radomia, gdzie ukończył gimnazjum, w którym historii i literatury uczył go Walery Przyborowski, niezwykle wówczas popularny autor powieści historycznych, do dziś nie tracących literackich walorów – chociażby „Szwedów w Warszawie”. Po maturze Osiński wyjechał na studia w szwajcarskim St. Gallen. Istniał tam już silny ośrodek Związku Strzeleckiego, a „Brzęk”, gdyż taki pseudonim przybrał nasz bohater, szybko stał się jednym z najbardziej aktywnych działaczy organizacji przygotowującej kadry

Wojciech Kossak „Potyczka z kozakami”

FOT. EAST NEWS



Nie groziło mu to i 6 sierpnia jako żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej Wojska Polskiego przekroczył granicę zaboru rosyjskiego. Szedł z wesołą piosenką na ustach: „Raduje się serce / Raduje się dusza / Gdy Pierwsza Kadrowa / na Moskala rusza!”, ułożoną w marszu przez kolegę z St. Gallen Tadeusza Ostrowskiego „Ostera”, poległego później w walce z Rosjanami na Wołyniu. „Brzęk” brał udział w zajęciu Kielc i pierwszych potyczkach z Moskalami, ale słysząc ciągle pytania w rodzaju: „Co ty robisz jeszcze w piechocie? Chodźcie do nas! Nie masz pana nad ułaną, a nad szablę nie masz broni”, przystał do powstającego pułku ułanów legionowych Władysława Beliny-Prażmowskiego.

Był w bojach na Podhalu, a po bitwie pod Łowczówkiem ruszył ponownie do Królestwa, by konno wkroczyć z triumfem do Lublina, gdzie beliniaków powitały na ulicach tłumy wzruszonych widokiem polskich żołnierzy mieszkańców. Potem była kampania wołyńska. A w końcu odznaka „Za Wierną Służbę”, osobiście wręczona przez Komendanta. Kilkadziesiąt lat później Osiński powie przyjacielowi: „Wierz mi, że kto raz pochwycił przeznaczone dla siebie spojrzenie Piłsudskiego, ten nie zapomniał nigdy tego momentu. Aby tak oddziaływać na żołnierza, trzeba urodzić się Wodzem”.

Wojna po raz drugi

Latem 1917 r. kawalerzyści Beliny podobnie jak większość pułków legionowych odmówili złożenia przysięgi na wierność sojuszowi z Niemcami i Austro-Węgrami. Kiedy płk Zygmunt Zieliński, który miał odebrać przysięgę od beliniaków, zażądał wystąpienia z szeregów tych, którzy jej odmawiali, „stęknęła ziemia, gdy twardo wybijając krok, cały pułk wystąpił trzy kroki do przodu”. I cały pułk poszedł za druty Szczypiorna i Beniaminowa, a ci, którzy byli obywatelami austriackimi, na front włoski.

Po zwolnieniu z obozu na początku 1918 r. „Brzęk” wrócił do rodzinnego Radomia. I kiedy w pierwszych dniach listopada padła władza zaborcza i zaczęło powstawać wojsko polskie, był w swoim rodzinnym mieście jednym z organizatorów oddziału kawalerii, który jako Szwadron Radomski kilka tygodni później wyruszył na front ukraiński.

Oddział „Brzęka”, który w międzyczasie uzyskał pierwszy awans oficerski, został włączony do 1. Brygady Kawalerii. Dowodził nią dobry znajomy naszego bohatera – płk Władysław Belina-Prażmowski. I pod jego to komendą wszedł do uporczywych walk pod Rawą Ruską, jednej z mroźnych styczniowych nocy 1919 r. odnosząc chyba najbardziej spektakularne zwycięstwo w tej kampanii.

„Szwadron Radomski szedł w przedniej straży i pierwsi zbliżyliśmy się do zajętej przez nieprzyjaciela wsi Ostrów, stanowiącej przedpole Krystynopola. [...] – No dzieci – powiedział [Belina] do otaczających go oficerów. – Mamy okazję do dobrej rozgrzewki. Zaskoczmy tych mołojców i weźmiemy Ostrów z marszu, szarżą. [...] Belina-Prażmowski przeczekał jeszcze chwilę, aż oficerowie



do rozprawy orężnej z rosyjskim zaborcą. Nic dziwnego, że zaraz po wybuchu wojny przedostał się do Krakowa, gdzie pod komendą Piłsudskiego mobilizowały się oddziały strzeleckie. I choć nie był zadowolony, że początkowo przydzielono go do prac mobilizacyjnych w budynku na Oleandrach, to dzięki temu miał okazję zetknąć się po raz pierwszy osobiście z Piłsudskim i zadeklarować, że siedzi do tak późna „byle wszystko skończyć, byle nie wracać do pióra!” (wszystkie cytaty za: M.T. Brzęk-Osiński, „Ze wspomnień legionisty i piłsudczyka 1905–1939”, spisał W. Dąbkowski, red. naukowa P.A. Tusiński, Warszawa 2003).

przeniosą rozkazy do szwadronów, po czym wyciągnął szablę z pochwy. – Hura! Hurra! – zakrzyknął. Runęliśmy za nim szarżą wściekłą, a zarazem wariacką, bo ktoś odważy się zdobywać wieś szarżą kawalerii? My trzej – »Belina«, [Zdzisław] Kleszczyński i ja – gnaliśmy przed szwadronem, ale już wkrótce Lida zaczęła wyprzedzać ich konie i bezwiednie znalazłem się na czele. Była to [...] najwspanialsza i najpamiętniejsza szarża, w jakiej uczestniczyłem. Nieprzyjaciół został całkowicie zaskoczony. Ta lawina jeźdźców, gnająca z blaskiem szabel, z dzikim wrzaskiem, musiała działać

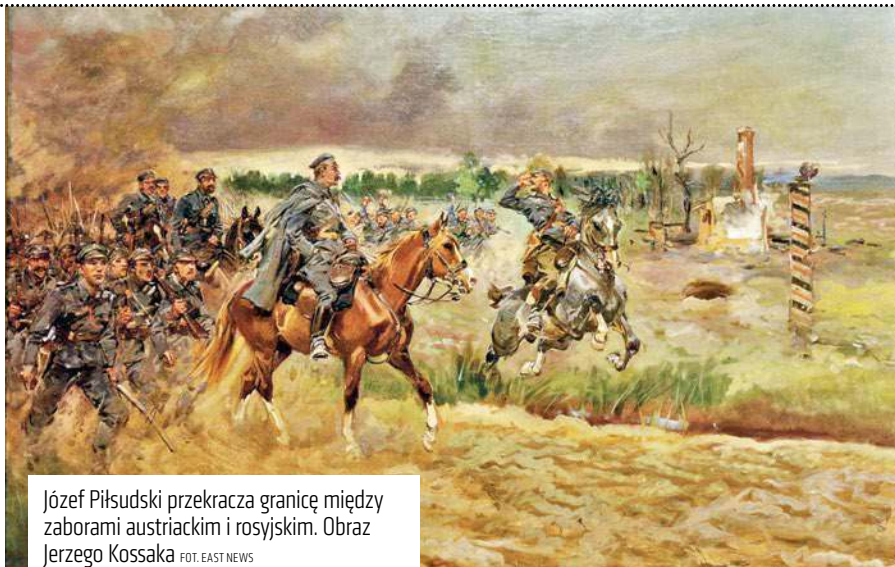
■ przerażająco. Odezwały się beładne wystrzały, »zagrał« nawet i zaraz urwał karabin maszynowy i już dopadliśmy wsi. Ale w poprzek jej ulicy postawione były zasieki. Pierwszy Lida wzięła jak na konkursie, a za mną skakali inni, rąbiąc wyskakujących z chałup, oszołomionych i ratujących się jak kto może Ukraińców”.

Ten sukces nie stał się jednak początkiem kontrofensywy, jak sądzili początkowo polscy dowódcy. Ukraińcy mieli znaczną przewagę i jak wspominał „Brzęk”, „role odwróciły się więc niezwykle szybko. I my, którzy niedawno prac naprzód, biliśmy Ukraińców, teraz zostaliśmy przez nich w Bełzie oblężeni”. Obroną miasta kierował skutecznie były oficer legionowy, ppłk Leon Berbecki, który oparł ją na umocnionych pozycjach wokół miasta, „na przedmieściach: Witkowo, Zabłocie, Góra i Zameczek oraz na dworcu kolejowym. Na pozycjach tych zgromadził środki ogniowe i obsadził je załogami. Odwody zaś skomasował w swym ręku, aby interweniować nimi tam, gdzie zaistniało zagrożenie”.

Oblężenie tymczasem trwało coraz dłużej, odsiecz nie nadchodziła, a środki, którymi dysponowali obrońcy, zużywały się. „Łączność ze światem mieliśmy jedynie linią kolejową do Rawy, za pomocą pociągu pancernego. Lecz Ukraińcy linię tę przerywali, wówczas zaś brakowało amunicji, było głodno, a zapelniały się szpitale. Oczywiście, nieprzyjaciel usiłował zdobyć Bełż, atakując go w coraz to innym punkcie i trzymając miasto pod ciągłym ostrzałem artylerii. Ale dzielnie i dobrze zorganizowanej obrony przełamać nie mogli. Bełż w oczach współczesnych stawał się drugim Zbarazem, a jego rola polegała na odciążeniu zagrożonego Lwowa”. Wobec coraz trudniejszej sytuacji Berbecki rozważał jednak nawet przebiecie się do Rawy Ruskiej. Ostatecznie jednak polska załoga zdołała wytrwać do kwietnia 1919 r., kiedy na front przybyły oddziały Armii Błękitnej gen. Józefa Hallera, kolejnego byłego oficera Legionów. Zapowiadało to początek polskiej ofensywy, która w tej wojnie okazała się rozstrzygająca.

Wojna po raz trzeci

Po zakończeniu walk z Ukraińcami wojsku polskiemu przyszło bić się z bolszewikami. Ta kampania okazała się dla



Józef Piłsudski przekracza granicę między zaborami austriackim i rosyjskim. Obraz Jerzego Kossaka FOT. EAST NEWS

naszego bohatera dość krótkotrwała, co nie oznacza bynajmniej, że była jedynie epizodem w jego wojennej karierze. W drugiej połowie sierpnia 1919 r.

„Brzęk” jako oficer 11. Pułku Ułanów 1. Brygady Kawalerii, której dowódcą nadal był płk Belina-Prażmowski, uczestniczył w ofensywie ku Dźwinie. 1 września bolszewicy przeszli tam do kontrnatarcia. Dwa tygodnie trwały ciężkie boje, w których toku udało się odrzucić Armię Czerwoną za tę rzekę, ale brygada Beliny-Prażmowskiego uległa takiemu wyczerpaniu, że musiała odejść do odwodu.

Pozostawała w nim aż do połowy maja następnego roku. Wówczas to przyszło odpierać kolejną ofensywę bolszewicką. W pierwszym tygodniu czerwca pod Szczoznem Osiński otrzymał rozkaz przejścia z lewego skrzydła linii bojowej na prawe. Mógł to zrobić okopem, ale brawura ułańska sprawiła, że wybrał krótszą drogę. Od razu stał się celem mającego go jak na dłoni bolszewickiego harcownika. „Po gwizdnięciu mi koło ucha pierwszej kuli powinienem był zawrócić do okopów. Lecz moi ułani patrzają, więc idę dalej. Znowu strzał i kula zerwała mi przed nogami kępkę trawy [...]. Teraz – myślę – weźmie sukinsyn poprawkę i wpakuje mi kulę w plecy. Ale zaraz powstała myśl druga – a fason ułański, przecież obserwuję swego dowódcę? Więc niby nigdy nic idę dalej tym samym krokiem, chociaż serce wali i nie będę utrzymywał, żem się nie bał [...]. Strzelił i kula przeleciała mi koło ramienia, to już lepiej [...]. – Prędej, panie poruczniku! – wołają ułani – prędej! A może podbiec – podsuwa lek – ale nie, wytrzymam. Już okopy i oddycham z ulgą, że ta brawura uszła mi na sucho, a tu strzał i wstrząs.

Znów wziął za nisko, ale tą czwartą kulą trafił mnie w nogę poniżej kolana i zwałem się przed samym okopem”. Tak zakończyła się dla Tadeusza M. Osińskiego wojna z bolszewikami.

Wojna po raz czwarty

Dokładnie 25 lat po wymarszu Pierwszej Kadrowej Brzęk-Osiński, który w międzywojniu wzorem licznych legionistów dodał oficjalnie do swojego nazwiska dawny pseudonim, został mianowany majorem rezerwy. Był już dawno poza wojskiem. I poza polityką, gdyż jako bliski współpracownik Walerego Sławka został pozbawiony możliwości aktywności na tym polu. Kiedy niespełna miesiąc później Niemcy zaatakowały Polskę, nie otrzymał żadnego przydziału wojskowego. Miał 47 lat. Nie musiał już iść na wojnę.

4 września 1939 r. jednak ponownie włożył mundur i przypiął szablę do boku, by stanąć na czele ochotniczego oddziału złożonego z uczniów częstochowskich i radomskich gimnazjów. Z nimi też kilka dni później dołączył do Armii Lublin, a ściślej – Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej płk. Stefana Roweckiego, gdzie przydzielono go do sztabu. Był w nim w pierwszej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim, nie unikając pola walki – noc z 19 na 20 września spędził na wysuniętym stanowisku obserwacyjnym. Świtem uderzyło go „nagle umilknięcie grzmotów i trzasków wystrzałów. Ta przeraźliwa cisza oznaczająca, że stało się coś strasznego, była nie do zniesienia”. W sztabie płk Rowecki poinformował

o decyzji kapitulacji Armii Lublin wobec niemożności przebicia się na południe.

Major Osiński, wraz z trzema innymi żołnierzami, początkowo towarzyszył Roweckiemu w drodze do Warszawy. W rejonie miejscowości Zielone przebrali się w cywilne ubrania, ale niemal natychmiast po wyruszeniu w dalszą drogę usłyszeli: „Hände hoch!”, „Nie pozostało nic innego, jak tylko spełnić rozkaz i poddać się obmacaniu, czy nie kryjemy broni”. W czasie rewizji Osiński przyznał, że jest rozbitkiem z bitwy tomaszowskiej, a pozostali przypadkowymi cywilami, co wywołało – jak wspominał – pewne zażenowanie Roweckiego. Niemcom jednak to wystarczyło i w ten sposób wypuścili oficera, który kilka miesięcy później jako generał „Grot” stanął na czele Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej.

Tymczasem Osiński powędrował pod eskortą do Podklasztorza pod Krasnobrodem, gdzie w miejscowym kościele wśród innych jeńców spędził noc z 22 na 23 września 1939 r. Rankiem obudziły go serie z karabinów maszynowych i wybuchy granatów. „Zrywamy się wszyscy, biegniemy do drzwi kościoła i w zamknięte szturmujemy co siły. I oto otwierają je nasi ułani! Wysypujemy się hurmem, aby ujrzeć obraz, jakiego już nie spodziewaliśmy się oglądać w tej posępnej wojnie. Oto niedawni stróże naszej niewoli stali z podniesionymi rękami. Spieszeni ułani prowadzili gromady wziętych do niewoli Niemców. A za tymi, co uchodzili, ruszał w pościg cały szwadron. Oficerowie na czele, od wydobytych szabel aż szedł błysk. Szarżują!”.

Ten wspaniały widok zmienił się, kiedy niemieckie karabiny maszynowe zaczęły ostrzeliwać atakujących ułanów. Zaraz jednak odpowiedziała polska artyleria, zmiotając niemieckie gniazda ogniowe. Bój został zakończony zwycięsko, a mjr. Osińskiemu już rzucał się w ramiona jego kolega z Legionów, ze Szczypiorna i z wojny bolszewickiej ppłk Bohdan Stachlewski, dowódca 25. Pułku Ułanów grupy kawalerii gen. Władysława Andersa. Do niego też dołączył nasz bohater, po raz ostatni w życiu siadając na konia, by przypomnieć sobie czasy, „kiedy to Belina-Prażmowski nie dawał nam wytchnienia, tylko dalej i dalej za Rosjanami, którzy uchodzili z Królestwa Polskiego”.

Kawaleria gen. Andersa, której trzon stanowiła brygada Nowogródzka,

a także resztki wołyńskiej, wileńskiej i kresowej, dążyła uparcie do granicy węgierskiej, w boju z Niemcami otwierając sobie drogę na południe. Ta mężna postawa spowodowała, że w pewnym momencie Niemcy nie chcieli już ryzykować starcia z Polakami i wobec odmowy kapitulacji – ustąpili im z drogi.

Jeszcze tego samego dnia, 26 września 1939 r., przyszło jednak bić się z Rosjanami. Mając przytłaczającą przewagę, rozbili oni część kawalerii Andersa, w tym pod Siedliskami idący w straży przedniej pułk Stachlewskiego. Ten z dwoma oficerami usiłował przedostać się ku granicy. Nie udało się to – wszyscy trzej, schwytani przez bojówkę ukraińską, zostali rozstrzelani. Natomiast Brzęk-Osiński

Tymczasem mjr Tadeusz M. Brzęk-Osiński spędził okres wojny w obozie jenieckim w Woldenbergu (dziś Dobiegniew). W 1945 r. wrócił do rodzinnego Radomia. Chciał zająć się prowadzeniem odziedziczonego po ojcu niewielkiego rodzinnego przedsiębiorstwa, naprawiającego narzędzia i maszyny rolnicze. Nie udało się to – komuniści znacjonalizowali zakład „Fabryczka, zamieniona w magazyny, uległa niebawem dewastacji, na co musiał codziennie patrzeć z okien swego mieszkania” – pisał Piotr A. Tusiński.

Poświęcił się wówczas działalności regionalnej, aktywnie udzielał się w Radomskim Towarzystwie Naukowym. Położył duże zasługi na rzecz ratowania



Michał Brzęk-Osiński, pierwszy z prawej, w studiu radiowym po przemówieniu premiera Leona Kozłowskiego (czwarty z prawej). Obok premiera: Walery Sławek (piąty z prawej) FOT. NAC

z inną grupą rozbitków, uznawszy, że dotarcie do granicy węgierskiej nie jest możliwe, a nie chcąc dostać się do niewoli rosyjskiej, skierował się na zachód, na obszary okupowane już przez Niemców. Grupa ta pod Przemyślem dostała się do niewoli niemieckiej.

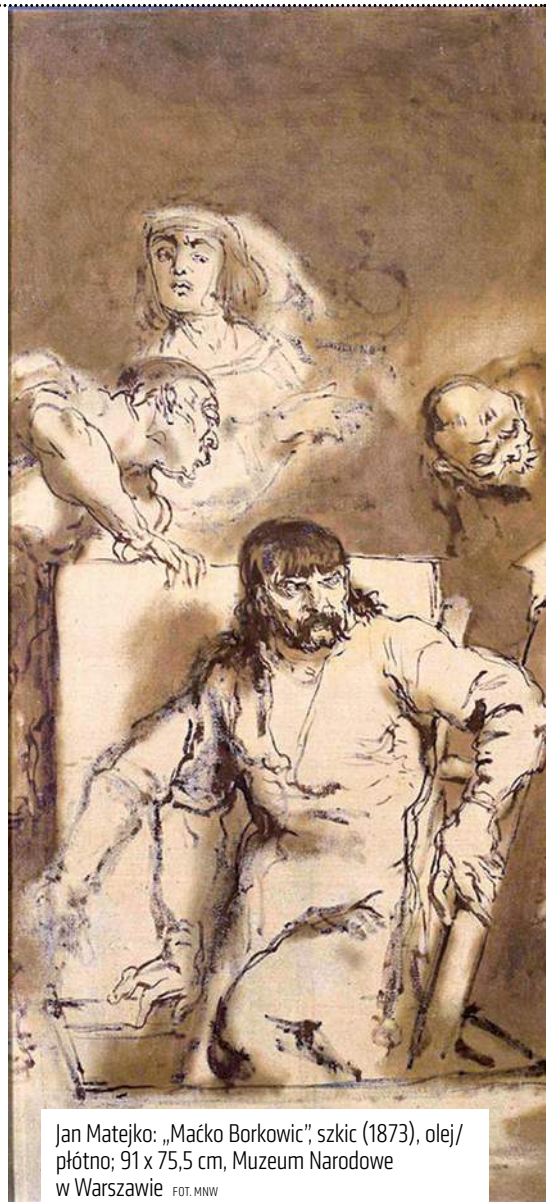
Dopowiedzmy jeszcze, że ofiarność ułanów ppłk. Stachlewskiego umożliwiła gen. Andersowi kontynuowanie marszu ku granicy. Oddziały Armii Czerwonej osaczały już jednak zewsząd jego żołnierzy. Pod wsią Władypol w pobliżu Sambora dopadły w końcu resztki brygady Nowogródzkiej i rozbiły ją. Tylko kilkunastu ułanów pod dowództwem płk. Ludwika Schweizera zdołało osiągnąć zbawcze Węgry.

miejskich zabytków, m.in. chroniąc przed zniszczeniem rogatkę warszawską, a także w upamiętnianiu bohaterów zmagających się z podległościowymi. Zasługą mjr. Brzęka-Osińskiego było złożenie prochów jednego z najwybitniejszych dowódców powstania styczniowego, Dionizego Czachowskiego, w kościele oo. Bernardynów w Radomiu. Zmarł w 1983 r. jako ostatni żołnierz Kompanii Kadrowej, która 69 lat wcześniej jako pierwszy oddział odrodzonego wojska polskiego wyruszyła do Królestwa Polskiego, by walczyć o niepodległość z rosyjskim zaborcą. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



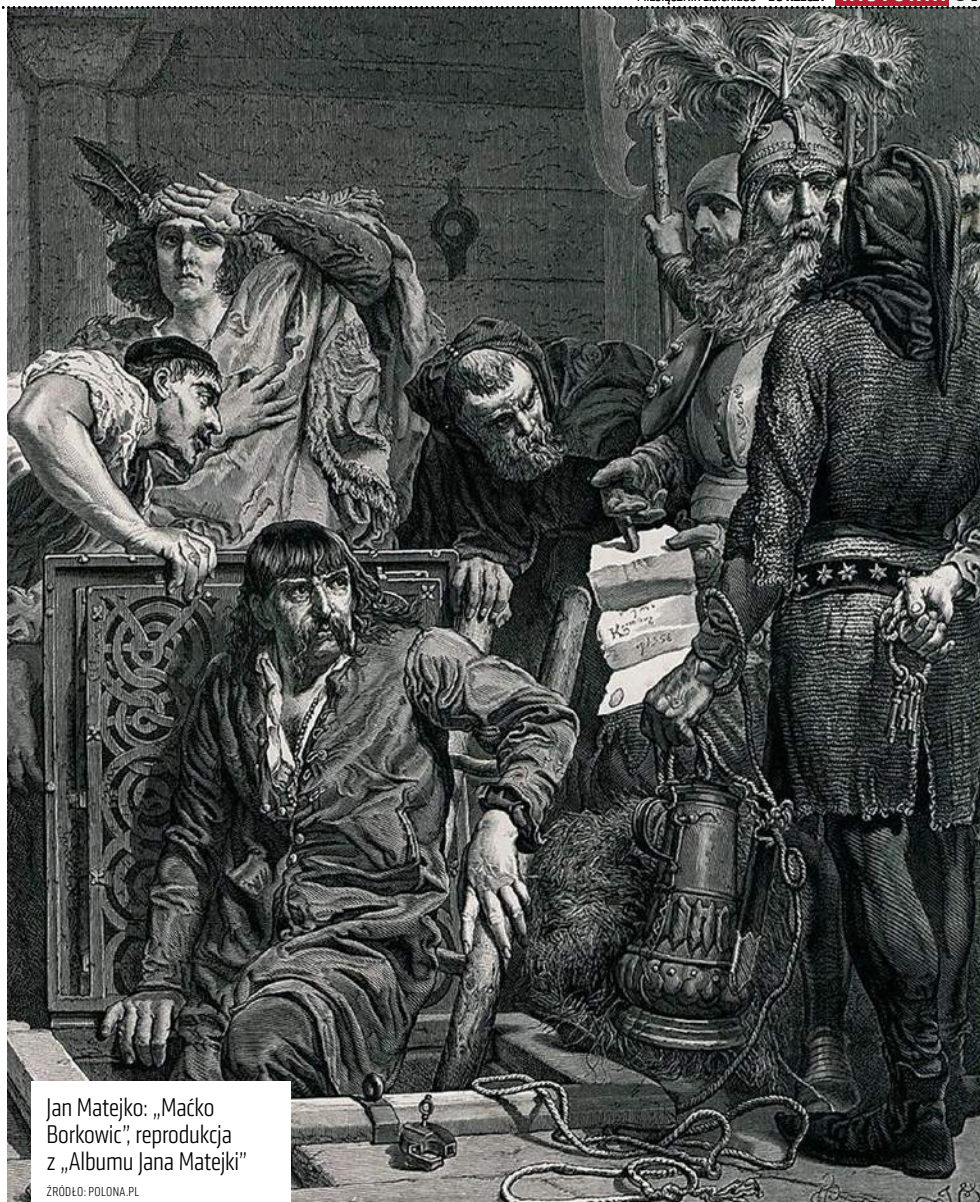
Jan Matejko: „Maćko Borkowic” (1873), olej/deska; 39 x 31 cm, kopia nieznanego malarza, Muzeum Narodowe w Warszawie (oryginał własność prywatna) FOT. MNW



Jan Matejko: „Maćko Borkowic”, szkic (1873), olej/ płótno; 91 x 75,5 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie FOT. MNW

XIV w. / Historia ukryta w obrazie Jana Matejki

Zagłodzony przez Kazimierza Wielkiego



Jan Matejko: „Maćko Borkowic”, reprodukcja z „Albumu Jana Matejki”

ŹRÓDŁO: POLONA.PL



Leszek Lubicki

Maćko Borkowic przez 40 dni umierał w niewyobrażalnych męczarniach. Dlaczego król w tak okrutny sposób ukarał wielkopolskiego możnego?

Za czasów rządów Władysława Łokietka i później Kazimierza Wielkiego Wielkopolska nie była zbyt przez tych władców rozpieszczana. Różnice cywilizacyjne między dwiema najważniejszymi ziemiami, a więc Wielkopolską i Małopolską, były

znaczące, oczywiście na korzyść tej drugiej. Król urzędował w Krakowie, więc nie dziwi taka sytuacja. Niemniej Kazimierz podejmował już pewne działania, by zniwelować owe różnice. Czy były one pozytywnie przyjmowane przez możnych Wielkopolski – to już inna sprawa.

W tej opowieści musimy wspomnieć o urzędzie starosty. Instytucję tę wprowadził w Polsce król Wacław II. Zadaniem tego urzędu było reprezentowanie władzy królewskiej w danej dzielnicy. W przypadku Wielkopolski nie bardzo funkcja ta odpowiadała możnym tej ziemi. Kazimierz z początku spełnił ich oczekiwania i w 1348 r. powołał dwóch starostów, którzy byli z urodzenia Wielkopolanami. I tak starostą kaliskim został Przecław z Gułtowa, a poznańskim Maciej Borkowic. Jednak ich działania nie spełniły oczekiwań króla. W Wielkopolsce szerzyły się rozboje i inne zamieszki. Monarcha uznał zatem, że ten system prawny się nie sprawdza i odsunął ich od władzy. Ustanowił wówczas jeden urząd starosty generalnego, czyli namiestni-



Wieża zamku Olsztyn k. Częstochowy

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

■ ka króla dla całej Wielkopolski. Problemem nie było jednak to, że miał być jeden urząd, tylko stanowiła go osoba, która miała go sprawować. Kazimierz bowiem mianował na to stanowisko pochodzącego ze Śląska Wierzbietę z Paniewic. Nie dość, że starostą został „obcy”, to jeszcze miał możliwość stosowania „prawa ciężenia”. Wówczas czara goryczy się przełata.

Owo „ciężenie” polegało na zajmowaniu dóbr ziemskich przez starostę osobom postawionym w stan oskarżenia, a nawet tylko podejrzanym o popełnienie czynu zabronionego. W praktyce wyglądało to tak, że zanim winę delikwentowi udowodniono, jego majątek był spustoszony, a dochody monarchy tym samym się powiększyły. Nie trzeba być znawcą nawet obecnego prawa, żeby wiedzieć, że była to wielka niesprawiedliwość. Wszystko to razem musiało doprowadzić do konfliktu na terenie Wielkopolski. 2 września 1352 r. najważniejsi możni tej dzielnicy zawiązują konfederację. Jest to pierwszy tego typu akt na ziemiach polskich. Podpisują go 84 osoby z 17 rodów szlacheckich, w tym tak znaczących jak Awdańcowie, Grzymalicy, Zarębowie i Nałęczowie. Na czele konfederacji staje będący wówczas wojewodą poznańskim Maćko Borkowic herbu Napiwon.

Jak pisze prof. Andrzej Nowak: „Nie był to bunt przeciw królowi, ale próba zorganizowania samoobrony obywatelskiej wobec przemocy aparatu starościńskiego, tym bardziej wtedy w Wielkopolsce niepopularnego, że na jego czele król

postawił nie miejscowego, ale Ślązaka”. I dalej: „Oni, pierwsi konfederaci, zasługują na pomnik w sercu każdego, kto ceni ducha polskiej wolności”. I wydaje się, że tak mógł to zrozumieć także król.

Rok po zawiązaniu konfederacji przybył do Wielkopolski i próbował się z konfederatami porozumieć. Nikogo nie ukarał, odciągnął kilka rodów od protestu, a nawet wiele lat później, po śmierci Wierzbiety, mianował na stanowisko starosty wielkopolskiego jednego z przywódców konfederacji, Przecławia z Gułtowa. Przez kolejne dwa lata po zawiązaniu konfederacji trwa względny spokój, a możliwych wielkopolskich widzimy u boku Kazimierza. Można powiedzieć, że jednak sukces.

Maćko zbój

Takie powodzenie często doprowadza jednak do „zawrotów głowy”. Rozzu-chwalenie tym, jakkolwiek by patrzeć, sukcesem, widzimy przede wszystkim u Maćka Borkowica. Reszta towarzystwa, obawiając się siły króla i nie chcąc mocno z nim zadzierać, nie angażowała się zbyt w działania przywódcy konfederacji. Temu jednak dwa lata po jej zawiązaniu „przytrafia” się zbrodnia zabójstwa. Jej ofiarą jest kasztelan gnieźnieński, prywatnie szwagier Maćka, niebędący członkiem konfederacji. Do końca nie wiadomo, co było przyczyną tej zbrodni. Borkowic – czy to wygnany, czy sam ze strachu – opuszcza Królestwo Polskie.

Przebywa na Śląsku, ale już w roku 1357 powraca, a w roku następnym składa królowi w Sieradzu przysięgę wierności. Dusza rogata daje jednak dalej znać o sobie. Posłuchajmy zatem Jana Długosza:

„Chociaż bowiem zaręczeniem piśmiennym i pieczęcią swoją opatrzonym przyrzekał królowi Kazimierzowi, że mu będzie posłuszny i onych spraw nieczynnych zaprzestanie, ufny wszelako w zacość swego rodu i wysoką godność wojewody, wracał ciągle do swych nadużyć, których się był zarzekł, a nawet uroczyście wyprzysięgał”.

I jeszcze jedno zdanie naszego znakomitego kronikarza: „Aliści on złodziejom i rozbójnikom, których w tej okolicy wielka była liczba, a przeciw którym powinien był użyć swej władzy, naprzód skryte u siebie dawać poczał przygaranie, a potem głównym stał się ich przywódcą”.

Później już było krótko. Maciej, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę i licząc na to, że monarcha ponownie mu wybaczy, stawia się przed jego obliczem w Kaliszu. Jednak tu zapewne padają z ust Kazimierza tylko dwa słowa: „Brać go”.

Z czarką wody i wiązką siana

Jak wyglądało samo wykonanie wyroku, o tym oczywiście nie mamy pojęcia. Możemy tylko zaufać opisowi Jana Długosza, z którego zapewne czerpał mistrz

Jan, tworząc swój obraz. Kronikarz zapisał: „Kazimierz, król polski, nieprzyjaciel wszelakiego bezprawia, a zwłaszcza rozbojów i kradzieży, nie omieszczał ku ich wytępieniu najgorliwszych dołożyć starań, żadnego nie ochraniając stanu, godności i wieku. [...] Król Kazimierz [...] Macieja Borkowica, wojewodę poznańskiego, kazał ująć i za jawne jego zbrodnie okutego w kajdany odesłać do zamku Olsztyna [k. Częstochowy], gdzie go do turmy podziemnej wtrącono. [...] Nie przestał nawet na prostym zgładzeniu winowajcy, ale postanowił go ukarać śmiercią głodową. Jakoż z rozkazu króla dawano mu codziennie tylko wiązkę siana i czarkę wody, co go w tak okropną rozpacz wprawiło, że dla zasycenia głodu, póki mógł, własne ciało z rąk i innych miejsc wyzerał”.

Trwało to aż dni 40, zanim przy zgonie Maćko „wyznał, że na śmierć taką zasłużył”. Tak zakończył kronikarz, rozgrzeszając niejako króla za tak okrutny wyrok, bo chyba najokrutniejszy, jaki wydał w czasie swojego panowania. Jednakże w czasach średniowiecza każda kara za nadużycie wobec monarchii była okrutna, a skazany cierpieć musiał. Co ważne, jak zauważa prof. Jerzy Wyrozumski, skazanie Maćka na śmierć głodową należy „traktować jako fakt zupełnie odrębny w stosunku do związku konfederackiego z 1352 roku”. Maćko umiera 8 lub 9 lutego 1360 r.

Potem urodziły się jeszcze, jak to po wyrokach skazujących na nadzwyczaj straszną śmierć, plotki. Nie omieszczał ich podać Długosz. „Twierdzą niektórzy, że król Kazimierz z tej przyczyny Macieja wojewodę tak srogą ukarał kaźnią, że był oskarżony o miłosną sprawę z królową”. Nie podaje jednak dziejopis z którą, ale chyba z tą wygnaną do zamku w Żarnowcu, legalną Adelajdą Heską, a nie z bigamicznego związku Rokiczaną, która koronowana nie była.

Po drabinie do lochu

Jan Matejko stworzył kilkadziesiąt obrazów o treści sensacyjnej bądź dramatycznej. Te niewielkie malowidła, oczywiście w porównaniu z jego monumentalnymi płótnami przedstawia-

jącymi dzieje Polski, tworzył z różnych powodów, często dla zarobku, gdyż wiele znaczących osób pragnęło posiadać jego dzieła. Na te ogromne nie było stać nawet najbogatszych... No, chyba że byłoby się cesarzem Austrii Franciszkiem Józefem, to wtedy można było nabyć nawet „Rejtana”. Małe obrazki natomiast mogli kupić i powiesić na ścianie ci trochę „biedniejsi”, np. będący przedmiotem tego szkicu, który zakupiła ks. Marcelina Czartoryska za sumę 4 tys. guldenów. Tak naprawdę kwota ta była ekwiwalentem, który



Król Kazimierz Wielki

FOT. ARCHIWUM

księżna wypłaciła artyście za namalowany wcześniej portret jej osoby.

Jak wspominałem, obrazu tego nie będziemy mogli obejrzeć w żadnym z polskich muzeów. Od chwili powstania znajduje się w prywatnych rękach. Jego właścicielami do roku 1938 na pewno byli różni członkowie rodziny Czartoryskich, a ostatni znany nam z imienia to ks. Witold z Pełkiń. Po grudziej wojnie światowej w latach 1953–1964 znajdował się w depozycie Muzeum Narodowego w Poznaniu. Umieszczony został tam na przechowanie przez urząd podatkowy. Kto obecnie jest jego właścicielem, tego dotychczas nie upubliczniono. Wiemy jedynie, że znajduje się w kolekcji prywatnej w Warszawie.

Natomiast Muzeum Narodowe w Warszawie jest w posiadaniu szkicu do tego obrazu, prawie dwukrotnie większego wymiarami, który Jan Matejko podarował swojemu sekretarzowi Marianowi Gorzkowskiemu. Ten kilka lat po śmierci artysty sprzedał go osobie prywatnej, od której później odkupiło szkic warszawskie muzeum.

Dzieło Jana Matejki w literaturze przedmiotu ma kilka tytułów. Najbardziej chyba do nas przemawia ten: „Maciej Borkowicz wchodzący do kaźni na śmierć głodową”. Wiele jest opisów tego malowidła, ale tutaj przedstawimy bodaj jeden z pierwszych, jaki się ukazał. W „Kurjerze Warszawskim” z 1874 r. – czyli w tym czasie, kiedy obraz wystawiono publicznie po raz pierwszy – anonimowy krytyk zanotował: „Najświeższym utworem Matejki [...] jest mały obrazek jak ćwiartka dużego arkusza papieru [...] Obraz przedstawia otwór do piwnicy z wstawioną doń drabiną, po której schodzi człowiek w karmazynowym żupanie, czoło niskie, wargi rozciągnięte, noszą piętno zwierzęcej dzikości i okrucieństwa. Stróż czy oprawca, żylastą ręką podtrzymuje kratę żelazną, która się ma zamknąć za winowajcą; żołnierze w żelazo zakuci, snąc przyprowadzili zbrodniarza; jeden z nich trzyma wiązkę siana, mającą wraz z wodą napełniającą konew miedzianą służyć za pożywienie skazanemu. Jest tam także jakiś piękny młodzian, w berecie z piórkami, jakby wyglądający kogoś z dali – może ułaskawienia królewskiego, którego też może oczekuje i zbrodniarz, ociągający się niejako ze zstąpieniem do swego grobu za życia. Postać ta młodzieńca stanowi kontrast z resztą obrazu i ponurość jego jeszcze podnosi”.

Powołując się na cytowanego wcześniej prof. Nowaka, możemy za nim powtórzyć, że powinniśmy bronić Maćka i jego towarzyszy za akt konfederacji z 1352 r., ale za dalsze postęпки musimy ganić, a także współczuć tak okrutnej w męczarniach śmierci. Możemy przypuszczać, że współczuł Borkowicowi także Jan Matejko, tworząc ten obraz, umieszczając na nim owego młodziana w berecie z piórkami oraz ukazując ten moment ociągania się skazańca, mającego nadzieję na ułaskawienie. Nie nadeszło ono jednak nigdy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Artur Grottger „Bitwa”

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



1863 r. / Insurekcja styczniowa

Powstaniec niezłomny



Tomasz Stańczyk

/ Złota obrączka z napisem: „Zygmunt, Apolonia” pozwoliła zidentyfikować szczątki Zygmunta Sierakowskiego. Naczelnika wojennego województwa kowieńskiego z 1863 r.

Dwa miesiące przed 157. rocznicą powstania styczniowego – w listopadzie 2019 r. – na cmentarzu Na Rossie w Wilnie pochowano szczątki 20 powstańców styczniowych rozstrzelanych i powieszonych w tym mieście na pl. Łukiskim. Odnaleziono je w 2017 r. na Górze Giedymina (Zamkowej). Ciała skazańców, ze skrępowanymi rękami i z workami na głowach, rosyjscy oprawcy wrzucili do dołów i zasypali wapnem. Pierwszą ofiarą był ks. Stanisław Iszora z Żołudka, skazany na śmierć za odczytanie

w kościele „oburzającego manifestu” powstańczego. Wyrok wykonano 22 maja 1863 r. Kilka dni później powieszony został Bolesław Kołyszko, dowódca powstańczego oddziału. Na karę śmierci skazani byli także członkowie władz powstańczych na Litwie, żandarmerii powstańczej, dezterterzy z wojska rosyjskiego, którzy przystali do powstańców. Najbardziej znani wśród straconych to Zygmunt Sierakowski, naczelnik wojenny województwa kowieńskiego, oraz Konstanty Kalinowski, polski szlachcic, budzieli ducha narodowego Białorusinów i ich bohater.

Zygmunt Sierakowski urodził się na Wołyniu w 1827 r. Jego ojciec zginął w powstaniu listopadowym. Sierakowski skończył gimnazjum w Żytomierzu i zaczął studiować w Petersburgu. Należał do patriotycznego kręgu studentów – Polaków. Gdy w 1848 r. wybuchła Wiosna Ludów, chciał się nielegalnie dostać do ogarniętej buntem Galicji. Jego przyjaciel Bronisław Zalewski wspominał: „Młodzieniec wierzył, że świat się cały przemienia i już Królestwo Boże wstąpi na ziemię, a Polska z grobu powstanie niezawodnie”.

Sierakowski został schwytany, prawdopodobnie z powodu zdrady furmana-przemysłowca podczas próby nielegalnego przejścia granicy. Powrót na uniwersytet był oczywiście niemożliwy. Sierakowski został wysłany do orenburskiego okręgu wojskowego jako szeregowiec, z czasem awansował na podoficera. Uratował wówczas od śmierci Polaka z kompanii karnej, Dobkiewicza, który uderzył oficera za słowa: „Podły jesteś jak cały twój podły polski naród”.

Dobkiewicz powiedział wówczas, że jego można obrażać, ale nie naród. Został skazany na karę 6 tys. kijów, co oznaczało wyrok śmierci. Dowódca okręgu wojskowego Perowski zmniejszył karę do 1 tys. uderzeń, ale to także często oznaczało śmierć ukaranego. Sierakowski zrobił składkę na ucztę dla żołnierzy mających wykonać karę i przekonywał ich, by nie bili mocno. Żołnierze chyba nawet przesadzili, bo Dobkiewicz miał „zaledwie kilka czerwonych pręg na plecach”.

Sierakowski po pobycie w jednostce liniowej rozpoczął studia w petersburskiej akademii sztabu generalnego. Decyzję o pozostaniu w wojsku tłumaczył Bronisław Zalewski tym, że Sierakowski przyzwyczał się do służby w armii, polubił ją, lecz pragnął także poprawić położenie żołnierzy, z którymi oficerowie obchodzili się brutalnie. Sierakowski, który po studiach zaczął pracować w departamencie sztabu generalnego Ministerstwa Wojny, należał do zespołu opracowującego zmiany w kodeksie karnym wojskowym. Był gorącym zwolennikiem likwidacji kar cielesnych dla żołnierzy. Ubolewał także nad niedolą ludu, opowiadał się za zniesieniem poddaństwa i uwłaszczeniem chłopów.

Benedykt Dybowski, zaprzyjaźniony z Sierakowskim, pisał w książce wspomnieniowej o nim, że miał „duszę anielsko szlachetną”, a wszyscy kochali go za dobroć, szacunek okazywany innym ludziom. „Jakkolwiek w światopoglądach naszych byliśmy o całe niebo różni, ale godziliśmy się odnośnie do wiary w postęp człowieczeństwa, ku ideałom sprawiedliwości, wolności, trzeźwości i prawdy” – stwierdzał Dybowski.

Prawdopodobnie w 1862 r. Zygmunt Sierakowski opracował memoriał w kwestii polskiej, adresowany do ministra wojny, który miał przedstawić carowi przemyslenia Sierakowskiego. A były one bardzo odważne. Stwierdzał, że cywilizacja polska „opiera się na dążności do swobód obywatelskich, na wysokim poczuciu potrzeb wolności osobistej, na dążeniu do uzyskania dla niej jak najszerszych praw i przywilejów, a zatem ma na celu zapewnienie rozwoju swobodnego jednostkom”. Krańcowym przeciwnstwem jest cywilizacja rosyjska, a w Rosji „pierwiastek państwowy pochłaniał wszystko, dusił wszystko”.

Sierakowski nie był jednak radykałem, nie domagał się niepodległości Polski.

Uważał, że rozwiązaniem kwestii polskiej byłoby połączenie pierwiastka rosyjskiego – centralizacji, z pierwiastkiem polskim – „autonomią prowincji, z dążnością do jej swobodnego rozwoju”. Inna to już rzecz, że nie wiadomo, jak wyobrażał sobie połączenie władzy centralizacyjnej z autonomią dla ziem dawnej Rzeczypospolitej. A miała być ona bardzo duża, gdyż rząd centralny miał zajmować się tylko sprawami zagranicznymi, wojskiem i finansami. Był zdania, że główny warunek dla związku ziem polskich z Rosją musi być ten sam co przy unii polsko-litewskiej: „Wolni z wolnymi, równi z równymi”. Memoriał Sierakowskiego został zignorowany.

Solidarność

Sierakowski był członkiem samokształceniowego kółka oficerów-Polaków, które z czasem przybrało charakter patriotyczny. Należał do niego Jarosław Dąbrowski. Przygotowania powstańcze nie były dla Sierakowskiego tajemnicą, kontaktował się z członkami Centralnego Komitetu Narodowego. Uważał jednak je za daleko przedwczesne, sądził, że zwycięstwo byłoby ogromnie trudne, może udałoby się je osiągnąć przy dostatecznym uzbrojeniu oraz bierności przeciwnika. Uważał, że za 20–30 lat nastąpi europejski konflikt i wówczas będą szanse na odzyskanie niepodległości.

Żona wspominała jego słowa: „Porwanie się dzisiaj, bez koniecznych przygotowań, będzie polem krwawych Termopilów”. Nie przystąpił do powstania od razu, lecz dopiero w marcu 1863 r. przynagłany do przyjazdu na Litwę. Wreszcie zdecydował się. „Zygmuncie, przy rozstaniu nie zdobyłeś się nawet na jedno słowo nadziei, żeby ulżyć nie-szczęśliwej; rzuciłeś straszne wyrazy:

»Obejmij silne szyję, ażeby w chwili, gdy strzyżek zaciskać się będzie, mógł pamiętać uścisk twoich rąk! Lżej mi będzie umierać!« – wspominała rozstanie żona.

Sierakowski zdawał sobie sprawę, że przystępuje do sprawy przegranej. Wysłannikowi z Wilna, Aleksandrowi Oskierce, powiedział: „Przynosisz mi wyrok śmierci”. Stwierdzał, że inaczej nie mógł postąpić. Mówił o obowiązku wobec ojczyzny, o współbraciach, którzy go

wzywają. Solidarność z walczącymi była ważniejsza niż przekonanie o tym, że powstanie musi skończyć się klęską. Wziął urlop pod pozorem konieczności odwiezienia żony na kurację zagranicą. W rzeczywistości pojechał z nią do Wilna, a potem do Kowna.

Powstańcze dowództwo Sierakowskiego trwało krótko, bo zaledwie miesiąc. Gdy obejmował stanowisko naczelnika wojennego województwa kowieńskiego, działały już oddziały księdza Antoniego Mackiewicza i Bolesława Kołyszki. 21 kwietnia 1863 r. dowodził nimi pod Ginietynami, urządzając zasadzkę na szwadron ułanów i oddział kozaków. „Zasadzka powiodła się, moskale bezpiecznie posuwali się błotnistą drogą; awangardę kozaków puszczono bez wystrzału, natomiast piechotę, jadącą na wozach, przyjęto gęstym ogniem całej linii. W szeregach moskiewskich powstało zamieszanie; nieprzyjaciół odstrzeliwano się nieśmiało, a ciągle prażony ogniem musiał rzucić się na prawe skrzydło powstańców, gdzie stał się z ks. Mackiewiczem. Tu była najgorętsza walka, bo moskale doprowadzeni do ostateczności, torowali sobie drogę bagnietem. Sześć razy żmudzy kosynierzy odpierali nacisk nieprzyjaciela, zagrzani przykładem i zachętą księdza-dowódcy. Nie mogąc przełamać Mackiewicza, Moskale w zupełnym już nieładzie zaczęli uciekać na błota, gdzie



Zygmunt Sierakowski w celi więziennej FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pogrzeb odnalezionych szczątków powstańców styczniowych w Wilnie, listopad 2019 r. FOT. PAP



Ich ścigano, zabijając ugrzęzłych po kolana i odbierając sztucery i ładunki” (Stanisław Zieliński, „Bitwy i potyczki 1863–1864”).

Była to cenna zdobycz, gdyż powstańcy byli dramatycznie źle uzbrojeni w broń palną. W starciu zginęło 40 żołnierzy rosyjskich, straty powstańców to dwaj polegli. Nie doczekał się Sierakowski przerzutu broni ani amunicji morzem organizowanego przez Teofila Łapińskiego, nie doszedł do skutku atak na twierdzę w Dyneburgu, gdzie spodziewano się zdobyć oręż.

Po tym zwycięstwie Sierakowski zarządził koncentrację oddziałów i zaczął organizować regularne wojsko, tworząc bataliony. Planował zebrać co najmniej 5 tys. ludzi i ruszyć na Wileńszczyznę, by tam rozpałić powstanie.

Wśród ludności Kowieńszczyzny – jak wspomniała żona Sierakowskiego – panował entuzjazm: „Dołęga [pseudonim Sierakowskiego – przyp. T.S.] szedł gościńcem przez miasteczka i wsie parafialne: Subocz, Komaje, Soły, Skapsizki, Ponedel, Poniemuń i Popiel. Zarządy moskiewskie uciekały. Był to prawdziwy pochód triumfalny. Wysyłani powstańcy uświadamiali mieszkańców o nadejściu oddziału. Tłumy wzruszone zbierały się przy kościołach. Dołęga zsiadał z konia, przyjmował błogosławieństwo kapłana, za procesją wchodził do kościoła, ucałowywał stopnie ołtarza, klęcząc z choraławą w ręku słuchał nabożeństwa. [...] Pobożni Żmudzini, widząc powstańców poczynających z Bogiem, wierzyli, że

sprawa jest święta. [...] Oddział wzrastał. Zapał był wielki. Gdyby broń była, można byłoby formować całe pułki. Większą część ochotników musiał Dołęga odprawić do lepszych czasów, tj. gdy broń będzie”.

Tragiczny finał

Niestety, 8 maja, w boju pod Hudysz-kami Sierakowski został poważnie ranny, a powstańcy ponieśli klęskę, tracąc 200 zabitych i rannych. Ksiądz Mackiewicz przybył na plac boju za późno, by uratować sytuację, i w dodatku zachowywał się biernie. Dzień później pod Sznurkiskami zgrupowanie Sierakowskiego zostało niespodziewanie zaatakowane. Sierakowski, choć oddał komendę Ignacemu Laskowskiemu, próbował dowodzić, leżąc na wozie. „Żołnierz na duchu upadł. Na próżno Mackiewicz zagrzewał swoich kosynierów, broniąc z nimi przez godzinę prawie wozów, na których leżało kilkunastu rannych. Wszystko cofało się bezładną kupą”. Sierakowski został wyniesiony z placu boju i przewieziony do dworu w Skrobiszkach.

Apolonia Sierakowska opisywała okoliczności ujęcia męża: „Niedaleko Skrobiszek komisarz Józef Kościółkowski miał przyrodniego brata Ildefonsa, do niego posłał o powóz i konie dla rannego wodza, kiedy odmówiono, udał się sam i przemocą je zabrał. Nie wiem, pod wpływem jakich uczuć nieszczęśliwa Ildefonsowa Kościółkowska udała się do

miejscowego isprawnika Boleśława Sie-sickiego i wskazała mu w chwili, gdy był Ganecki [rosyjski generał – przyp. T.S.] miejsce pobytu Dołęgi”. Rosjanie otoczyli dwór i pojmali Sierakowskiego. Jednak Jakub Gieysztor, stojący na czele organizacji powstańczej na Litwie, twierdził, że Kościółkowska nie zdradziła, a w ich majątku nie było wówczas powozu. Znalaziono go za późno, by wywieźć w bezpieczne miejsce Sierakowskiego.

Laskowski z Mackiewiczem wyprowadzili z boju pod Sznurkiskami część powstańców.

W grudniu 1863 r. ks. Mackiewicz został wzięty do niewoli, został powieszony pod koniec tego miesiąca w Kownie. W styczniu 1864 r. pod Iłbianami został rozproszony oddział Laskowskiego.

Sierakowskiego przewieziono do Wilna. Ciężki stan zdrowia – ranny w kręgosłup, nie mógł chodzić – nie pozwalał na próbę uwolnienia go z więzienia. Według relacji żony Sierakowski nie zgodził się na plan odbicia go przez młodzież wileńską, gdyż uważał, że pociągnie to za sobą wiele ofiar i sprowadzi represje generała-gubernatora Michaiła Murawjowa na Wilno.

W grypsach do żony pisał, że Murawjow usiłował go skłonić poprzez swego wysłannika do napisania oświadczenia, które miało przerwać działania powstańcze i by wyjawili nazwiska przywódców powstania. Sierakowski kategorycznie odmówił, chociaż wiedział, że tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci, o czym zawiadomił żonę. „A ty mój aniele – pisał w grypsie do żony – czy będziesz miała moc, siłę choć z daleka – wzrokiem pożegnać mnie stojącego pod szubienicą?!”.

W sprawie Sierakowskiego interweniował m.in. Giuseppe Garibaldi. Podobno uczyniła to też żona Aleksandra II, prosząc, by Sierakowski nie został rozstrzelany. Gubernator Murawjow miał odpowiedzieć: „Ja go nie rozstrzelam, ja go powieszę”. Tak też zrobił.

Ekzekucja Zygmunta Sierakowskiego odbyła się na pl. Łukiskim w Wilnie 27 czerwca 1863 r. Podobno jeszcze przy szubienicy namawiano go do zdradzenia nazwisk przywódców powstania. Sierakowski miał odpowiedzieć: „Gdyby twój car koronę mi swoją na głowę włożył, niczego się nie dowie, życie mi wydrze, ale nie spodli”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Maria i Jan Bobrzyńscy

FOT. ZBIORY AUTORA

1882–1951 / Smutna historia Jana Bobrzyńskiego

Fatum konserwatysty



Piotr Kosmala

/ Jan Bobrzyński próbował uratować Polskę przed katastrofą. Poniósł fiasko, a w trakcie wojny dotknęła go wielka osobista tragedia

którego życie okazało się pasmem porażek.

Jan Bobrzyński był synem słynnego ojca, co od samego początku niejako określiło jego życiową drogę. Profesor Michał Bobrzyński (1849–1935) był przecież nie tylko c.k. namiestnikiem Galicji i członkiem wiedeńskiej Rady Państwa, lecz także wybitnym akademikiem Uniwersytetu Jagiellońskiego i współtwórcą tzw. krakowskiej szkoły historycznej. Jego słynne „Dzieje Polski w zarysie” z 1879 r. miały od tamtej pory wiele kolejnych wydań i nadal pozostają jednym z najważniejszych kompendiów historycznych.

Czarne złoto

Młody Jan początkowo nie chciał bynajmniej iść śladami ojca, tym bardziej że jego zainteresowania krążyły raczej wokół nauk ścisłych. Studiował chemię na politechnice w Karlsruhe, a w 1910 r. uzyskał z wyróżnieniem tytuł doktorski na politechnice w austriackim Grazu, broniąc dysertacji poświęconej właści-

wościom ropy naftowej. Świetnie wykształcony, ze znanym nazwiskiem, mógł przebierać w ofertach pracy. Ostatecznie wybrał Rumunię, krainę „czarnego złota”, gdzie podjął współpracę z rafinerią Steaua Română. Do kraju wrócił z powodu wybuchu wojny, służył w armii austro-węgierskiej w 12. Pułku Haubic Polowych – za udział w walkach został dwukrotnie odznaczony brązowym i srebrnym Krzyżem Zasługi.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przez pewien czas pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, zajmując się gospodarką węglową. Był to potrzebny mu wówczas okres stabilizacji – w 1917 r. ożenił się, został ojcem. Doświadczenia wcześniejszej pracy i znajomość trendów światowej energetyki każyły mu zaangażować się w nowatorskie zagadnienie, jakim była wówczas gazyfikacja węgla. Jak opisuje autor wydanej niedawno monografii poświęconej Bobrzyńskiemu, Sebastian Paczós:

Chciał przerabiać węgiel w generatorach – wielkich piecach, gdzie przy wdmuchiowaniu powietrza i pary wodnej węgiel zmieniał się w gaz, spożytkowany do wytwarzania energii cieplnej. W jego planach miał on

Wiek XX znał historie znacznie smutniejsze. Ba, w tym akurat stuleciu nie brakowało autentycznych ludzkich tragedii, zionących grozą i dramatem. Historia dr. Jana Bobrzyńskiego aż tak może wstrząsająca nie jest, jednak poznając ją stopniowo, nie da się wyzbyć dojmującego smutku i współczucia dla człowieka wybitnego i uczciwego,

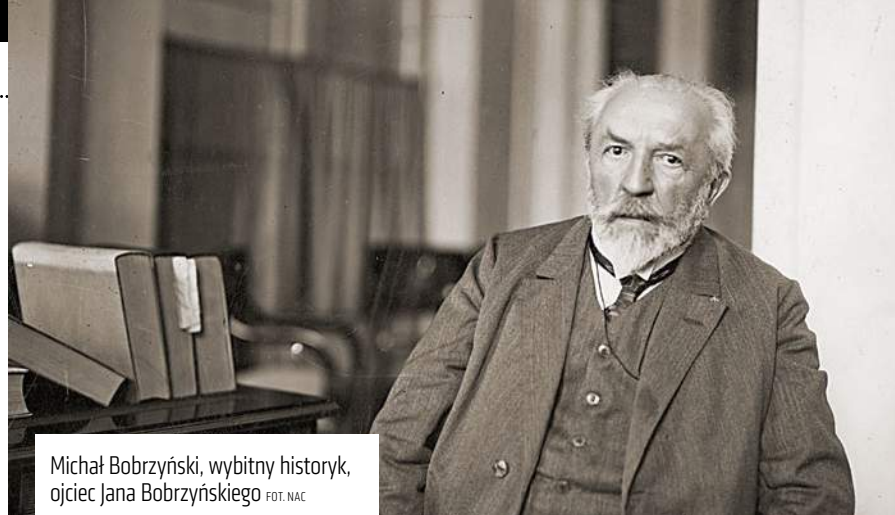
■ służyć do zaopatrywania w gaz pobliskich okęgów przemysłowych – dąbrowskiego i krakowskiego. Pozostałe produkty powstałe w tym procesie (benzyna, olej oraz amoniak) miały być wykorzystane do produkcji nawozów i środków wybuchowych.

(Sebastian Paczos, „Jan Bobrzyński. Portret polityczny”, Poznań 2018)

Bobrzyński odszedł z resortu i razem z przyszłym ministrem przemysłu Eugeniuszem Kwiatkowskim powołał do życia w 1920 r. Towarzystwo Przemysłu Węglowego, mające stanowić podwaliny dużego międzynarodowego koncernu. Początkowo wszystko szło bardzo dobrze – udało się zaangażować do współpracy doświadczonych naukowców, a projektem zainteresowali się wpływowi przemysłowcy. Towarzystwo przekształcono w spółkę akcyjną, za pieniądze uzyskane z pierwszej emisji akcji zakupiono kopalnię węgla Józef w Zagłębiu Dąbrowskim. I tu nagle nastąpiło tąpnięcie, inwestycji odmówiono kredytu, nie dokonczono budowanej już fabryki i spółka – w którą Bobrzyński zainwestował wszystkie oszczędności – musiała ogłosić bankructwo, a zamknięta kopalnia Józef zamiast przynosić zyski, miała już wkrótce stać się pionierem w dziedzinie tzw. biedaszybów.

Fiasko inwestycji po części wiązało się z kryzysem finansowym na rynkach i dewaluacją pieniądza, sam Bobrzyński przypisywał porażkę ogólnemu „niewyrobieniu ekonomicznemu warstw do tego formalnie powołanych, które do zdań swych i roli nie dorosły wskutek długoletniej niewoli, skarłowacenia stanu średniego i zatury ducha inicjatywy”. W przypominanych niedawno pamiętnikach „Zwierciadło dawnego świata” (Kraków 2019) zaklinał się, że nie było „żadnego istotnego, logicznego powodu do upadku tak daleko już zaawansowanego dzieła”.

Nie zauważył najwyraźniej, że w gruncie rzeczy projekt zniszczyła konkurencja (głównie w postaci słynnej spółki Siła i Światło), nie odczytał właściwie ani zawołanych propozycji sprzedaży towarzystwa, ani wycofania się z niego znacznie bardziej koniunkturalnego Kwiatkowskiego. Nie posłuchał też żony, która miała złe przeczucia i błagała męża, żeby porzucił „młodzieńcze marzenia”. Zamiast tego zaangażował się w równie nowatorski, co nieudany projekt kolei elektrycznej łączącej Kraków z Katowicami. Kolejne fiasko przypłacił



Michał Bobrzyński, wybitny historyk, ojciec Jana Bobrzyńskiego FOT. NAC

załamaniami nerwowymi, a żona musiała zająć się gotowaniem obiadów dla sąsiadów i nauką języków obcych (potem zresztą otworzyła z sukcesem dwa sklepy z pościelą, udowadniając, że ma do interesów znacznie większą smykałkę niż mąż).

Perypetie biznesowe na styku sektora prywatnego i publicznego utwierdziły Bobrzyńskiego w poglądach wolnorynkowych, rzucił się więc w wir działalności publicznej, sprzyjał temu klimat lat 20. Zaangażował się w działalność Polskiego Zjednoczenia Gospodarczego, mającego na celu obronę przedsiębiorczości prywatnej przed etatyzmem i fiskalizmem. Zaangażował się, tak jak we wszystko, całym sobą. Ściągnął wybitne osobistości, m.in. Zygmunta Słomińskiego, prezydenta Warszawy, udzielał wywiadów i prowadził – jako wiceprezes Zjednoczenia – szeroko zakrojoną działalność informacyjną i promocyjną. Na niewiele się to zdało, w ramach kierownictwa niezbyt przecież licznej organizacji zaczęły się nieporozumienia i kłótnie, w efekcie pozostała ona w zawieszeniu, a sam Bobrzyński odszedł z niej, zawiedziony po raz kolejny, ale i tym razem przekonany, że „żadnej nie było przyczyny do tak dziwnego pokierowania sprawą”.

W międzyczasie sporo publikował, nie tylko już na tematy ekonomiczne, lecz także polityczne, przez chwilę był nawet redaktorem naczelnym dziennika „Dzień Polski”. Zamach majowy 1926 r. i wszystko, co po nim nastąpiło, dawały nadzieję na nowe otwarcie w polskiej polityce, także dla konserwatystów, których pierwsze lata niepodległości pozbawiły dawnych wpływów i inicjatywy. Flirt obozu piłsudczyńskiego z zachowawcami kiłwł w najlepsze, Piłsudski spotkał się z nimi w Nieświeżu („Marszałek Piłsudski podniósł przyłbicę” – jak pisał Stanisław Mackiewicz, jeden z inicjato-

rów rautu u Radziwiłłów), a wymiernym wyrazem tych procesów byli konserwatywni posłowie i senatorowie z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Konserwatyści Piłsudskiego

Ta fala porwała także Jana Bobrzyńskiego. Gdy centrala konserwatywnego Stronnictwa Prawicy Narodowej przenosiła się do Warszawy, pod skrzydła księcia Janusza Radziwiłła, organizatorem oddziału w stolicy był właśnie Bobrzyński. Jak przyznaje Sebastian Paczos, wykonał tu świetną robotę, stworzył dobrze działającą maszynę polityczną i chociaż sam nie znalazł się ostatecznie w Sejmie, to ówczesna pozycja polityczna konserwatystów była w znacznej mierze jego zasługą. Bobrzyński nie był jednak zadowolony, jego zdaniem konserwatywna tożsamość rozmywała się w bezideowym BBWR, z bliska obserwował wątpliwe kompromisy zachowawców, polityczną korupcję i brud sanacyjnej polityki.

Krytyczne napomnienia Bobrzyńskiego przyczyniały się do jego stopniowej izolacji w Stronnictwie. Istotniejsze decyzje zaczęły zapadać już bez niego, psuły się jego relacje z kierownictwem partii, w tym z księciem Radziwiłłem. W efekcie zrezygnował z partyjnych funkcji (był m.in. sekretarzem Rady Naczelnej) i skupił się na publicystyce, przejmując od SPN miesięcznik „Nasza Przyszłość”. I chociaż z nim także nie odniósł spektakularnych sukcesów (wręcz przeciwnie – łamy gazety są kroniką kolejnych porażek swojego redaktora naczelnego), to paradoksalnie właśnie ukazująca się w latach 1930–1939 „Nasza Przyszłość” stała się świadectwem wielkości i dojrzałości Jana Bobrzyńskiego.

Na łamach „Wolnej Trybuny Zachowawczej Myśli Państwowej” (tak brzmiał podtytuł) ukazywały się bowiem niezwykle ważne dla środowiska konserwatywnego – ale nie tylko – programowe artykuły konserwatystów. Tutaj publikowali, obok samego Bobrzyńskiego, Adam hr. Romer i Zygmunt Diehl, a także Władysław Studnicki i Marian Zdziechowski.

To na łamach „Naszej Przyszłości” przedstawiona została szeroko dyskutowana koncepcja tzw. bloku środkowoeuropejskiego, który miał powstać w oparciu o polsko-węgierską „żelazną belkę” i obejmować kraje rolnicze od Bałkanów do Bałtyku. Jan Bobrzyński tłumaczył: *[...] powstanie takiego regionalnego związku złączonego silnie poczuciem wspólnego niebezpieczeństwa, wspólnych potrzeb i konieczności wspólnej organizacji, sięgającego tak głęboko, jak tylko dopuszcza to postulat suwerenności poszczególnych kontrahentów, zabezpieczy nas i naszych przyjaciół na serio przed zaborczością potężnego zachodniego i wschodniego sąsiada.*

„Nasza Przyszłość” zyczliwie spoglądała też na koncepcje paneuropejskie Richarda Coudenhove’a-Kalergiego i postulowała zacieśnienie związku między przyszłym blokiem środkowoeuropejskim a Niemcami, wszystko w obliczu rosnącej potęgi zagrażających regionowi Sowietów.

Żaden z tych projektów nie został oczywiście zrealizowany. Nie udało się także „oddolna” perswazja związana z kanonizacją św. Jadwigi – Bobrzyński współpracował w tej sprawie blisko z kard. Aleksandrem Kakowskim, postrzegając wyniesienie na ołtarze królowej Polski i księżnej Litwy nie tylko w kategoriach religijnych, lecz także politycznych i europejskich. I w tym przypadku nie rozumiał, gdy się nie udało – zrzucił to na „księży-politykierów” i „endeków”.

Porażka była najwyraźniej wpisana w los Jana Bobrzyńskiego, choć kolejna utrata niepodległości była klęską nie tylko jego, lecz także całego pokolenia Polaków i wszystkich konserwatywnych publicystów. Stanisław Mackiewicz pisał w 1939 r. gorzko o tych, „którzy przekonać nie umieją”; o tym, jak ciężko jest człowiekowi „patrzeć na katastrofę, przed którą przestrzegał, która powinna być zwycięstwem, gdyby się jego plan wykonało”.

W trakcie okupacji niemieckiej Jan Bobrzyński współpracował z Radą Główną Opiekuńczą, ale i stamtąd odszedł,

nie dogadując się z kierującym nią Adamem Ronikierem.

A gdy założył konspiracyjny Związek Nowej Polski, mający kształcić nowe elity dla kraju, okazało się po jakimś czasie, że „rozmawiając ze sobą przez trzy kwartały i przeważnie godząc się na wszystko – nie rozumieliśmy się wcale” („Zwierciadło gasnącego świata”). Sebastian Paczos opisuje swojego bohatera, jak „siedząc samotnie w swoim gabinecie w ponurym nastroju, po raz kolejny zadawał sobie pytanie, czy ciąży na nim jakieś przekleństwo, obracając raz po raz w niwecz dojrzewające już owoce każdego jego wysiłku”.

Jakby tego było mało, podczas Powstania Warszawskiego została zniszczona kamienica przy ul. Żurawiej, gdzie mieszkali Bobrzyńscy, spłonęły listy, rękopisy oraz pamiętnik, który został później odtworzony. W obozie przesiedleńczym Bobrzyński miał wypadek, został poważnie ranny w głowę. Ostatecznie rodzinie udało się dostać do Krakowa, ale tam spotkała ich kolejna tragedia, syn Michał został aresztowany przez Niemców i zamordowany. Po zakończeniu działań wojennych zamieszkali u drugiego syna w Puławach.

W Polsce Ludowej byli przedmiotem szykan, mimo prób małego pozytywizmu (podjęli pracę w Państwowym Instytucie Nauk Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach). Wojna i kolejne niepowodzenia zmieniły Bobrzyńskiego, ale pozostał wierny swoim przekonaniom, przede wszystkim religijnym, co oczywiście nie ułatwiało mu życia w okresie sowieckiej dominacji. Zmarł 3 września 1951 r., do ostatnich dni – jak wspomina żona – pogodny i życzliwy ludziom.

Gasnący świat

Wydane niedawno pamiętniki „Zwierciadło gasnącego świata” (Bobrzyński myślał o ich edycji jeszcze za swego życia) dokumentują niewesołe życie Jana Bobrzyńskiego z aptekarską wręcz



pieczołowitością. Przez karty książki przewijają się dziesiątki osób, często o bardzo znanych nazwiskach, które towarzyszą gaśnięciu świata stańczyków, świata galicyjskich konserwatystów. I chociaż dominuje tam zaduma nad własnym losem i fatum, uzupełniana skrupulatnymi opisami zaistniałych okoliczności, to poznajemy też sposób myślenia Bobrzyńskiego, rozumiemy wybory, podziwiamy szlachetność bohatera. Pamiętniki są też okazją do przyjrzenia się z nieco innej perspektywy przedstawicielom elit II Rzeczypospolitej, których legenda czasem rozmięła się z prawdą. Bobrzyński wspominał księcia Radziwiłła:

Dziwna to była postać. Piękna postawa, szlachetne również rysy, wysokie wykształcenie, umiejętność spokojnej a wytwornej wymowy... Ale miał niestety dwie słabe strony, które z biegiem czasu wszystko popsuli: jedną tę, że był Radziwiłłem, a druga, że otaczano go wszędzie dymem iscie bizantyjskiego kadziadła... A w gruncie rzeczy człowiek słaby, wpływowy.

O innym księciu – Eustachym Sapieże:

Awanturczyz ten umysł przypominał żywo typ szlachcica z czasów liberum veto.

O środowisku „Buntu Młodych”:

Przeciwko komu i czemu buntował się „Bunt Młodych”? Dość wyraźnie przeciw „niezdarności” starszego pokolenia zachowawczego. Dopiero młodzi postawią Polskę na nogi jak się należy. Precz ze starym żelaziem! Dobrze, ale ten buńczuczny „Bunt” drukował się za pieniądze wyzębrywane u Radziwiłła. Pod tym względem nie ujawniali młodzięnczy z „Buntu” żadnych samodzielných ambicji.

I tak dalej, zazwyczaj w punkt.

Przypomniany przez Ośrodek Myśli Politycznej pamiętnik pozostaje interesującym świadectwem epoki i opisem niezwykłego życia. Żona Jana Bobrzyńskiego, Maria z Paygertów, wspominała, że był on zawsze pogodny i uśmiechnięty, choć „życie nie szczędziło mu ciosów i zawodów”. Po jego śmierci zaś napisała:

Był polskim obywatelem i obowiązek swój lojalnie spełnił dla dobra Ojczyzny, którą tak kochał, że głuchym był na wszelkie korzystne propozycje osobiste, które by go od niej odciągnąć miały. Widoki osobistej kariery dawno przekreślił, żył nadzieją lepszego jutra Ojczyzny i narodu.

„Bitwa pod Komarowem”, część tryptyku pędzla Jerzego Kossaka

FOT. EAST NEWS



Kalendarz / Najważniejsze wydarzenia w 100-lecie Bitwy Warszawskiej cz. II

Ów rok 1920



Maciej Rosalak

/ Był to dla Polski przełomowy czas walki o wszystko. Przede wszystkim o niezawisłość, kształt i szanse rozwoju wracającej do życia Rzeczypospolitej

W pierwszej części kalendarza („HDR” nr 83) omawialiśmy m.in. zaślubiny Polski z morzem, wyprawę kijowską Józefa Piłsudskiego oraz kontrofensywę sowiecką na południowym i północnym froncie. Skończyliśmy na 24 lipca – powołaniu

Rządu Jedności Narodowej Wincentego Witosa. Oto druga część kalendarza – z Bitwą Warszawską włącznie...

25 lipca do Warszawy przybyła misja sprzymierzonych, oburzonych na Sowieców odrzuceniem przez nich oferty Curzona. Stawili się: ambasador angielski w Berlinie Edgar Vincent d'Abernon, am-

basador francuski w Waszyngtonie Jean Jusserand, szef Sztabu Generalnego Rady Wojennej Ententy gen. Maxime Weygand (zostanie on doradcą szefa polskiego Sztabu Generalnego), angielski gen. Percy Radcliffe. Dostawy broni były blokowane przez Czechów i Niemców oraz prokomunistyczne zachodnie związki zawodowe, a wojsk nie przysłano w ogóle. Natomiast w szeregi nasze – tak jak wcześniej Amerykanie do lotnictwa – wstępowali tak szlachetni i waleczni Francuzi jak Charles de Gaulle, który w randze polskiego majora będzie walczył w grupie uderzeniowej znad Wieprza i zostanie odznaczony VM.

27 lipca biskupi polscy wystosowali prośbę o kanonizację Andrzeja Boboli do papieża Benedykta XV. Do prośby został dołączony list Naczelnika Państwa, który pisał m.in.: „Błagamy [...] by Wasza

Świątobliwość raczył zaliczyć w poczet świętych Błogosławionego Andrzeja Bobolę. Ufamy, że jako Patron Kresów Wschodnich, na których poniósł śmierć męczeńską, wyprosi nam u Boga, że Polska w dalszym ciągu będzie przedmurzem chrześcijaństwa na rubieżach wschodnich”.

Prośbę uwzględni 17 kwietnia 1938 r. papież Pius XI. W 1920 r. był on, wtedy jako abp Achille Ratti, nuncjuszem papieskim w Polsce, który niemal jako jedyny z zagranicznych posłów pozostał w Warszawie podczas bolszewickiego na nią ataku.

Dywersyjne komitety rewolucyjne powstały latem w Lublinie, Hrubieszowie, Zamościu, Chełmie, Krasnymstawie, Puławach i Kraśniku. Masowe aresztowania działaczy komunistycznych błyskawicznie przerwały jednak zdradzieckie działania Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

30 lipca w Białymstoku zainstalował się Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Julianem Marchlewskim, Feliksem Dzierżyńskim i Feliksem Konem na czele, który miał objąć rządy w „polskiej republice sowieckiej” po zdobyciu Warszawy przez Armię Czerwoną. Poruszał się specjalnym pociągami za frontem na jeźdźców dokonujących barbarzyńskich czynów i bestialskich zbrodni.

Sierpień

Szanse odwrócenia losu dostrzegli Józef Piłsudski oraz gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski (szef Sztabu Generalnego) mimo uznawania przez wielu wojskowych i polityków sytuacji za tragiczną. Oto na froncie południowym Budionny doznał klęski pod Brodami i Beresteczkiem, tracąc chwilowo zdolność rozwiązania większej ofensywy, a i cały front pod dowództwem Jegorowa i Stalina jako politruka bardziej był zainteresowany zdobyciem Lwowa niż wykonaniem rozkazów Lwa Trockiego (ludowego komisarza wojennego) i Sergieja Kamieniewa (głównodowodzącego armii), którzy chcieli cały wysiłek wojsk skierować jak najszybciej na Warszawę. Rysowała się więc możliwość oderwania wystarczających sił z frontu południowego, aby skutecznie uderzyć na północ w słabo chronione Grupą Mozyrską skrzydło frontu Tuchaczewskiego.

Ten zaś gros swych sił (liczących łącznie cztery armie w składzie 22 dywizji i korpusu jazdy) pchnął na północ od Narwi, aby – tak jak Paskiewicz w 1831 r. – pokonać Wisłę i zająć Warszawę od zachodu. Wedle dyrektywy z 10 sierpnia 4. Armia i Korpus Gaja miały zająć Toruń oraz Grudziądz i do 15 sierpnia sforsować Wisłę. Armie 15. i 3. miały przekroczyć ją bliżej od Warszawy, a 16. Armia – uderzać wprost na nią.

6 sierpnia Wódz Naczelny wydał słynny rozkaz nr 8358/III o uderzeniu wojskiem zabranym z frontu południowego na północ, aby zwinąć zapędzone daleko na zachód armie Tuchaczewskiego. Plan uwzględniał kontratak 5. Armii z rejonu Modlina i znad Wkry na wschód, aby związać walką czerwonarmijnę dywizję na północnym Mazowszu; oraz odparcie uderzenia na prawobrzeżną Warszawę. Generał Rozwadowski uzupełnił i rozpiął w szczegółach ten plan, a gen. Weygand – mimo pewnych obiekcji – go poparł.

Na początku drugiej dekady sierpnia ordre de bataille polskich sił wyglądał następująco.

Frontem północnym dowodził gen. Józef Haller, mający pod komendą dwie armie. 5. Armia pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego znajdowała się w rejonie Modlina i miała bronić przepraw przez Wisłę oraz osłaniać stolicę od północy. 1. Armia gen. Franciszka Latinika broniła przedmościa warszawskiego i na nią spadło pierwsze, potężne uderzenie bolszewickie.

6 sierpnia utworzono front środkowy, którego dowództwo objął sam Marszałek z trzema armiami. 4. Armia gen. Leonarda Skierskiego miała nacierać trzema dywizjami (14., 16., 21.) z rejonu Dębina i Kocka na siły lewego skrzydła wojsk Tuchaczewskiego atakujące Warszawę. Grupa uderzeniowa 1. i 3. Dywizji Piechoty Legionów gen. Edwarda Śmigłego-Rydza miała takie samo zadanie dalej na wschód – aż po rejon Włodawy. Natomiast 3. Armia gen. Zygmunta Zielińskiego ubezpieczała strategiczne uderzenie od południowego wschodu, w pasie od Kocka aż do Brodów, a więc do ofensywy z południa na północ wydzielono zaledwie pięć dywizji – te od Skierskiego i Śmigłego-Rydza.

Front południowy gen. Wacława Iwaszkiewicza miał nadal bronić Małopolski od Brodów do granicy rumuńskiej i wiązać siły południowo-zachodniego frontu bolszewickiego złożone z dwóch armii strzeleckich i jednej konnej. Generał Iwaszkiewicz miał zaś pod rozkazami 6. Armii gen. Władysława Jędrzejewskiego oraz oddziały Ukraińskiej Republiki Ludowej gen. Mychajła Omelianowicza-Pawlenki.

12 sierpnia 80 wagonów amunicji wjechało na dworzec w Skierniewicach. W ciągu dwóch dni 22 mln sztuk naboju karabinowych i tysiące pocisków artyleryjskich dotarły na naszą pierwszą linię. W ostatniej chwili. Miesięczne opóźnienie spowodowała Czechosłowacja, zakazując przepuszczania do Polski jakichkolwiek transportów z wojskowym zaopatrzeniem. Jeden z transportów węgierskich Czesi zarekwirowali nawet w Koszycach. Składy z Francji jechały przez Austrię, Węgry, Rumunię i Lwów, podobnie jak kolejowe transporty z Budapesztu.

Łącznie w 1920 r. dotarło z Węgier 61 mln sztuk pocisków karabinowych, 30 tys. karabinów typu Mauser, części do nich, kilkadziesiąt tysięcy pocisków artyleryjskich. Jeszcze większa liczba amunicji i sztuk broni pochodziła z Francji, powierzona Węgom do przewozu. Węgry chciały wesprzeć Polskę także swoimi jednostkami wojskowymi po uzyskaniu akceptacji ententy, a także po uzbrojeniu ich przez Francję. Paryż godził się, ale pod warunkiem przepuszczenia oddziałów węgierskich przez terytorium czechosłowackie. I na to zgody od Czechów nie uzyskano.

13 sierpnia polski wywiad radiowy przechwycił depeszę sztabu Tuchaczewskiego nakazującą rozpoczęcie natarcia na Warszawę. Zadecydowało to o przyspieszeniu polskich kontruderzeń. Wywiad radiowy przyczynił się w dużym stopniu do zwycięstwa polskiego w tej wojnie. Nasi specjaliści złamali kody szyfrów wroga i wiedzieli z wyprzedzeniem o jego kolejnych krokach. Największa polska radiostacja przez 36 godzin zakłócała pracę bolszewickich radiostacji, emitując bez przerwy tekst Nowego Testamentu. I tak



■ kropki i kreski Ewangelii w alfabecie Morse'a polskiej radiostacji nakładały się na meldunki i rozkazy bolszewickie. Symboliczny moment...

13 sierpnia zagrzały pod Warszawą bolszewickie działa, a na polskie okopy runęła z impetem piechota wroga. Siły bolszewickie liczyły tu 47 tys. żołnierzy, ok. 200 dział i 700 ciężkich karabinów maszynowych. 1. Armia liczyła wtedy 39 tys. żołnierzy, 259 dział i 450 ckm. Dwie dywizje sowieckie w ciężkich walkach przełamały obronę 11. Dywizji płk. Bolesława Jazwińskiego i wdarły się do Radzymina. O tę miejscowość toczyły się najbardziej krwawe trzydniowe boje, a Radzymin kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk.

14 sierpnia na front pod Radzyminem trafił ks. Ignacy Skorupka, kapelan 1. Batalionu 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej, złożonego z warszawskiej młodzieży gimnazjalnej i studenckiej. Kapłan zginął pod Łossowem trafiony w głowę pociskiem ekrazytowym zapewne w chwili, kiedy udzielał śmiertelnie rannemu żołnierzowi ostatniego namaszczenia.

Od 14 sierpnia – z wypreżeniem jednego dnia wobec planu – rozwijało się natarcie 5. Armii gen. Sikorskiego znad Wkry i z fortów Modlina – zrazu powolnie, ale 16 sierpnia już z istotnym efektem w postaci zdobycia Nasielska i atakowania dalej na Serock i Płońsk.

15 sierpnia natarł pod stolicą nasz odwód – 10. Dywizja Piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego oraz 1. Dywizja Litewsko-Białoruska gen. Jana Rządkowskiego.

16 sierpnia rozpoczęło się uderzenie znad Wieprza, także o dzień szybciej, niż planowano. Miało ono decydujące znaczenie dla zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej i w całej wojnie. Już 16 sierpnia zaczęły pierzchać kompletnie zaskoczone oddziały Grupy Mozyrskiej oraz 16. Armii. Zajęto Włodawę, a 17 sierpnia Białą Podlaską i Siedlcę. Imponujące były marsze 1. i 3. dywizji legionowych – od 35 i 25 km pierwszego dnia, do ponad 50 km

po tygodniu, gdy marsze miały charakter pościgu.

17 sierpnia oddziały 14. Dywizji Piechoty z armii gen. Skierskiego spotkały się z żołnierzami spod Warszawy, których do udanego kontrataku wysłał gen. Rozwadowski. Bolszewicy, którzy w ciągu paru dni mieli zająć polską stolicę, uciekali spod niej w popłochu. Znajdująca się na północnym Mazowszu większość sił Tuchaczewskiego nie wiedziała o tym, co dzieje się na południe od nich. Otóż zagon 203. Pułku Ułanów zdobył 15 sierpnia w Ciechanowie radiostację 4. Armii bolszewickiej, jedynego wtedy połączenia ze sztabem frontu. Armie 4., 15. i 3. nadal nacierały więc w kierunku Wisły, gdy podstawę frontu zachodniego rozbijali Polacy.

18 sierpnia wczesnym popołudniem na Płock natarł Gaj-chan mający 3,5 tys. Kozaków, kilkanaście dział i kilkadziesiąt ckm. Siły polskie były dwukrotnie słabsze i z początku uległy panice. Dzicy jeźdźcy zamordowali nawet stu ciężko rannych w szpitalu, a kobiety – nawet pielęgniarki – gwałcili i kaleczyli. Jednak obrońcy, obok których stanęli mieszkańcy i liczni harcerze, stawili dość szybko skuteczny opór. Nocą nadeszła odsiecz kilku kompanii z artylerią i jeszcze przed południem 19 sierpnia odepchnięto napastników od Płocka. Rychło Gaj-chan musiał wraz ze swymi mołojcami ratować się ucieczką do Prus Wschodnich.

Marszałek odznaczy mężny Płock Krzyżem Walecznych i tym samym odznaczeniem uhonorował kilkudziesięciu jego obrońców, w tym 11-letniego harcerza Tadeusza Jeziorowskiego.

Po 10 dniach Bitwy Warszawskiej bolszewicki atak zamienił się w paniczny odwrót, a następnie w sromotną klęskę. Rozbite zostały armie 3., 15. i 16. oraz

Grupa Mozyrska. Ich straty wyniosły 25 tys. zabitych i 66 tys. wziętych do niewoli. Liczne czerwone sztandary, 231 dział i 1023 ckm-y dostały się w polskie ręce. 25 sierpnia wojska polskie doszły do granicy Prus Wschodnich, gdzie schroniło się 45 tys. czerwonoarmistów (Niemcy ich rozbroili, ale natychmiast wypuścili, więc ci wrócili – przez nieprzyjazną nam Litwę – do szeregów walczących z nami do jesieni). W kontrofensywie polskie oddziały doszły do Bugu, zdobywając m.in. 22 sierpnia Łomżę i Białystok, a 1 września Suwałki.

Nocą z 19 na 20 sierpnia wybuchło drugie powstanie śląskie poprzedzone ogłoszeniem strajku generalnego przez Wojciecha Korfańtego. Hasło do zrywu zbrojnego rzucił dowódca górnośląskiej Polskiej Organizacji Wojskowej Alfons Zgrzebniok. Zniszczenie sieci łączności udaremniło kontrakcję niemiecką i przedwczesną interwencję wojska alianckiego. W ciągu kilku dni powstańcy zdobyli liczne miejscowości Górnego Śląska (bez największych miast, gdzie stacjonowali alianci) oraz niemal całe powiaty pszczyński i rybnicki. 25 sierpnia zakończono powstanie z sukcesem, jakim było rozwiązanie przez sojuszników niemieckiej Sicherheitspolizei, terroryzującej dotąd Polaków.

Od 16 sierpnia Lwów bronił się przed armią Budionnego, który dopiero 20 sierpnia ruszył na Warszawę, wykonując ponawiany wielokrotnie rozkaz Kamieniewa. 21 sierpnia oddziały polskie ze Lwowa kontratakowały.

17 sierpnia pod Zadwórzem doszło do bitwy nazwanej Polskimi Termopilami. 330 obrońców Lwowa pod dowództwem kpt. Bolesława Zajączkowskiego 11 godzin stawiało zacięty opór otaczającej ich 10-krotnie liczniejszej hordzie 1. Armii Konnej. Polacy kontratakiem zdobyli stację kolejową, zadali wrogowi znaczne straty. Nie poddali się nawet wtedy, kiedy zabrakło amunicji. Walczyli bagnietami i kolbami do końca. Ciężko rannych bolszewicy dobijali, a zabitym odcinali głowy, ręce i nogi. Ranni oficerowie, wraz z kpt. Zajączkowskim, ostatnimi nabojami odbierali sobie życie. Ich ofiara pomogła zorganizować obronę Lwowa.

Zginął wówczas m.in. 19-letni Konstanty Zarugiewicz, uczeń szkoły realnej, obrońca Lwowa z 1918 r., kawaler krzyży VM i KW. Jego matka, Jadwiga Zarugiewi-



czowa, w 1925 r. wybierzcie jedną z trzech trumien, w której niezidentyfikowane szczątki spoczywają do dziś w Grobie Nieznanego Żołnierza.

Od 29 do 31 sierpnia Zamościa broniło przed 1. Armią Konną – obok polskiego 31. Pułku Strzelców Kaniowskich kpt. Mikołaja Bołtucia – kilkuset żołnierzy ukraińskiej 6. Siczowej Dywizji Strzelców płk. Marka Bezruczki. Pozwoliło to Wojsku Polskiemu na koncentrację i zmuszenie Budionnego do stoczenia bitwy pod Komarowem.

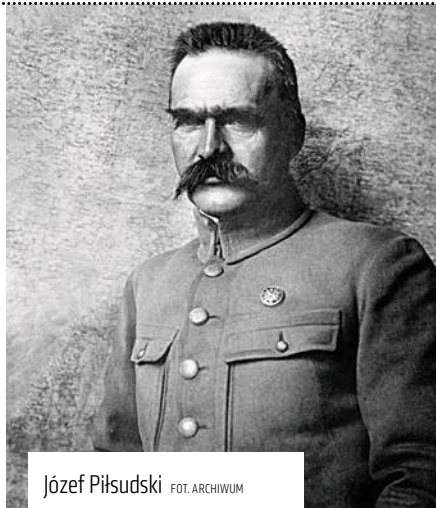
30–31 sierpnia pod Komarowem w największej kawalerskiej bitwie od XIX w. 1. Armię Konną zwyciężyła 1. Dywizja Jazdy płk. Juliusza Rómmela. Liczyła ona ok. 1,5 tys. żołnierzy – przy czterokrotnie liczniejszych Kozakach. Boje były zażarte i krwawe. O ostatecznym zwycięstwie zadecydowała szarża rtm. Kornela Krzeczunowicza z 8. Pułkiem Ułanów, która w galopie rozgromiła szeregi przeciwnika, zdobywając m.in. samochód Budionnego. Dwie dywizje Konarmii straciły dwie trzecie swego stanu osobowego, a strona polska – jedną piątą (ok. 300 poległych i rannych).

Wrzesień

10 września plan wielkiej operacji nad Niemnem Marszałek Piłsudski przedstawił w Brześciu nad Bugiem generałom: Śmigłemu-Rydzowi – dowódcy 2. Armii; i Skierskiemu – dowódcy 4. Armii, mającym w szeregach 67 tys. żołnierzy. Celem było doszczętne pobicie odtworzonego, obecnie 73-tysięcznego frontu Tuchaczewskiego, który obiecywał Leninowi zwycięstwo nad Niemnem i wygranie całej wojny.

Z początkiem drugiej dekady września kontrofensywa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej doprowadziła do odzyskania Kowla i Włodzimierza Wołyńskiego (13 września), Łucka i Równego (16 września), Husiatyna, Trembowli i Brodów (18 września), Dubna i Ołyk (19 września). 20 września Polacy osiągnęli polsko-ukraińską granicę na Zbruczu.

16 września bitwa po Dytiatynie zmieniła się w kolejne Polskie Termopile. Cały dzień polski batalion bronił się tu przed dwiema brygadami sowieckiej jazdy, co pozwoliło macierzystej 8. Dywizji Piechoty na zamknięcie linii frontu południowego i kontrofensywę podczas ope-



Józef Piłsudski FOT. ARCHIWUM

racji niemeńskiej. Szczególnie heroiczna była obrona wzgórza przez baterię kpt. Adama Zająca, której obsługa broniła się aż do śmierci.

20 września rozpoczęła się bitwa nad Niemnem. Przebiegła ona – na ogół – zgodnie z planem Naczelnego Dowódcy. Trzy dywizje 2. Armii nacierały na Grodno i zdobywały przeprawy mostowe na Niemnie – tam, gdzie głównego ataku spodziewał się Tuchaczewski, gromadząc gros swych sił. Natomiast Grupa Manewrowa 2. Armii (dwie dywizje i dwie brygady kawalerii) dokonała przez Litwę głębokiego obejścia wroga i niespodziewanego uderzenia w decydującym momencie bitwy na północnym skrzydle. 4. Armia zamykała sowieckie siły od zachodu i południa. Mimo kłopotów pod Wołkowyskiem wykonała główne zadanie – zdobywając do końca września Pińsk i Baranowicze, odcięła sowiecki front zachodni od południa. Odwrót wojsk Tuchaczewskiego znów zamienił się w ucieczkę i definitywnie przestały one zagrażać Polsce. W nasze ręce dostało się 40 tys. jeńców i 140 dział.

Październik

7 października „zbuntowały się” oddziały gen. Lucjana Żeligowskiego i ruszyły na Wilno, które zajęły dwa dni później. Akcja była uzgodniona z Piłsudskim, który nie pogodził się z pozostawieniem miasta w rękach Litwy. W efekcie zostanie utworzona Litwa Środkowa, której przyłączenie do Polski Sejm ogłosił w 1922 r.

15 października polskie wojska wkroczyły do Mińska, co dawało możliwość przyłączenia Mińszczyzny – zamieszkałej przez licznych Polaków – do Rzeczypospolitej.

18 października weszły w życie preliminarza pokojowe, podpisane sześć dni wcześniej w Rydze. Na froncie polsko-bolszewickim zapanował rozejm, potrzebny zwycięskiej na polu walki, ale wyczerpanej Polsce. Tym samym rezygnowaliśmy – wbrew układowi polsko-ukraińskiemu zawartemu przed wyprawą kijowską – ze wspierania Ukraińskiej Republiki Ludowej, co potwierdził traktat pokojowy podpisany następnego roku między Polską a Rosją Sowiecką i „Ukraińską Socjalistyczną Republiką Rad”. Polska delegacja zrezygnowała wtedy również z Mińszczyzny.

21 października Armia URL została wyparta na terytorium Polski i tu internowana. Szansa na stworzenie wtedy niepodległej Ukrainy została stracona.

Listopad

14 listopada – wręczenie buławy marszałkowskiej Józefowi Piłsudskiemu na pl. Zamkowym w Warszawie. W asyście wojska, generalicji, władz państwowych i kościelnych buławę przekazał najmłodszy żołnierz odznaczony Virtuti Militari.

15 listopada oficjalnie powstało Wolne Miasto Gdańsk, 9 listopada poprzedziło ten fakt zawarcie konwencji polsko-gdańskiej, a 17 listopada uchwalono jego konstytucję.

16–17 listopada na forum Sejmu dyskutowano nad projektem autonomii żydowskiej zgłoszonym w poprzednim roku przez posła Izaaka Grünbauma. Projekt – godzący w integralność Rzeczypospolitej – został z oburzeniem odrzucony.

22 listopada Lwów został odznaczony Orderem Virtuti Militari – jako pierwsze i jedyne miasto odznaczone VM przez Marszałka. Stało się to w drugą rocznicę oswobodzenia grodu z rąk Ukraińców.

Grudzień

17 grudnia ustawę o nadaniu ziemi żołnierzom Wojska Polskiego przyjął Sejm. Rozporządzenie rządowe wraz z przepisami wykonawczymi ogłoszono w marcu następnego roku. Pozwoliło to przydzielać na przystępnych warunkach spore działki ziemi państwowej zasłużonym żołnierzom. Tak powstała – zwłaszcza na kresach – grupa osadników wojskowych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masłoń

/ Był nieprzejeżdżanym obrońcą Polski i polskości. Nigdy nie szedł na kompromisy. Gombrowicza i Miłosza nie znosił

Prezesował założonemu z własnej inicjatywy Związkowi Opieki nad Zwierzętami, kochał psy (choć nie znosił kotów) i z własnej kieszeni wypłacał pieniądze tym dorożkarzom, którzy nie smagali koni batem. Był też wiceprezesem Klubu Sportowego „Cracovia” i w „Liście do Krakowa”, rozpoczynając w 1953 r. swą obecność na falach Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, powiedział do słuchaczy w kraju, ale przede wszystkim do tych spod Wawelu: „A gdy mi przyjdzie świat ten rzucić, mam być pochowany nie gdzie indziej, tylko na polu karnym Cracovii. Po śmierci nawet będę bronił bramki”.

W reportażu z Moskwy, gdzie podejmował go w swoim mieszkaniu polski pisarz i komunista Bruno Jasieński, autor powieści „Palę Paryż” napisał: „Mam ochotę powiedzieć: »Towarzyszu Jasieński, palicie Paryż, ale nie palicie w piecu«”.

Kiedy indziej stwierdził jak najsłuszniej: „Alkohol używany w miarę nie szkodzi nawet w największych ilościach”.

O autorze tych słów, Zygmuncie Nowakowskim, w roku 2012 tak pisała dr Diana Poskuta-Włodek: „Był tym dla Krakowa, czym jest trębacz dla wieży mariackiej. On także co godzinę ogłaszał światu, że Kraków jest najpiękniejszy i najważniejszy, że to miasto trzeba podziwiać, warto poznawać i wypada kochać. Kraków był dla niego centrum świata. Pół życia obnażał słabości tego miasta. Drugie pół wzmacniał pamięć o nim”. A prof. Andrzej Nowak stwierdzał, że kto nie zna „Przylądka dobrej nadziei”, ten nie może tytułować się prawdziwym krakusem. Swoją drogą, tę jedyną wielokrotnie wznawianą po wojnie powieść Zygmunta Nowakowskiego-

1891–1963

/ Sylwetka

Zygmunta Nowakowskiego

Kapłan, a nie błazen



Zygmunt Nowakowski
w atelier Kazimierza
Sichulskiego FOT. NAC

go Mateusz Matyszkowicz nazwał – chyba jednak z pewną dozą przesady – „jedną z najlepszych książek o dzieciństwie, jakie napisano”.

W każdym razie hańbą dla Krakowa jest to, że nie uczczono w nim należycie pamięci autora „Przylądka dobrej nadziei” (1931) i „Rubikonu” (1935). Tak jakby ten gród miał podobnych Nowakowskiemu arcykrakusów na kopy! Należą mu się – jak psu buda! – ulica, plac czy choćby skwer na Plantach, a także – wydane nakładem Wydawnictwa Literackiego – „Dzieła zbiorowe” czy „Dzieła emigracyjne”.

Gustaw i Konrad

Zygmunt Nowakowski przybrał nazwisko po matce, bo naprawdę nazywał się Tempka. Jego ojciec, Błażej Tempka, urzędnik Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, zmarł, gdy chłopiec miał pięć lat – w roku 1896. Był, jak go syn wspominał, „góralem beskidzkim”. O 40 lat przeżyła go żona Helena, pochodząca z lwowskiej rodziny Nowakowskich. Była kobietą wykształconą, jedną z pierwszych studiujących na Uniwersytecie Jagiellońskim, po śmierci męża starała się utrzymać dom z dawanych korepetycji. A poza tym była szlachcianką, co podkreślała jej matka, spolonizowana Francuzka, w związku córki z Tempką dopatrująca się mezaliansu. To u tej babci brał Zygmunt Nowakowski pierwsze lekcje patriotyzmu, gdyż starsza pani nie cierpiała czarno-złoty barw Habsburgów, za to uwielbiała biało-czerwone.

Zygmunt Nowakowski miał trzech braci i dwie siostry. O siostrach mało wiemy, jeśli zaś chodzi o braci, to najstarszy z nich, Marian, lekarz zginął na Syberii podczas rewolucji (odznaczony po śmierci Krzyżem Walecznych). Był kilkanaście lat starszy od Zygmunta („Gdy ja byłem w pierwszej gimnazjalnej, on już promował się na doktora”, najmłodszego w rodzinie, bo o sześć lat starszy od niego był Tadeusz, profesor UJ, znany hematolog, zmarły w 1974 r., a o dwa lata – Władysław, prawnik, poseł



na Sejm, polityk Stronnictwa Pracy, który zginął w 1942 r. w obozie w Auschwitz.

Uczył się Zygmunt w Gimnazjum Świętego Jacka, a następnie w Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego. Naukę szkolną skończył w 1909 r., podejmując studia polonistyczne i finalizując je – jak na mieszkańca dawnego Krakowa przystało – doktoratem (!) obronionym w kwietniu 1920 r. (praca „Józef Narzyski i komedia społeczna” pisana u prof. Ignacego Chrzanowskiego). Przez ostatnie lata gimnazjum i pierwszy okres studencki działały w ruchu socjalistycznym, brał udział w licznych akcjach protestacyjnych i strajkach akademickich, co potem wspominał z humorem, ale i z niejakim rozrzwiniem, retorycznie pytając: „Kiedyż być socjalistą, jeśli nie za młodu! Hej!”.

Na scenie Teatru Miejskiego im. Juliusza Słowackiego debiutuje w wyjątkowej atmosferze budzenia się Polski do niepodległości – 20 października 1918 r. w roli Konrada w „Wyzwoleniu” Stanisława Wyspiańskiego (w 1932 r. swoje teatralne początki przywoła w powieści „Start Edmunda Sulimy”). Mimo niesprzyjających raczej warunków zewnętrznych (wydatny, kluchowaty nos) występować będzie w głównych rolach wielkiego repertuaru. Zagra m.in. Gustawa-Konrada w „Dziadach” Mickiewicza i Don Fernanda w „Księżu Niezłomnym” Calderona – Słowackiego, Hrabiego Henryka w „Nie-boskiej komedii” Krasińskiego, Poetę i Dziennikarza w „Weselu” Wyspiańskiego, a w pamięci widzów zapisze się także rolami charakterystycznymi, takimi jak Cyrano de Bergerac w sztuce Rostanda czy Tartuffe w „Świątoszku” Moliere.

Nowakowski nie tylko grał na scenie, lecz także reżyserował, a i pisał dla teatru. Kilka scen wystawiło jego komedię „Tajemniczy pan” z 1924 r., nieco gorzej przyjęto o dwa lata późniejszy „Puchar wędrowny”, a napisana po kolejnych dwu latach „Kabała” nie doczekała się realizacji teatralnej. Jesienią 1926 r. został jednak Nowakowski dyrektorem Teatru im. Słowackiego i stanowisko to piastował, z powodzeniem, przez trzy sezony dopóty, dopóki nie zmniejszono

teatrowi, i to dość drastycznie, subwencji, a już wcześniej nie brakowało świeżo upieczonemu dyrektorowi konfliktów z radą miejską. Zrezygnował więc ze swego stanowiska i całkowicie poświęcił się pracy pisarskiej. I tu szybko odniósł sukces – jako felietonista, dzięki cotygodniowym tekstom ogłaszanym od 1930 r. w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”.

Klasyk felietonu

O tym, jak stał się najbardziej wziętym felietonistą II Rzeczypospolitej, tak pisał: „Było to w Taorminie na wiosnę, na wiosnę sycylijską. Pamiętam, w niedzielne popołudnie patrzyłem z balkonu na ogród i na Etnę. Nagle w ciszy urwała się cytryna i spadła na trawę, głuchy jęk wydając. Rzekłem wtedy do siebie: »Cytryna spadła z drzewa i stłukła się na kwaśne jabłko«. Spodobały mi się te słowa, powtórzyłem więc całe okrugłe zdanie, a równocześnie ze wszystkich kościołów odezwał się głos dzwonów”.

Podobno za te pierwsze felietony płacono mu po 20 zł od sztuki. Następnie, już bezpośrednio z właścicielem koncertu prasowego IKC Marianem Dąbrowskim, wynegocjował sumę pięć razy wyższą – całe 100 zł, by skończyło się ponoć aż na 800 zł za cotygodniowy felieton, kwocie gigantycznej. W 2000 r. „Przekrój” wyliczał, że za 10 felietonów mógł sobie kupić chevroleta, montowaną u Lilpopa, teścia Iwaszkiewicza. Samochodu jednak, zdaje się, sobie nie kupił, postawił za to w Krakowie imponujący, modernistyczny dom.

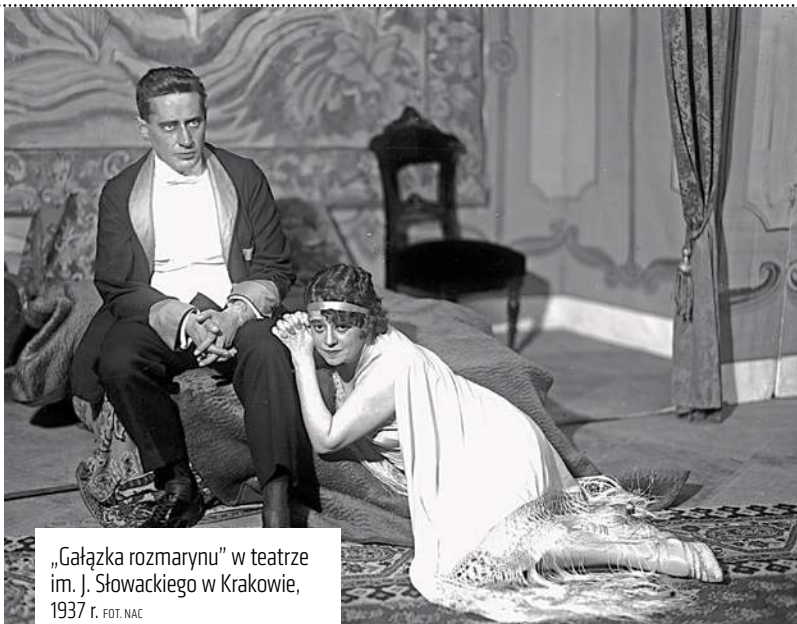
Zebrał te swoje felietony w siedem tomów, cieszących się ogromną popularnością. Nadawał im znakomite tytuły, m.in. „Kucharz doskonały”, „Stawiam bańki!...”, „Z mojej pralni”. Kolejne dwa tomy powstały po jego podróżach – w 1933 r. do Niemiec stających się właśnie hitlerowskimi i rok później do Rosji sowieckiej. Nawiasem mówiąc, pierwszy z nich – „Niemcy a la minute...” – został w 2014 r. wznowiony, dzięki staraniom i w opracowaniu prof. Tomasza Szaroty, z tym że pod zmienionym tytułem „Za zamkniętymi drzwiami”.

Błyskawicznie został Nowakowski uznany klasykiem gatunku. Stanisław Cat-Mackiewicz orzekł: „Nowakowski po śmierci starego Czesława Jankowskiego stał się mistrzem felietonu na całą Polskę”. Profesor Stanisław Nicieja pisał ■

■ po latach, że porównywany był z „Boyem” i Prusem. Swoją drogą, Nowakowski Prusa nie cenił i głośno się dziwił: „O jakich głupstwach on pisze! Cóż za ciasnota! Jaka naiwność! Jak wąski horyzont! I temi »kronikami« delektowała się cała Warszawa!”. Słomskiego znów poklepywał lekceważąco: „To człowiek dowcipny, ale całkowicie pozbawiony wykształcenia”. Gdy Stefan Wiechecki (Wiech) chciał wydrukować swoje teksty u Jakuba Przeworskiego, usłyszał: „Felietonów niżej Zygmunta Nowakowskiego nie wydajemy”.

Sukces „Gałązki rozmarynu”

Cofnijmy się nieco, do lat wojny (pierwszej!), w której Nowakowski przywdział „szary strzelca strój”. Służył w randze chorążego, a następnie podporucznika, był na froncie, ale wkrótce pracował już w biurze prasowym Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego w Piotrkowie. W 1917 r. opublikował w „Czasie” autobiograficzny „Wymarsz”, a w lutym 1918 r. został internowany przez władze austriackie – do kwietnia, gdy powrócił do Krakowa i do teatru. A doświadczenia legionowe przydały mu się w trakcie pisania swojego sztandarowego utworu – „Gałązki rozmarynu” (premiera w roku 1937), przeboju teatralnego zarówno w II Rzeczypospolitej, jak i w końcuce... PRL. Widowisko to miało znaczący podtytuł: „5 obrazów z życia plutonu strzelców I Brygady Józefa Piłsudskiego” i zwracało uwagę wyrazistą fabułą, scenami komediowymi i wykorzystaniem pieśni oraz piosenek legionowych. W Teatrze Polskim w Warszawie „Gałązkę...” w reżyserii Aleksandra Węgiełki zagrano 157 razy. „Gałązka rozmarynu” wpisowała się w kult Marszałka, którego wysoko cenił autor, podobnie jak ostro krytykował jego sanacyjnych następców, zbliżając się w ostatnich latach przedwo-



„Gałązka rozmarynu” w teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, 1937 r. FOT. NAC

jennych do Fortu Morges, a personalnie – do gen. Władysława Sikorskiego.

W 1935 r. otrzymał, wraz z Anielą Gruszecką-Nitschową, nagrodę literacką miasta Krakowa, a dwa lata później Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, którego jednak nie przyjął, a to ze względu na zarzut postawiony przez znanego adwokata Hoffmoka-Ostrowskiego, że w „Gałązce rozmarynu” znalazły się sceny identyczne jak fragmenty jego szerzej nieznanego i niedrukowanej sztuki „Czyn”. Tak czy inaczej był to zarzut o plagiat i Nowakowski poczuł się urażony, choć jego sztuka grana była w tym czasie bez przerwy.

W styczniu 1939 r., gdy wydrukował w IKC felieton o tym, że władze miejskie, chcąc ukryć to, że przybyła do Krakowa grupa posłów i senatorów, znajduje się „pod wpływem”, zamknęły wejście na dworzec kolejowy, doprowadzając podróżnych do szewskiej pasji, redakcja zmuszona została do zamieszczenia obraźliwego dla Nowakowskiego tekstu, na który nie mógł odpowiedzieć. Bardzo był z tego powodu rozżalony, ale po latach głośno będzie wychwalał wolność słowa w przedwojennej Polsce.

Po wybuchu wojny w 1939 r. Nowakowski, wraz z Krakowskim Dowódcą Okręgu, znalazł się we Lwowie (Kraków ostatni raz widział w nocy z 3 na 4 września), skąd po wejściu Sowietów przedostał się na Węgry, a stamtąd do Francji. Z ramienia pierwszej Rady Narodowej, której został członkiem, a na prawdę chyba dzięki przewodniczącemu Rady – Ignacemu Janowi Paderewskiemu, na początku 1940 r. wyjechał do Stanów

Zjednoczonych i Kanady z misją propagandową. Od marca firmował, wydawane wspólnie z Mieczysławem Grydzewskim „Wiadomości Polskie”. 14 lipca pismo to ukazywało się już w Londynie, mieście, w którym Nowakowski mieszkać już będzie do śmierci, nigdy nie odwiedzając Polski.

Stanie się pierwszoplanową postacią „polskiego Londynu”. O ile jednak w pierwszym okresie zajmował stanowisko prorrządowe, o tyle sytuacja diametralnie się

zmieniła po podpisaniu 30 lipca 1941 r. porozumienia Sikorski-Majski. Niepotulna Rada Narodowa została niebawem rozwiązana, a Nowakowski wraz z całą redakcją „Wiadomości” zwalczał odtąd politykę polskiego rządu, szczególnie jego politykę wschodnią. Jeśli zaś chodzi o jego osobiste stosunki z premierem, to wspominał, że z początkiem 1943 r. „cenzura brytyjska zakazała nam pisać o wschodnich granicach Rzeczypospolitej. Pisząc »nam«, myślę o wszystkich pismach i wszystkich dziennikarzach polskich. [...] Zaniekpokojony tym w najwyższym stopniu, poszedłem z kolegami do ówczesnego premiera rządu polskiego i zarazem wodza naczelnego. Przyjął nas w otoczeniu dość licznej świty, pośród której było dwóch ministrów. Gdy powiedziałem, co nam leży na sercu, premier nie okazał żadnego zainteresowania dla tej sprawy, albo też udał, że to go nie obchodzi. Doszło między nim a mną do gwałtownej, burzliwej albo nawet dzikiej sceny, po której obaj rozchorowaliśmy się z irytacji. Widziałem go wtedy po raz ostatni”.

Stanisław Cat-Mackiewicz pisał o Nowakowskim: „Z Sikorskim się pokłócił oficjalnie i publicznie mu naurągał, a prof. Kota traktował jak psa”. Jednak złe stosunki z „górami” – na Mikołajczyku Nowakowski nie zostawiał już choćby jednej suchej nitki – odbijały się na kontdycji „Wiadomości Polskich”. Do jesieni 1941 r. otrzymywały one subwencję państwową, później egzystowało dzięki różnego rodzaju funduszom prywatnym, 2 maja 1943 r. artykuł Zygmunta Nowa-

kowskiego „Castrum doloris” o zbrodni katyńskiej, Anglicy puścili wprawdzie, ale z białymi plamami, wreszcie po innym artykule tego samego autora „O drucie »Niel«” (6 lutego 1944 r.), w którym domagał się on, by Polska tym samym słowem rzuconym w twarz Hitlerowi w 1939 r. odpowiedziała brytyjskim sojusznikom, niepozwalającym Polakom nawet wymieniać nazw „Lwów i Wilno” – „pismo zostało zamknięte przez czynniki brytyjskie, dla dogodzenia czynnikom rosyjskim, a nie bez życzliwego współudziału czynników polskich”. Tak całą sprawę spuentował pisarz, który z czasem nazwie się, nieco autoironicznie, „Emigrejtanem”.

Tę samą linię prezentować będzie Nowakowski na łamach wskrzeszonych w 1946 r. przez Grydzewskiego „Wiadomościach”, jak również w wydawanych broszurach politycznych. Konsekwentnie opowiadać się będzie za pozostaniem na emigracji, choć po 1956 r. wielu, bliskich mu nawet ludzi, włącznie z bratem, namawiało go do powrotu. Wrogi był mu system narzucony Polsce przez Sowietów, nie mógł pogodzić się z utratą Kresów, żył wspomnieniami i tęsknotą za dawnym Krakowem. Ubolewał, że nawał prac dziennikarskich (od 1952 do 1956 r. i potem po roku 1961 wygłaszał przed mikrofonami RWE swoje gawędy „Wieczory pod dębem”) odrywa go od poważniejszych prac literackich. To w felietonach politycznych właśnie wyżywał się, w takim piśmiennictwie, którego w zasadzie w II Rzeczypospolitej, w s w o j e j P o l s c e, unikał. A Jan Lechoń w liście do Mieczysława Grydzewskiego z 1949 r. pisał: „wspaniałe artykuły Nowakowskiego. Niektóre z nich, jak np. »Sztandar«, są arcydziełami publicystyki, godnymi Mochnackiego”.

Kapłan, a nie błazen

Od 1954 r. był na wpół ociemniały. Przeszedł dwie operacje katarakty, w późniejszych latach przewlekłe chorował, co pociągało za sobą niemałe koszty. W 1962 r. jego finanse – choć zarabiał, jak oceniano, najlepiej spośród piszących na emigracji – znalazły się w tak opłakanym stanie, że Marian Hemar zorganizował zbiórkę pod wymownym hasłem

„Oblegorek dla Nowakowskiego”. Dworu za zebrane 1,5 tys. funtów z pewnością nie dałoby się kupić, ale była to poważna kwota umożliwiająca odpowiednie prowadzenie kuracji.

Na emigracji pamiętano o nim, okazało obchodząc jego jubileusze w latach 1955 i 1963. On pozostawał nieprzejednany czy może raczej nieprzemakalny... Po tym jak w 1957 r. odbyło się w Londynie pierwsze spotkanie Polaków z Czesławem Miłoszem, odkąd ten przyszły noblista pozostał na Zachodzie – Zygmunt Nowakowski stwierdził, że lokal, w którym odbył się wieczór Miłosza należałoby... wykadzić. (Autor „Traktatu moralnego” zemścił się, nie wymieniając nawet nazwiska Nowakowskiego w swojej „The History of Polish Literature”). W 1955 r. w plebiscycie na „najulubieńszego” pisarza emigracji Nowakowski był trzeci, po braciach Mackiewiczach – Stanisławie i Józefie. A jego postawa budzi szacunek, także wtedy, gdy w marcu 1963 r. oprostuje nagrodę „Wiadomości” dla Witolda Gombrowicza za jego „Dziennik 1957–1961”.

Swoje votum separatum tak uzasadni: „I »Dziennik«, i Trans-Atlantyk» czytałem z największym oburzeniem jako Polak i jako emigrant. Przecież Gombrowicz to jest człowiek, który dzisiaj [...] pisze o Polsce z pogardą! Człowiek, który pisze, że Polak, aby zostać pełnym człowiekiem powinien się wyzłocić z polskości! Ja tego nie mogę słuchać! Ja jestem starym człowiekiem, który stoi na progu tamtego świata. I wszystko, co mam, co kocham – to Polska”. „Potężnym oczekiwaniom starał się sprostać – dopowiada Paweł Chojnacki w swojej wydanej ostatnio, świetnej, pełnej pasji książce »Kiedy Zygmunt Nowakowski wróci wreszcie do Krakowa?!« – Także przeciwstawiając się przerostowi eksperymentów – kulturalnych, intelektualnych i politycznych. To powód złej prasy, jaką zdobył w paryskiej »Kulturze«; osądów niewolniczo powielanych w innej epoce i z innych powodów przez jej krajowych admiratorów. Powoli jego podejście do dziedzictwa staje się – o paradoksie! – prekursorskie. Kapłan, a nie błazen”.

Zmarł Zygmunt Nowakowski 4 października 1963 r. Pięć lat później – zgodnie z jego testamentem – urna z prochami przewieziona została z cmentarza Fortune Green (Hampstead) do Polski i złożona na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Niedawno ukazał się ostatni tom dzienników Michała Römera, pasjonujące źródło do historii stosunków polsko-litewskich, a właściwie konfliktu między Litwinami a Polakami w pierwszej połowie XX w. Römer, wychowany w kulturze polskiej (swoje dzienniki pisał po polsku), stał się rzecznikiem państwowości litewskiej i uznał się za Litwina. Teraz otrzymujemy dodatek do tych dzienników – intymne i zarazem bardzo wzruszające zapiski Römera o jego niezwykłym romansie, a właściwie wielkiej miłości, z tragicznym zakończeniem.

Michał Römer, jako 30-letni prawnik, obdarzony dużym temperamentem erotycznym, był klientem domów publicznych w Wilnie. W jednym z nich spotkał w 1911 r. młodszą od siebie o 10 lat Annę Wolberg, Łotyszkę. Debiutowała dopiero w zawodzie. Była ładna i niegłupia. Römerowi zrobiło się jej ogromnie żal. „Dziś jeszcze może uratować by się ją dało – notował w intymnym dzienniku – bo jest wrażliwa, brzydzi się ekscesami rozpusty, cierpi. Jest jeszcze młoda, świeża, zdrowa. Ale z dnia na dzień w tej atmosferze zmęczenia fizycznego, hańby, pijaństwa, które uprawia dla uśmierzenia cierpień moralnych, będzie się coraz głębiej staczała w kałuże zepsucia”.

Römer wyciągnął Annę z lupanaru, nie bez oporów ze strony właścicielki tego przybytku, załatwił jej pracę. I bardzo szybko zakochał się w niej na zabój. Uczył Annę polskiego, historii, geografii, obycia towarzyskiego.

Była to miłość, którą musiał ukrywać, nawet mimo tego, że – oczywiście – nikomu nie powiedział o przeszłości Anny. Był wówczas żonaty, choć chyba już wtedy znajdował się w separacji. W oczach rodziny i znajomych Anna była kochanką Römera, co bolało Michała, a ją upokarzało. Bała się też spotkać na wileńskich ulicach swoich byłych klientów.

„Gdy zyskam zupełną swobodę materialną po śmierci Rodziców czy w inny sposób – pisał – wówczas bez względu na konsekwencje stosunek mój małżeński z Anną ujawnię i dam mu sankcję całkowitą. Jest to nie tylko mój dług wdzięczności i uczciwości dla Anny, ale i nakaz wewnętrzny miłości mojej”.

Był opętany miłością. Czuł, że spala się w niej jak zapałka. Stwierdził, że Aninka, jak ją pieszczotliwie nazywał, jest dla nie-



Michał Römer z żoną FOT. ARCHIWUM KONSTANCJI RÖMERKIE

Książka miesiąca / Wyciągnięta z lupanaru

Wileńska love story

go wszystkim, „wcieleniem całej prawdy życiowej, koroną bytu mego”.

Spotykali się w hotelowych pokojach, ale planowali wspólnie zamieszkać i mieć dziecko. Anna Wolberg zachorowała jednak na gruźlicę, kuracje nie przynosiły, niestety, efektu. Siedział godzinami przy jej łóżku, z bólem patrząc na coraz bardziej wychudzone ciało. Anna umarła latem 1914 r. Był kompletnie załamany. „Umarłem razem z jej śmiercią” – stwierdził, nazywając się sierotą. I przyrzekał sobie, że do końca życia będzie ubierał się na czarno, na znak żałoby po Anince. Trzyletni związek miłosny podsumowywał: „Oddawaliśmy się sobie całkowicie, bez zastrzeżeń, realizując w naszym

związku całych siebie. Byliśmy oboje hojni do końca, nie szczedząc nic z siebie, nie licząc sił i zasobów, nie targując się i nie układając. Była to miłość. Dzika i pierwotna jak głód, wielka i idealna, subtelna i szlachetna”. ©©

Tomasz Stańczyk



MICHAŁ RÖMER
„MIŁOŚĆ Z LUPANARU”

OŚRODEK KARTA

System PESEL w PRL

Pierwsze spojrzenie na okładkę tej książki nie zachęca do jej lektury. Siermiężna tekturka z niezbyt atrakcyjnymi ideogramami i liternictwem w stylu lat 80. przypomina chudobę najgorszego czasu w ruchu wydawniczym PRL i ukazujących się wtedy biuletynów branżowych. Ale zawartość publikacji może naprawdę zainteresować, a jednocześnie dobrze koresponduje z charakterem opakowania. Jest to bowiem historia wysiłków naszych pierwszych specjalistów w dziedzinie elektronicznej techniki obliczeniowej i budowy komputerów służących nauce i przemysłowi.

Byli to ludzie wybitnie zdolni, obdarzeni wyobraźnią oraz pracowici i ofiarni. Cóż, efekty ich działania – niezależnie nawet od wsparcia władz, ale przy skromnym zapleczu technicznym i całym niewydajnym systemie ekonomicznym – były niewspółmierne z potencjałem intelektualnym i chęciami uczonych oraz inżynierów.

Prace nad maszynami obliczeniowymi, rozpoczęte już w 1948 r., zaowocowały pierwszym takim urządzeniem 10 lat później. Tworzono bazę do produkcji kolejnych, kupowano pojedyncze egzemplarze na Zachodzie, ale potrzeby przetwarzania danych w administracji państwowej

i poszczególnych resortach przemysłowych były ciągle większe od podaży. Zawodziły nadzieje władz na wyprzedzenie w tej dziedzinie Zachodu. Autor pisze: „Jednak u progu lat 70. na 25 tys. maszyn działających w USA około 20 tys. pracowało dla potrzeb zarządzania, ekonomiki i administracji. W Polsce mieliśmy wówczas... 118 komputerów, z tego go przetwarzania danych służyło zaledwie 12”.

Nic dziwnego, że ambitne plany lat 70., a także 80., dotyczące wdrożenia systemu ewidencji PESEL nie mogły jakoś doczekać się realizacji. I to mimo narastającego zainteresowania Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie zdawano sobie coraz bardziej sprawę, jak skutecznym orężem kontroli społeczeństwa może dysponować. Autor zadaje pytanie: Informacja czy inwigilacja? Odpowiedź naprawdę może zainteresować... ©© (m.r.)



BARTŁOMIEJ KŁUSKA
„PESEL W PRL”
KSIĘŻY MŁYN

Ku pokrzepieniu serc

Wydane po raz pierwszy w 1904 r. w Poznaniu, jeszcze pod zaborem niemieckim, „Dzieje Polski” nie przestają zachwycać. Przepięknie ilustrowane niemal tysiąc stron historii Polski zyskało właśnie nowe życie, dzięki reprintowi Wydania II z 1909 r.. Bogate ilustracje, oryginalny krój pisma z epoki i ten język, który jest dziś nie do podrobienia – obok takiej książki nie da się przejść obojętnie.

Widać, że wydawcy chcieli dzięki „Dziejom Polski” wlać otuchę w serca czytelników, którzy marzyli o odrodze-

niu swego państwa. Świetnie pokazuje to ostatnie zdanie tej książki: „Naród polski ufając w pierwszej mierze tylko własnej pracy i własnej sile, ufa jeszcze tylko chyba Bogu, w którego rękach przyszłość... ©© (p.w.)



JULIAN BACZYŃSKI (OPRAC.)
„DZIEJE POLSKI”
GRAF_JKA



JEREMY DRONFIELD
„O CHŁOPCU, KTÓRY POSZEDŁ ZA TATĄ DO AUSCHWITZ”
ZNAK

PRZEŻYLI SZEŚĆ LAT W KACETACH

Po aresztowaniu w Wiedniu droga Gustava – ojca, oraz Fritza – syna wiodła przez pięć obozów koncentracyjnych. Z Buchenwaldu trafili do Auschwitz, następnie – w marszach śmierci – do Mauthausen, Mittelbau-Dora i na koniec do Bergen-Belsen. Przeżyli razem od 1939 do 1945 r., co nie udało się innym z żydowskich więźniów kacetów, i doczekali wyzwolenia. Dzięki wzajemnej miłości. ©© (m.r.)



MAREK A. KOPROWSKI
„ŁUNY NA WSCHODZIE. KRWAWA WOJNA Z OUN-UPA O LUBELSZCZYZNĘ”
REPLIKA

LUBELSZCZYZNA W OGNIU

Książka jest opisem krwawego polsko-ukraińskiego konfliktu na Lubelszczyźnie w latach 1942–1946. Wynikał on, zdaniem autora, z tego, że OUN-UPA traktowała dużą część Lubelszczyzny jako swoje kresy zachodnie. Ale i Chruszczow proponował Stalinowi włączenie jej do Związku Sowieckiego. Niestety, i po polskiej stronie, i po ukraińskiej ofiarami walk padła ludność cywilna. ©© (t.s.)



GRZEGORZ GOŁĘBIOWSKI
„PŁOCK 1920”
BELLONA

HEROICZNA OBRONA PŁOCKA

Wojna 1920 r. kojarzy się przede wszystkim z Bitwą Warszawską. To ona stała się symbolem największej polskiej wiktoryi XX w. A przecież to była cała wojna! Obfitująca w inne bitwy, potyczki i starcia. Jedno z nich rozegrało się w Płocku, heroicznie bronionym przez wojsko i ludność. Grzegorz Gołębiowski w ciekawy sposób opisał tę obronę, za którą Płock został odznaczony przez Józefa Piłsudskiego Krzyżem Walecznych. ©© (p.z.)



Obraz Stanisława Witkiewicza „Ranny powstaniec” (1881)

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Źle zagojona rana...

Polskim dzieciom Walery Przyborowski kojarzył się z takimi sympatycznymi książeczkami historycznymi jak „Szwedzi w Warszawie”, „Szwoleżer Stach” czy „W namiotach wezyra”. Chłopcy, którzy jeszcze je w dzieciństwie czytali, są dziś na ogół emerytami i mocno może ich zdziwić ogromny tom, w grubych okładkach, bogato wydany dziś na zasadzie reprintu, o naszym powstaniu lat 1863–1864. Jest to prawdziwe dzieło historyczne (z przypisami!), oparte na licznych wiarygodnych źródłach (w tym na archiwum Rządu Narodowego od marca 1864 r.) i z rzetelnie odnoszącymi się do nich wnioskami.

Pracę historyka wzbogaca talent pisarza. Jakże bogate są tu charakterystyki postaci i bieg opisywanych zdarzeń! Oto naczelnik miasta, czyli Warszawy,

w którego ręku skupiało się tyle realnej władzy wykonawczej, ile nie posiadał nawet rząd powstańczy i dyktator. Jemu podlegali np. sztyltnicy wykonujący wyroki. A „najszlachetniejszy” Romuald Traugutt, „poetyczny polityk serca”, powierzył to stanowisko Aleksandrowi Waszkowskiemu – „dzikiemu, szorstkiemu, mającemu w sobie dużo ambicji i dużo szalonej odwagi i dużo brawury. Tam, gdzie nikt nie chciał iść, Waszkowski poszedł i zrobił...”. Przetrwał do końca 1864 r.

Zasadniczo narracja obejmuje okres wiosny i lata 1864 r., ale często – by wyjaśnić opisywane wydarzenia czy postawy bohaterów – cofa się, a także opisuje następstwa; przede



wszystkim cierpienia tysięcy zesłańców i katorżników oraz ich powstanie za Bajkałem latem 1866 r. Opisuje też inne represje carskie, pospieszne – aby wbić klin między wieś a dwór – uwłaszczenie chłopów, jałowe wysiłki dyplomatyczne przedstawicieli Rządu Narodowego na Zachodzie. Mało znany jest „monstrualny proces”, jaki pruskie władze wytoczyły 150 polskim patriotom wspierającym powstanie, czyli „zdradę stanu przeciw całości i spokojności państwa pruskiego”.

Niejednokrotnie autora opuszcza chłodny obiektywizm i – jak sam pisze – „krwawi mu się źle zagojona rana serca”. Sam bowiem „brał czynny udział w ruchu 1863/4 roku... i wielokrotnie boleść kazała mu maczać pióro w żółci i gniewie”. Dzieło Przyborowskiego staje się jednak przez to jeszcze bardziej wiarygodne, jeszcze bardziej sugestywne. Obok najlepszej, mężnej i ofiarnej części naszego społeczeństwa obywatelskiego widzimy bowiem – mnożące się w miarę narastania klęsk tropionych po lasach oddziałów – rozprężenie, brak subordynacji czy nawet zwykłe tchórzostwo. Smętne są opisy ostatnich walk, „ostatnich chwil” powstania... „ponurych scen tej krwawej tragedii dziejowej...”. Powstanie „konało ciężko

i bezpowrotnie”. Pociesza jednak siebie i czytelników: „tylko tem, że szereg tych okropnych ciosów, jakie otrzymała Polska, nauczył ją jednego, to jest rozumu politycznego”. © **Maciej Rosalak**

WALERY PRZYBOROWSKI
„OSTATNIE CHWILE
POWSTANIA
STYCZNIOWEGO”

WYDAWNICTWO GRAF JKA
(WEDŁUG WYDANIA Z 1887 R.
W POZNANIU)

Nasze dzieje według biskupa Marcina

Marcin Kromer (1512–1589) był synem mieszczanina z Biecha i szlachcianki, wykształconym w Akademii Karkowskiej, a później na uczelniach Padwy i Bolonii. Wyświęcony w wieku 30 lat, został sekretarzem arcybiskupa krakowskiego, a następnie króla i kanclerza. Podejmował się misji dyplomatycznych, a na koniec życia związał się z diecezją warmińską, zostając jej koadiutorem, a 10 lat przed śmiercią – biskupem. Napisał kilka rozpraw po łacinie i po polsku (m.in. poświęconych muzyce), a w 1555 r. wydał w Bazylei

„De origine rebus gestis Polonorum libri XXX” („O pochodzeniu i czynach Polaków ksiąg trzydzieści”), przetłumaczone na polski w 1611 r. To dzieło właśnie się ukazało w monumentalnym reprimie, ciesząc oko na półce i umysł podczas lektury. Jeśli chodzi o pochodzenie Polaków i w ogóle Słowian, to wzbogacił jeszcze baśniowy przekaz Wincentego Kadłubka, natomiast panowanie kolejnych władców czasów historycznych starał się przedstawić wiernie, wyraźnie korzystając z archiwów kancelarii królewskiej oraz kronik kościelnych. I tak od Mieczy-

sława (Mieszka) i Bolesława Chabrego (Chrobrego) dochodzimy do Aleksandra Jagiellończyka, triumfu nad Tatarami pod Klekiem i Zygmunta przyjeżdżającego na pogrzeb starszego brata. © **Maciej Rosalak**



„KRONIKA POLSKA
MARCINA KROMERA,
BISKUPA WARMIŃSKIEGO”

GRAF JKA

Lemkowie w matni

Książki o tematyce łemkowskiej rzadko goszczą na półkach księgarskich. Z tym większym zadowoleniem należy powitać fakt pojawienia się pracy Anny Wilk. Przedstawia ona dzieje polityczne społeczności łemkowskiej w okresie pomiędzy zakończeniem pierwszej wojny światowej a rozpoczęciem w 1989 r. upadku systemu komunistycznego w Polsce. Najciekawsze fragmenty pracy dotyczą czasów niemieckiej okupacji. Władze Generalnego Gubernatorstwa, uznając Ukraińców za jedną z najbardziej lojalnych wobec III Rzeszy grup narodowych, przyznały im szereg koncesji umożliwiających rozwój życia kulturalno-społecznego na terenach GG. W 1940 r. w Krakowie za zgodą władz niemieckich utworzono Ukraiński Komitet Centralny. Na jego czele stanął znany etnograf, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Wołodymyr Kubijowicz.

Z inspiracji UCK terytorium Łemkowszczyzny objęto ukraiinizacją. Nim się ona rozwinęła, w listopadzie 1939 r. pomiędzy III Rzeszą a ZSRS podpisano został układ o wymianie ludności. Do wyjazdu do ZSRS zgłosiło się aż 20 tys. osób, ale ostatecznie na krok ten zdecydowało się ok. 5 tys. Łemków. Zmniejszenie liczby chętnych spowodowały informacje uchodźców, którzy uciekli z terenów objętych sowiecką okupacją. Na Łemkowszczyźnie powstały trzy Ukraińskie Komitety Pomocy – UDK (terenowe placówki UCK) w Szlachtowej, Jaśle i Krynicy. Ponadto utworzono kilka rejonowych delegatur UDK w Baligródzie, Gorlicach, Krośnie, Dukli, Dynowie, Rymanowie i Kołomyżach. Centrum ukraiinizacyjnym na zachodniej Łemkowszczyźnie stała się Krynica. Słabość kadrowa środowisk nacjonalistycznych na tamtym terenie powodowała, że funkcje kierownicze w ukraińskich instytucjach obejmowali uchodźcy z Galicji Wschodniej. Przewodniczącym UDK w Krynicy został pochodzący z Lwowa były oficer Legionu Strzelców Siczowych Osyp Nawroćkyj.

Chcąc wzmocnić opcję ukraińską wśród Łemków w Krynicy,

w 1940 r. otwarto seminarium nauczycielskie, w którym kształciła się łemkowska młodzież. Równolegle na terenach Łemkowszczyzny pojawiła się policja ukraińska. Posterunki policyjne powstały w Krośnie, Tyliczu, Krynicy, Gorlicach i Brzozowie oraz Uściu Ruskim, choć jej funkcjonariusze nie zawsze cieszyli się sympatią miejscowej ludności. Z biegiem czasu działania ukraiinizacyjne zaczęły przynosić efekty. W powiecie nowosądeckim zadeklarowało chęć otrzymania kenkart z literą U (Ukrainer) 4086 osób, wśród których Łemkowie stanowili 20 proc. Tych, którzy nie identyfikowali się z ukraińskością i wybrali tzw. optykę rusofilską, poddawano represjom, wywożąc na roboty przymusowe lub osadzając w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Kiedy zakończyła się druga wojna, Łemkowie stanęli przed wyborem pozostania na terenie komunistycznej Polski albo wyjazdu do ZSRS. Działające na Łemkowszczyźnie podziemie ukraińskie spod znaku OUN-UPA, choć słabe organizacyjnie (słabość dotyczyła głównie zachodniej Łemkowszczyzny), rozpoczęło kampanię propagandową wzywającą do pozostania na miejscu. W jednej z ulotek pisano: „Dzieje się nam krzywda. Nasz 45-milionowy naród jest krzywdzony. Nie pozwalają nam żyć na naszych ziemiach... Nie wychodźcie z ziemi Waszych Przodków, oni te ziemie ochraniaли przed wiekami. A Wy chcecie opuścić te ziemie? Nigdzie nie szukajcie szczęścia i zostańcie tutaj. Lepiej jest zginąć, niż rzucić swoją ziemię rodziną...”. Ostatecznie pobyt Łemków na Łemkowszczyźnie zakończyły przymusowe deportacje do ZSRS oraz przesiedlenia przeprowadzone w ramach akcji „Wisła”. ©©

Arkadiusz Karbowiak



ANNA WILK
„LEMKOWIE.
MIĘDZY INTEGRACJĄ
A ROZPROSZENIEM
(1918-1989)”

WYDAWNICTWO NERITON

Pasjonująco o II RP

Předwojenna Polska kojarzy się m.in. z transatlantykem „Batory”, drapaczem chmur Prudential w Warszawie (odzyskał niedawno swój przedwojenny wygląd) i lukstorbęda, która ustanowiła niepobity chyba dotąd rekord szybkości przejazdu między Krakowem a Zakopanem.

Andrzej Fedorowicz zebrał w swojej książce aż sto artefaktów z lat międzywojennej Polski, świadczących o jej polityce, gospodarce, osiągnięciach, kulturze, także masowej, obyczajach, życiu codziennym. Wokół nich autor rozwija pasjonującą opowieść o czasach i ludziach. Nie tworzy ona, oczywiście, całościowego obrazu epoki, bo nie taki był jej cel, ale daje wiele pojęcia o tym, jaka była II Rzeczpospolita, jak żyli ludzie w tamtym czasie, czym się zajmowali i pasjonowali, czego używali.

Bilet wstępu na salę sądową to punkt wyjścia do opowieści o słynnym procesie Gorgonowej, plakat reklamujący polskiego fiata 508 – o początkach motoryzacji w Polsce. Książeczka z przygodami Koziołka Matołka to z kolei rzecz o początkach polskiego komiksu. Nie zabrakło sławki, która ucywilizowała nasz kraj pod względem higienicznym, co jest zasługą ministra i premiera Sławoja Składkowskiego. Symbolami osiągnięć II Rzeczypospolitej są motocykl Sokół i bombowiec PZL Łoś. Artefakty zamieszczone w książce przywołują też wiele znanych postaci z tamtego czasu, m.in. mistrzynię olimpijską Halinę Konopacką, lotników Franciszka Żwirkę i Stanisława Wigurę, Miss Polski Zofię Batycką. Godło Polski zaprojektował Zygmunt Kamiński. Czy był to plagiat? Warto sięgnąć po tę książkę! ©©

(t.s.)



ANDRZEJ FEDOROWICZ
„DRUGA RZECZPOSPOLITA
W 100 PRZEDMIOTACH”

FRONDA



Braniewo na starej pocztówce FOT. ARCHIWUM

Korytarz polsko-litewski / Braniewo, które oddziela Kaliningrad od Białorusi

Między lądem a morzem



Jacek Bartosiak

8 sierpnia 2019 r. wczesnym rankiem stałem w Braniewie na ul. Zielonej pod numerem 25, patrząc na poniemiecki, typowy dla Warmii budynek mieszkalny. Na tyłach domu był piękny sad, w którym większość drzew z pewnością pamiętała przedwojenną nazwę miasta – Braunsberg. Miasteczko o typowo przygranicznym charakterze wydawało się raczej sennie, życie toczyło się tu co najwyżej powoli.

Dawniej był to ważny port rzeczny i całkiem istotny port morski – prężne

miasto hanzeatyckie. W latach 1466–1772 miasto znajdowało się w obrębie Korony Królestwa Polskiego. Wróciło do Polski po drugiej wojnie światowej, w wyniku ustaleń jałtańsko-poczdamskich.

Zamierzałem tego dnia zobaczyć Zalew Wiślaný, przez który niegdyś wywożono i przywożono rzeką Pasłęką towary. Było to w czasach, gdy na Bałtyku panowała Hanza, a Braniewo znane było światu jako Brunsberg. Hanza stanowiła związek miast kupieckich Europy Północnej od czasów średniowiecza do początków ery nowożytnej. Miasta należące do związku popierały się w handlu i polityce monetarnej, w efekcie niemal monopolizując handel oraz ruch kapitałowy i ludzki na Bałtyku. Przekładało się to na ogromną siłę polityczną

Hanzy. Obecnie niedaleko ujścia Pasłęki do Zalewu Wiślanego przebiega granica polsko-rosyjska, która przecina dawne Prusy Wschodnie na część polską i rosyjską (przed rokiem 1991 sowiecką), bo oddziela Rzeczpospolitą Polską od rosyjskiego obwodu kaliningradzkiego.

Dzisiaj, w dobie rywalizacji wielkich mocarstw w Eurazji i odczuwalnej na pomoście bałtycko-czarnomorskim polityki Rosji mającej na celu osłabienie NATO oraz pozbawienie Stanów Zjednoczonych ich wpływów politycznych w Europie, obwód kaliningradzki stanowi dla Polski poważne wyzwanie strategiczne, ponieważ stwarza tzw. bastion antydystryktowy A2AD. Lapidarnie rzecz ujmując, rosyjskie systemy rażenia w obwodzie zagrażają morskim, powietrznym i lądowym liniom komunikacyjnym sojuszu

północnoatlantyckiego do państw bałtyckich. Zagrożają one także swobodnej komunikacji przez często wspomniany w mediach przesmyk suwalski, który – „wciśnięty” pomiędzy obwód kaliningradzki a sojuszniczą wobec Rosji Białoruś – łączy Polskę z Litwą. Dlatego przesmyk suwalski, który jest ważnym punktem ciężkości w wojnie nowej generacji (wojnie hybrydowej) pomiędzy Rosją a NATO, to symbol nowych czasów na wschodniej flance NATO.

Nierozwiązanie sprawy obwodu kaliningradzkiego po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1991 r. odbija się, jak widać, czkawką i będzie nie lada problemem w razie konieczności planowania jakichkolwiek operacji wojska polskiego oraz sił sojuszniczych w sytuacji wojny z Rosją o państwa bałtyckie. Już teraz samo istnienie obwodu stanowi problem związany z tzw. sygnalizacją strategiczną oraz wpływa na dyslokację sił zbrojnych RP i naszych sojuszników. Gdyby nie było obwodu kaliningradzkiego, Polska nie graniczyłaby z Rosją, a to całkowicie zmieniałoby nasze kalkulacje strategiczne wobec państw bałtyckich oraz nasze dyslokacje wojskowe.

Nie sądzę, by mieszkańcy Braniewa, z którymi rozmawiałem tego sierpniowego ranka, zdawali sobie sprawę z tego, co oznacza położenie ich miasta 10 km od granicy rosyjskiej i 63 km najkrótszą drogą od samego Kaliningradu. W Braniewie przy ul. Sikorskiego 41 (jadąc od strony Elbląga i Fromborka) stacjonuje 9. Brygada Kawalerii Pancernej im. króla Stefana Batorego. Jej żołnierze jako pierwsi służyli w polskim kontyngencie w łotewskiej miejscowości Ādaži położonej na przedmieściach Rygi. Jest to zupełnie niedaleko (jadąc w kierunku Dzwiny), bo tylko 23 km, od Kircholmu, gdzie w 1605 r. hetman polny litewski Jan Karol Chodkiewicz pobił armię szwedzką, utrzymując na Dzwynie strategiczną linię obrony dawnej Rzeczypospolitej wraz z jej inflanckim przedpoiem i chroniąc Rzeczpospolitą przed penetracją ze strony Szwedów. Wojska Rzeczypospolitej asekurowały także od strony lądu bufor Inflant przed siłami rosyjskimi, chcącymi się przebić do Bałtyku, a jednocześnie zwalczały desanty szwedzkie z morza, na którym panowała wówczas flota naszych północnych sąsiadów. Dzisiaj polscy czołgiści z kontyngentu w Ādaži stanowią pierwszą linię obro-



ny na głównej osi potencjalnego ataku rosyjskiego przecinającego trzy państwa bałtyckie w kierunku na Rygę przez południową część Estonii.

Częstych zmian geopolitycznych świadkiem jest Braniewo. Zgodnie z tym, co mówią mieszkańcy, w 1968 r. (również w sierpniu) przez to graniczne miasteczko przewalały się sowieckie kolumny zmechanizowane idące na Czechosłowację. Kto by pomyślał 50 lat temu, że za pół wieku polscy żołnierze z jednostki braniewskiej będą elementem polskiej projekcji siły do postsowieckiej Łotwy (która w międzyczasie stała się członkiem NATO) mającej na celu odstraszanie ewentualnych zaczepnych akcji Rosji?! Trzeba przyznać, że na pomoście bałtycko-czarnomorskim historia kołem się toczy.

Za życia jednego człowieka mogą się nawet kilka razy wydarzyć rzeczy fundamentalnie zmieniające jego otoczenie polityczno-ekonomiczne i tym samym w sposób oczywisty jego osobiste losy. Zmiany geopolityczne są czasem tak szybkie, że nauczyliśmy się do nich w tym regionie świata równie szybko przyzwyczajać. Przecież układ geopolityczny sprzed – dajmy na to – 40 lat wydaje się nam już czystą abstrakcją!

Kolej wciąż chodzi z Braniewa do dawnego Königsbergu, dziś już Kaliningradu, a w mieście znajduje się piękny, choć zaniedbany poniemiecki dworzec. Od niedawna przez stację Braniewo przejeżdżają również tranzytem z Chin pociągi towarowe w ramach chińskiej inicjatywy Pasa i Szlaku czy – jak kto woli – Nowego Jedwabnego Szlaku. Jadą w kierunku na Olsztyn i dalej w głąb Polski, a następnie prawdopodobnie do Niemiec i zachodniej Europy. W ten sposób Chińczycy powoli budują system lądowego skomunikowania wschodniej Azji z Europą i oparty na

tym skomunikowaniu nowy porządek handlowy.

W sierpniu 2019 r. Braniewo sprawiło wrażenie sennego. Jednakże życie tutaj nie może być nudne, choćby z powodu zmian, które to miasto dotyczą i będą dotyczyć. Jego losy przypominają karuzelę. Pomijając okresy wcześniejsze, w samym XX w. najpierw obie Rzesze Niemieckie i dwie wojny światowe, z których druga zdruzgotała doszczętnie tkankę miejską Braniewa. Potem napływ ludności polskiej i smutna, zamknięta granica polsko-sowiecka. Następnie, od końca XX w., granica niepodległej Rzeczypospolitej. Wraz z nadejściem XXI w. granica sojuszu północnoatlantyckiego rozciągającego się od Kalifornii aż do pól i lasów na północny wschód od Braniewa. Jednocześnie kraniec Unii Europejskiej i bariera między zupełnie różnymi projektami politycznymi: zachodnim i rosyjskim. Pod nosem wojsk rosyjskich i w pobliżu rosyjskiego bastionu antydo-
stępowego.

Jeśli rywalizacja amerykańsko-chińska spowoduje dalsze odwracanie procesu globalizacji, a do tego będzie przybierała na sile, to Braniewo może się stać miastem granicznym między częścią świata skupioną wokół potęgi USA a światem mas lądowych Eurazji rozciągających się od Szanghaju do rosyjskiego Kaliningradu i białoruskiego Brześcia nad Bugiem. Świat ten będzie podporządkowany potędze gospodarczej i politycznej Chin, w których polu grawitacji polityczno-ekonomicznej znajdują się wówczas zapewne zarówno Rosja, jak i Białoruś. Oba rywalizujące ze sobą światy mogą być wówczas podzielone murem z oddzielnym systemem gospodarczym i handlowym, a także oddzielnymi łańcuchami dostaw, normami technologicznymi, zasadami wymiany informacji, wiedzy i przemieszczania się ludzi. Braniewo będzie przy samym tym murze.

Pesymiści mówią, że taki stan może potrwać nawet kilka dekad. Nie miałem śmiałości rozmawiać z mieszkańcem miasta w sierpniowy poranek o tej konkretnej sprawie. Zresztą taka rozmowa byłaby chyba nieco abstrakcyjna. To tak, jakby w sierpniu 1968 r., gdy czołgi sowieckie sunęły ulicami miasta, ktoś fantazjował, że Polska będzie członkiem NATO, a Związek Sowiecki przestanie istnieć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał
A. Ziemkiewicz**

/ Felieton

Ferdinand Walsin Bolek

O sprawie Dreyfusa pisałem już kiedyś, ale pamięć o niej właśnie wróciła do publicznej debaty za sprawą filmu Romana Polańskiego. Niestety, wróciła w wersji fałszywej, stworzonej swego czasu na potrzeby mitu założycielskiego europejskiego lewicującego liberalizmu. Tymczasem dziś wytworzone przez lewicowo-liberalne salony elity – zwykłem je nazywać liberalistokracją

żydostwo Dreyfusa ani wielu innych oficerów nie przeszkadzało.

Istotą sprawy była oczywista dla sfer rządzących i generalicii XIX-wiecznej Francji niemożność oficjalnego przyznania prawdy. Prawdziwym szpiegiem, za którego winy skazano Dreyfusa, był bowiem mjr Ferdinand Walsin Esterhazy. Człowiek błękitnej krwi, kość z kości ówczesnych warstw wyższych. Problem już nawet nie w tym, że to ktoś taki okazał się szpiegiem, ale

chiści, liberałowie i socjaliści wszelkiej maści rośli w siłę, mieli po swej stronie rodzące się nowe salony – intelektualistów, dziennikarzy, zaczęli być wybierani do parlamentów... Przyznać, że ktoś tak dobrze urodzony i wysoko ostawiony jak hrabia Esterhazy mógł być narkomanem, utracuszem, pederastą i zdrajcą, po prostu ostatnim degeneratem, jak jakiś cham z gminu, znaczyło skapitulować przed liberalną wizją świata.

Do tego elity francuskie nie były zdolne. Złożyły winę – nieudolnie – na Żyda, a potem brnęły do upadłego w zaprzeczenia, szermując hasłami o Bogu, honorze i ojczyźnie, w efekcie na cały przyszły wiek skutecznie te imponderabilia kompromitując.

Mówiąc prosto: broniąc za wszelką cenę w oczywisty sposób fałszywego oskarżenia, wskazując jako kwestionujących wyrok Żydów i mobilizując opinię publiczną przeciwko nim, prześladowcy Dreyfusa kierowali się tym samym instynktem co np. Monika Olejnik, gdy nazywała Pawła Zyzaka „gorszym od faszysty”. I nasz najbardziej prominentny liberalistokrata, Adam Michnik, gdy orkiestrował nagonkę na Sławomira Cenckiewicza. Chociaż i Michnik, i inni jej liderzy wiedzieli, że Wałęsa był konfidentem „Bolkim”, równie dobrze jak francuscy generałowie wiedzieli, że prawdziwym zdrajcą był Esterhazy. Tak samo jak tamci wiedzieli też jednak, że prawda podważy ich świat, i dlatego nie było takiej podłości, której by nie uznali za usprawiedliwioną, by tę prawdę ukryć. ©©

Prześladowcy Dreyfusa kierowali się tym samym instynktem co np. Monika Olejnik, gdy nazywała Pawła Zyzaka „gorszym od faszysty”. I Adam Michnik, gdy orkiestrował nagonkę na Sławomira Cenckiewicza

– same są dokładnie w tej samej sytuacji co prześladowcy Dreyfusa i mniej więcej tak samo jak oni się zachowują.

Liberalny mit dostrzega w nagonce na Dreyfusa wyłącznie antysemityzm. Oczywiście, antysemityzm był jej paliwem, ale – co wszyscy przywołujący tę sprawę zgodnie przemilczają – nie przyczyną. Zasymilowany Żyd, na dodatek z niemieckimi korzeniami, nadawał się idealnie na kozła ofiarnego i niewątpliwie ze względu na swe pochodzenie został do tej roli wybrany. Dopóki jednak nie potrzebowano owego kozła ofiarnego, dopóty nikomu

w tym, dlaczego dał się zwerbować. Otóż dlatego, że po pierwsze, miał potworne długi, bo był uzależniony od narkotyków i hazardu, a po drugie, wywiad niemiecki miał na niego haka, bo był homoseksualistą.

Gdyby ówczesny ład społeczny trzymał się równie mocno jak wiek wcześniej, pewnie by majora spotkała za służoną kara. U schyłku XIX stulecia ten ład, oparty na wierze w to, że ludzie ze społecznych wyżyn, dobrze urodzeni, są lepsi i predystynowani do przywództwa, chwiał się na całym. Wichrzyciele, anar-



Piotr Semka

/ Felieton

Karol

– wielki terrorysta

Niemieccy historycy do niedawna uważali podboje Karola Wielkiego za coś w oczywisty sposób pozytywnego. Nikt nie negował, że był to postęp cywilizacyjny. Obecnie porównuje się karolińskie podboje do islamskiego terroryzmu

Profesor Daniel König opublikował niedawno na łamach tygodnika „Die Zeit” artykuł „Wojna Karola przeciw plemionom saskim. Dżihad przeciw Sasom?” – pod takim tytułem. Chodzi o wyprawę wojenne odnowiciela Świętego Cesarstwa Rzymskiego przeciw trwającym w pogaństwie plemionom saskim z lat 779–804. „Die Zeit” wybija efektowny lead: „Karol Wielki nawracał za pomocą miecza. Czy nauczył się zasad świętej wojny od islamu?”.

Autor tego tekstu to profesor katedry historii na uniwersytecie w Konstancji. Znany z publikacji naukowych o relacjach świata łacińskiego z muzułmanami wydawanymi przez prestiżowe wydawnictwo Oksfordu.

Im mocniej wgłębiałem się w ten całostrowicowy tekst, tym bardziej bładło wrażenie umiaru. Niemiecki historyk, korzystając ze swojej wiedzy, wylicza osoby, z którymi stykał

w rodzaju dzisiejszych urzędów wojewódzkich. Korzystał ze znajomości sztuki pisania i czytania na dworach biskupich. Dżihad to dziś jednak hasło mające usprawiedliwić ataki na niewinnych ludzi w centrach wielkich miast Zachodu. A Karol nie wysyłał trucicieli, aby zatruli studnie w Bagdadzie czy podkładali ogień w Kairze.

Ostatecznie prof. König nie stawia kropki nad i. Uznaje, że wieści o podbojach islamskich mogły docierać na dwór Karola, ale nie musiały być decydującym motywem działania.

„Tradycja chrześcijańska dostarczała wystarczająco dużo materiału, aby pchać ekspansjonistycznego władcę, jakim był Karol, do idei przymusowego nawracania ludności Saksonii na chrześcijaństwo równoległe do ich politycznego podporządkowania”. Niektóre psalmy starotestamentowe można pojmować militarnie, szczególnie w połączeniu z przesłaniem Nowego Testamentu. Ojciec Kościoła Augustyn rozwinął teorię »sprawiedliwej wojny«. Późne rzymskie ustawodawstwo wprowadziło ograniczenia i zakazy dla kultów niechrześcijańskich, a pod panowaniem bizantyjskim, wizygockim i frankońskim we wczesnym średniowieczu panowały przymusowe nawrócenia Żydów, o czym z pewnością pamiętano w czasach Karola. [...] Aby to zrobić, nie potrzebował islamu ani dżihadu”.

Mimo tej ambiwalencji jest w tekście Königa coś, co reprezentuje nową epokę. Niemieccy historycy w wiekach XVII, XVIII, XIX, aż do początku XX w., uważali podboje Karola za coś w oczywisty sposób pozytywnego. Nikt nie negował, że był to postęp cywilizacyjny. Chwalono cesarskie ambicje unifikacji germańskich plemion. Wskazywano na korzyści nowego stanu rzeczy – łagodzenie niekiedy bardzo okrutnych zasad pogańskiego prawa plemiennego, np. zemsty rodowej czy eliminacji dzieci niepełnosprawnych.

Tekst Königa ma inną tonację. Przyrównuje, choć na zasadzie publicystycznej dywagacji, podboje karolińskie do hasła dżihadu, które dziś na Zachodzie, szczególnie po zamachu 11 września 2001 r. na Nowy Jork, kojarzą się z zamachami terrorystycznymi i barbarzyństwem.

Na ten jeden raz ucieka od modnych dziś dywagacji o islamie jako religii pokoju. Jednak tylko w celu niewypowiedzianej wprost perswazji: „Narzekacie na dzisiejszych islamistów? Sami robiliśmy przed wiekami równie agresywne kampanie”.

Skoro nasza epoka staje się postchrześcijańska, to czas i na odwracanie pojęć. Dlaczego ocena rządów Karola Wielkiego miałaby być wyjątkiem? ©©

się cesarz, a które obserwowały z uwagą kolejne podboje pod flagą proroka i mogły Karolowi opowiadać o koncepcji nawracania za pomocą miecza. Cała ta zbudowana na erudycji wyliczanka pomija jednak prosty fakt. W tamtej epoce zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie traktowali swoją wiarę serio i uznawali za swój obowiązek niesienie jej poganom. A Karol, uważający się za następcę rzymskich cesarzy, uznawał rozbudowę cesarstwa za zarówno obowiązek sumienia, jak i element rozbudowy swego państwa. Chcąc zunifikować germańskie plemiona, zakładał biskupstwa – zarówno jako ośrodki chrystianizacji, jak i coś



Tomasz Stańczyk

Walcząca z judaizmem rabinicznym żydowska sekta starała się udowodnić, że mordy rytualne są nakazem ukrytym w hebrajskich księgach

W połowie XVIII w. pojawiła się na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej sekta frankistów. Wzięła nazwę od założyciela – Jakuba Franka, urodzonego w 1726 r. w Korolówce na Podolu. Po latach wrócił z Turcji, gdzie zetknął się z mistycyzmem żydowskim i zaczął uważać się za następcę mistyka Sabataja Cwiego. Frankiści akceptowali Torę, czyli Pismo Święte (Pięcioksiąg), opierali się zaś na kabalistycznej i mistycznej księdze Zohar.

„Nauka jego zbliżała judaizm do chrystianizmu – pisał Aleksander Czołowski – wyrzekł się bowiem Frank zupełnie Talmudu »jako pełnego błędów i bluźnierstw«, uczył, że Bóg jest jeden w trzech osobach, wierzył zatem w Tróję Świętą, a nadto uznawał w Chrystusie Mesjasza”

(Aleksander Czołowski, „Mord rytualny». Epizod z przeszłości Lwowa”).

Dla rabinów frankiści byli heretycką sektą, godzącą ponadto w ich autorytet, toteż zwalczali ją i prześladowali. Wobec tego frankiści, deklarujący zbliżenie do chrystianizmu, chcąc, by ich wyznanie zostało zaakceptowane, oddali się pod opiekę biskupa kamienieckiego Mikołaja Dembowskiego.

Dysputa lwowska

W 1757 r. odbyła się w Kamieńcu Podolskim dysputa między frankistami, zwanymi kontrtalmudystami, a rabinami-talmudystami. Biskup uznał rabinów za pokonanych i kazał spalić Talmud. Dwa lata później, w 1759 r.,

Lwów, 1759 r. / Frankiści kontra talmudyści

Katedra łacińska we Lwowie – miejsce dysputy frankistów z rabinami. FOT. ADOBE STOCK

Spór o mordy rytualne

w katedrze we Lwowie odbyła się kolejna dysputa. Obejmowała siedem punktów, m.in.: tezy, że prorocтва o przyjsciu na swiat Mesjasza wypełniły się; do wiary Mesjasza można przystąpić tylko przez chrzest i „Talmud naucza, że potrzebna jest krew chrześcijańska, a kto wierzy w Talmud, musi jej potrzebować”. Ze strony talmudystów przybyło 40 rabinów, a wśród nich Chaim Kohen Rapaport, rabin lwowski, natomiast ze strony frankistów m.in. Jehuda ben Nosen Krysa, były rabin w Nadwórnej, oraz Nachman Szmujłowicz, rabin z Buska.

O mordzie rytualnym Czołowski pisał: „Był to niewątpliwie punkt ciężkości całej dysputy, najważniejszy i największy w ogóle budzący interes”. Dodawał, że opinia publiczna była pod wrażeniem dość niedawnego, bo dokonanego w 1753 r., i nagłośnionego zabójstwa czteroletniego Stefana Studzińskiego, porwanego w Markowej Wolicy i zamordowanego w Wielki Piątek. Wielkanoc tamtego roku pokrywała się z żydowskim świętem Pesach, a istniało wówczas przekonanie, że właśnie przed nim dokonywano mordów rytualnych.

Zbrodnię tę przypisano Żydom. Sąd w Żytomierzu wydał kilkanaście wyroków skazujących na śmierć i kilkanaście uniewinniających. Dziesięć lat później Stolica Apostolska, po zbadaniu sprawy zabójstwa Studzińskiego, stwierdziła, że nie ma dostatecznych i przekonujących dowodów na to, że chłopiec padł ofiarą mordu rytualnego.

Podczas lwowskiej dysputy w katedrze zabrał głos tłumacz frankistów Antoni Kossakowski-Moliwda, który w ich imieniu oświadczył, że mordercy rytualni są rzeczywistością, której zaprzeczają Żydzi, twierdząc, że to oszczerstwa chrześcijan. „My jednak Boga wszystkich widzącego, mającego sądzić żywych i umarłych, wzięwszy na świadectwo, nie ze złości ani z zemsty, ale z miłości Wiary Świętej, którą przyjmujemy, tę złość onych talmudystów wydajemy światu całemu do wiadomości, bośmy się i sami w młodości naszej u onych tego uczyli” – powiedział Kossakowski, a słowa te powtórzył po hebrajsku Jehuda ben Nosen Krysa.

Frankiści twierdzili, że księga Aurech Chaim Megine Erec (Ścieżka żyjących, obrona ziemi) zawiera przykazanie dla rabina, by się starał o „wino czerwone, pamiątkę krwi”. Wywodzili, że przed



Jakub Frank FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

pospółstwem rabini tłumaczą słowa „jain udym” jako wino czerwone, podczas gdy między sobą słowa „jain edym”, pisane tak samo, tylko z innym akcentem, którego nie ma w druku, tłumaczą jako „krew chrześcijańska”. Autor książki stwierdzał, że teraz jest „opuszczone zażywane czerwonego wina, gdyż fałszywe napaści są”. Frankiści zapytywali, dlaczegoż to miano napadać na Żydów za picie czerwonego wina, sugerując, że w istocie chodziło o krew chrześcijańską.

Wprawdzie Stary Zakon nie pozwalał spożywać krwi ani zwierzęcej, ani ludzkiej, to jednak księga Rambam – zdaniem frankistów – mówiła, że wolno spożywać krew ludzką, a księga Meschete Ksubes, że: „Krew, co idą na dwóch nogach, czysta jest”. Frankiści zapytywali rabinów: „Niech nam odpowiedzą, czyja to krew czysta. Wszak nie ptactwa?”.

W odpowiedzi rabin Chaim Kohen Rapaport nazwał wywody frankistów aktem „złości, zemsty i napaści”, a zarzuty uznał za bezpodstawne. Stwierdził, że jest przeciw prawu natury, by Żydzi mieli zabijać i żądać krwi chrześcijańskiej. Rapaport zauważał, że nie jest wcale powiedziane w księgach hebrajskich, iż trzeba używać czerwonego wina, można białego, jeśli jest lepsze. Zarzucał też błędne tłumaczenie słowa „edym”, oznaczającego nie chrześcijanina, lecz Egipcjanina. A nawet na nich, oskarżanych o prześladowanie Żydów, mścić się nie wolno. Rabin twierdził, że w księdze Rambam nie ma mowy o zażywaniu krwi człowieczej, ale wprost przeciwnie – zakazuje ona tego.

Wobec tak sprzecznych stanowisk ks. Szczepan Mikulski, administrator archidiecezji lwowskiej, pozostawił rozstrzygnięcie w sprawie tezy o mordzie rytualnym sądowi konsystorskiemu. Nigdy do tego nie doszło. Natomiast wkrótce po dyspucie bernardyn ks. Gaudenty Pikulski

wydał w 1760 r. we Lwowie, za zgodą władzy kościelnej, książkę „Złość żydowska przeciwko Bogu i bliźniemu prawdziwie i sumieniu na objaśnienie Talmudystów...”, relacjonując dysputę lwowską i zalecając krytycznie podejść do repliki rabina. Ksiądz Pikulski przytaczał oświadczenie Jana Serafinowicza, urodzonego w końcu XVII w. rabina z Brześcia Litewskiego, który przyjął chrzest i przyznał się, że sam dwukrotnie „męczył dzieci chrześcijańskie”, w Słonimiu i Róźnie.

Dwa lata po dyspucie lwowskiej, w 1761 r., w Wojsławicach zamordowano dwuipółletniego chłopca Mikołaja Andrzejuka. Miała to być prowokacja frankistów, którzy zamieszkali koło tego miasteczka i chcieli pozbyć się z niego rabina i władz miejscowego kahału (gminy żydowskiej). Jedną z frankistek miała podszycić się pod żonę rabina, oskarżyć go i innych Żydów o mord rytualny. Jednak – jak pisała Joanna Żyndul w książce „Kłamstwo krwi. Legenda mordu rytualnego na ziemiach polskich w XIX i XX w.” – brak podstaw do twierdzenia, że frankiści mieli udział w doprowadzeniu do skazania oskarżonych Żydów. Sędziowie uznali, że samooskarżenia Żydów złożone podczas tortur w więzności pokrywają się z innymi dowodami. Pięciu Żydów z rabinem na czele skazano na śmierć przez ćwiartowanie.

Zachód i Polska

O rytualne morderstwa oskarżano Żydów już w starożytności, jednak prawdziwa eksplozja oskarżeń nastąpiła w średniowieczu i przeciągnęła się na czasy nowożytne. Oskarżano Żydów o to, że porywają i zabijają chrześcijańskie dzieci, by powtórzyć i sparodiować mękę Chrystusa, wytoczyć z nich krew dla celów medycznych i rytualnych – mieli dodawać krew ofiar do macy na święto Pesach i do pitego wówczas wina. Pierwszy mord rytualny miał się wydarzyć w 1144 r. w Norwicz w Anglii w Wielkim Tygodniu. Najgłośniejszym echem w Europie odbiło się zamordowanie w Trydencie, w Wielkiej Czwartek 1475 r., dziecka o imieniu Szymon, przypisywane Żydom. Na śmierć skazano 15 oskarżonych. W 1588 r. Sykstus V beatyfikował Szymona. Kult został zniesiony w 1965 r. przez Pawła VI.

Papiestwo podchodziło zdecydowanie sceptycznie do obwiniania Żydów

o mordy rytualne, wskazując w bullach, że Tora nie pozwala Żydom na kontakt z krwią, czy to ludzką, czy zwierzęcą, i jej spożywania. Dlatego papież zabraniał oskarżeń Żydów o mordy rytualne. Uważali, że są spowodowane chęcią albo przejęcia majątku żydowskiego, albo wymuszenia okupu z powodu rzekomych porwań dzieci chrześcijańskich.

Aleksander Czołowski twierdził jednak, że chodziło o obronę Żydów przed żłośliwymi i niepopartymi dowodami oskarżeniami.

Innocenty IV piętnował prześladowania Żydów i skazywanie ich na śmierć „bez oskarżenia, bez przyznania się i bez dowodów”. Grzegorz IX żądał, żeby Żydów więzionych i oskarżanych z „bezecnych pobudek” nie pozbawiano wolności „chyba że, w co my nie wierzymy, przyłapano ich na gorącym uczynku”.

Legenda o mordach rytualnych w Europie Zachodniej dotarła dość szybko do Polski. W przywileju dla Żydów, wydanym przez Bolesława Pobożnego w 1264 r., zakazano oskarżania Żydów o używanie ludzkiej krwi. Jeśli jednak padłoby takie oskarżenie, to musiało być poparte zeznaniami trzech Żydów i trzech chrześcijan. Gdyby вина została udowodniona, to Żyd powinien ponieść karę odpowiednio do popełnionej zbrodni. Jeśli nieudowodniona, wówczas karę za oszczerstwo powinien ponieść chrześcijanin.

Czołowski wskazywał, że przywił ten nie jest znany w oryginale, lecz w późniejszych odpisach i zatwierdzeniach, twierdząc, że były one zmanipulowane. Zauważał, że skazanie Żydów posądzonych o mord rytualny było praktycznie niemożliwe, wątpił bowiem, by znalazło się trzech Żydów świadczących przeciw swym współwyznawcom. A jednak procesy o mord rytualny odbywały się z pominięciem tej procedury.

Pierwsza wzmianka o zbrodni na dziecku przypisywanej Żydom znajduje się w kronice Jana Długosza. Taką wieść rozszerza się w 1407 r. w Krakowie i spowodowała pogrom. Pierwszy proces odbył

się w 1547 r. w Rawie Mazowieckiej. Nie jest znany jego rezultat, lecz z późniejszych zapisków wynika, że oskarżeni Żydzi zostali skazani na śmierć.

Oskarżenia o mordy rytualne w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej prześledzili Zenon Guldon i Jacek Wijaczka w książce „Procesy o mordy rytualne w Polsce w XVI–XVIII w.”. Podają, że na ziemiach Korony były 82 przypadki oskarżeń i procesów o mordy rytualne, znacznie mniej liczne były na terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W Sandomierzu

Autorzy opisują m.in. dwa przypadki posądzeń o mord rytualny, które zdarzyły się w Sandomierzu. W 1698 r. znaleziono w kostnicy ciało trzyletniej Małgorzaty Mroczkowicowej. Matka zeznała, że córka zmarła z przyczyny naturalnej, a podrzuciła jej ciało, bo nie miała za co go pochować, a rany na ciele i zadrapania były dziełem szczurów i kotów. Potem jednak – na torturach – zeznała, że zmarłe dziecko zaniósł Aleksandrowi Berkowi i później odebrała. Zmieniała zeznania, mówiła też, że przyniosła żywe dziecko i zabrała martwe. Wycofała się z tych zeznań, mówiąc, że Berek jest niewinny, potem jednak ponowiła oskarżenie. Na torturach Berek nie przyznał się do winy, zaprzeczył, że Żydzi używają krwi dziecięcej do macy. Mimo tego sędziowie, wierząc zeznaniom Mroczkowicowej, skazali Berka na karę śmierci. Nie ominęła ona także Mroczkowicowej.

Dzisiaj może najbardziej znana jest sprawa zamordowania w 1710 r. chłopca-sieroty Jerzego Krasnowskiego, a to za

sprawą obrazu w katedrze sandomierskiej przedstawiającego jego śmierć. Na początku XXI w. odbyła się burzliwa dyskusja nad tym obrazem. Skrajne stanowisko głosiło, że obraz, jako przedstawiający nieprawdę, należy zniszczyć. Umiarkowane proponowało utworzenie w Sandomierzu muzeum polskiego antysemityzmu i przeniesienie tam malowidła. Inni uważali, że nie należy niszczyć obrazu będącego świadectwem przesądów epoki, w której po-

wstał, powinien więc zostać w kościele, ze stosownym wyjaśniającym napisem.

Ciało Krasnowskiego znaleziono na podwórzu rabina w Sandomierzu. Żydzi oskarżyli opiekunkę Annę Augustynowiczową, że im podrzuciła ciało chłopca zmarłego na zarazę, mówili też, że rany na jego ciele powstały od kolców żywoplotu z tarniny, gdy zwłoki były przerzucane. Potem twierdzili, że zrobili to żołnierze rosyjscy stacjonujący w Sandomierzu. Jeden z Żydów, który przyjął chrzest, zeznał, że Żydzi sandomierscy mieli polecenie od Żydów z Rakowa, by dostarczyć krew. Trzej posądzeni o zbrodnię zostali skazani na śmierć i straceni. Wyroki skazujące zapadały na podstawie zeznań świadków, niekiedy także Żydów, oraz zeznań oskarżonych, złożonych podczas tortur. Nie wszyscy oskarżeni przyznawali się do winy, czasami mimo to byli skazywani na śmierć. Prawdziwość samooskarżeń pod wpływem tortur jest łatwa do zakwestionowania, jednak ówczesni sędziowie, konfrontując je z innym materiałem procesowym, uznawali je za zgodne z rzeczywistością (o ile pominąć prawdopodobieństwo, że kazali katom wymusić zeznania zgodne z ich przekonaniem o dokonaniu mordu rytualnego, a tortury miały to tylko uzasadnić).

Sprawcy

Nie każde oskarżenie o mord rytualny kończyło się wyrokiem śmierci. Uniewinnienia oznaczają, że sędziowie w tych sprawach nie zakładali z góry prawdziwości oskarżeń o mord rytualny.

Hanna Węgrzynek pisała w książce „Czarna legenda Żydów. Procesy o rzekome mordy rytualne w dawnej Polsce”, że wiele pierwszych spraw zakończyło się uniewinnieniem. W latach 1547–1650 było tak przynajmniej w ośmiu przypadkach, natomiast w 11 zapadł wyrok skazujący. Zenon Guldon i Jacek Wijaczka podawali, że w 1539 r. Trybunał Koronny uniewinnił Żydów oskarżonych o śmierć chłopca Matyjaszka, ale trzy lata później skazał na śmierć dwóch Żydów oskarżonych o zabójstwo dwuletniego Franciszka Michałowicza oraz Tomasza Kokoszkę, który miał porwać i dostarczyć im chłopca. Zwykle karę śmierci wykonywano przez ćwiartowanie, jednak oskarżeni Żydzi, którzy przyjęli chrzest



po wyroku, byli pozbawiani życia w łagodniejszy sposób – przez ścięcie.

Jeśli nie Żydzi mordowali chrześcijańskie dzieci, to kto był sprawcą zbrodni? Hanna Węgrzynek wyjaśniała, że wiele dzieci uległo nieszczęśliwym wypadkom, a ich ciała zostały okaleczone nie przez ludzi (co sugerowały obdukcje), lecz przez zwierzęta. Stwierdziła, że nie można wykluczyć, iż dzieci padły ofiarą zbrodniców lub gwałticieli.

Autorka „Czarnej legendy Żydów” przypuszczała, że przyczyną oskarżeń Żydów o mordy rytualne był konflikt ekonomiczny. Wielokrotnie bowiem oskarżano o zbrodnie Żydów zamożnych, odgrywających istotną rolę w życiu miejscowych społeczności, pełniących ważne urzędy. Chodziłoby więc o usunięcie konkurencji, o wygnanie Żydów z miast i miasteczek.

Oprócz Żydów o pomocnictwo w mordach rytualnych byli też oskarżeni chrześcijanie: mężczyźni i kobiety, którzy mieli porwać dzieci i sprzedawać je Żydom. Odnotowano też przypadki sprzedaży im dzieci przez matki. W tych sprawach zapadały także wyroki śmierci. Nie są jasne motywy oskarżeń kierowanych wobec tych chrześcijan o rzekome popełnienie takich czynów.

Profesor prawa Leon Petrażycki stwierdzał na kanwie słynnego procesu o mord rytualny dokonany w Rosji w 1911 r. przez Menachema Bejlisa w Kijowie (sprawa zakończyła się niewinnieniem), że jeśli Żydzi dokonywaliby rzeczywiście mordów rytualnych, to powinni przecież ukryć lub zniszczyć zwłoki ofiar, by nie padło na nich podejrzenie, a przecież znajdowano ciała zabitych dzieci, i to szybko. W sprawach o mordy rytualne pojawiają się jednak informacje, że niekiedy tak robiono. Hanna Węgrzynek pisze w swojej książce o przypadku rzekomego mordu w Sochaczewie w 1556 r. Ofiarę miano pogrzebać na cmentarzu żydowskim. W dwóch przypadkach oskarżono natomiast chrześcijan o pomoc w ukrywaniu zwłok.



Ciała zamordowanych dzieci czasami były chowane w kościołach. Siedmioletni Szymon Ki(e)relis został pochowany w kościele bernardynów w Wilnie, trzyletni Maciej Łukasiewicz w kościele św. Wawrzyńca w Kodniu. Nigdy jednak w Polsce – w przeciwieństwie do Europy Zachodniej – nie doszło do powstania kultu wokół dzieci, o których zamordowanie posądzano Żydów. Próba biskupa łuckiego Bernarda Maciejowskiego, który starał się o wytworzenie lokalnego kultu, a może i kanonizacji zamordowanego w 1598 r. w Świnarach chłopca (polecił pochować go w kościele jezuitów w Lublinie), zakończyła się niepowodzeniem.

Ponurą rolę odegrało przekonanie, że Żydzi mordują dzieci chrześcijańskie dla celów rytualnych, w Kielcach w 1946 r. Chociaż wówczas nie chodziło o zabójstwo, lecz o rzekome przetrzymywanie chłopca w żydowskim domu, to doszło do krwawego pogromu. Po pogromie kieleckim biskup częstochowski Teodor Kubina wydał odezwę, oświadczając, że „wszelkie twierdzenia o istnieniu mordów rytualnych są kłamstwem” i że nikt ze społeczności chrześcijańskiej w Polsce nie został skrzywdzony przez Żydów dla celów religijnych i rytualnych, nieznanne

są też przypadki porwania przez Żydów dziecka chrześcijańskiego.

Teodor Jeske-Choiński, znany w swoim czasie pisarz i publicysta, nazywający się sam czołowym antysemitą polskim, wydał w 1914 r. broszurę „Legenda o mordzie rytualnym”. Twierdził, że sprawa mordów rytualnych przypisywanych Żydom nie jest ostatecznie wyjaśniona i nie można odpowiedzieć stanowczo, czy mordy rytualne zdarzały się, czy nie. A nawet gdyby mord rytualny był rzeczywistością, to odpowiedzialność, zdaniem Jeske-Choińskiego, nie spadała przecież na cały naród żydowski, „tylko na jakąś sektę mistyczną czy kabalistyczną”. Naród bowiem nie odpowiada za „aberracje swoich sekt, swoich półobłąkanych mistyków religijnych”.

W 2007 r. izraelski historyk średniowiecza Ariel Toaff, syn rzymskiego rabin, wykładowca uniwersytetu Bar-Ilan w Tel Awiwie, wydał książkę „Pasque di sangue. Ebrei d'Europa e omicidi rituali („Krwawe Paschy. Europejscy Żydzi i rytualne mordy”) o zabójstwach dzieci dokonanych w średniowieczu w okolicy Trydentu, tam, gdzie został zamordowany chłopiec Szymon, oraz o procesach sądowych. Postawił tezę, że mordy rytualne nie były wymysłem antysemitów, lecz zbrodniami religijnymi żydowskich ekstremistów, łamiących podstawowe zasady religii żydowskiej, głównie zakazu spożywania krwi. Na Toaffa spadała ostra krytyka – także ze strony rabinów – zarzucano mu, że wznieca antysemityzm, spotkał się też z pogrózkami. Chociaż Toaff deklarował, że pozostanie wierny prawdzie i wolności badań naukowych za wszelką cenę, to ostatecznie na skutek wywieranej przez niego presji wycofał się ze swojego stanowiska i przeprosił oburzonych publikacją książki.

Dzisiaj w Polsce, według badań socjologicznych, zaledwie niecałe 3 proc. społeczeństwa wierzy głęboko w porwanie dzieci przez Żydów i mordy rytualne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Kapitulacja sztabu Szeina”
– obraz nieznanego malarza,
ok. 1634 r. Obok – herb
Wazów – Snopek

FOT. WIKIPEDIA

1595–1648

/ Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Władysław IV Waza

Krół – urodzony wódz



Maciej Rosalak

/ Początek panowania Władysława IV olśnił ogromny sukces: skuteczna obrona Smoleńska, doskonale zorganizowana odsiecz oraz świetny triumf nad państwem moskiewskim

Wybitnym umyśle Władysława IV stopiła się harmonijnie tradycyjna polska sztuka wojenna z nowymi możliwościami, jakie niosła ze sobą piechota cudzoziemskiego autoramentu i artyleria regimentowa...”. Słowa te trafnie ujmują militarne zdolności Władysława, zwłaszcza że wyraził je znakomity historyk wojskowości, i zarazem wyższy oficer sztabowy, dowodzący również w polu gen. Marian Kukiel. Napisał jednak przy tym: „W poczuciu swych talentów strategicznych i organizatorskich król Władysław czyhał na każdą okazję

uwikłania Rzeczypospolitej, usposobionej na wskroś pokojowo, w wielką wojnę zaczepną. Największy może wódz, jakiego Polska od czasów Chrobrego miała na tronie, nie znalazł upragnionej sposobności dokonania zamierzonych czynów”.

Władysław, jedyne dziecko Zygmunta III i Anny Habsburżanki, któremu udało się nie umrzeć we wczesnym dzieciństwie, urodził się w 1595 r. (Kolejne dzieci – m.in. Jana Kazimierza – rodziła Zygmuntovi kolejna Habsburżanka – Konstancja). Mimo sporych sił witalnych trażyły go jednak od młodości choroby, m.in. reumatyzm i przypadłości nerkowe, których rozwojowi sprzyjały: fatalna

dieta, opilstwo oraz rozwiązłość.

Zebrał chyba najwięcej tytułów spośród wszystkich naszych monarchów: tytułował się królem Polski, wielkim księciem litewskim, ruskim, pruskim, mazowieckim, żmudzkim, inflanckim, smoleńskim, siewierskim, czernihowskim oraz dziedzicznym królem Szwedów, Gotów i Wandalów, wybranym na wielkiego księcia moskiewskiego. Tytuły szwedzkie odziedziczył po ojcu i wyżej – niestety – je cenił niż polską koronę i wielkoksiążęcy kołpak litewski. Na tron moskiewski został powołany przez bojarów w 1610 r., po zwycięstwie hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Kłuszynem. Z powodu młodego wieku i sprzeciwu ojca nie objął wtedy władzy, a wyprawy po koronę carów w latach 1612 oraz w latach 1617 i 1618 – przy boku hetmana Karola Chodkiewicza – mimo zwycięstw w polu nie zakończyły się zajęciem Moskwy.

Był u boku wielkiego hetmana również podczas obrony obozu pod Chocimem (1521). Dopadła go tam choroba, ale obecność mężnego królewicza wzmacniała wolę walki u obrońców. Nuncjusz papieski abp Honorat Visconti wspominał: „[...] posiada zadziwiającą sztukę czy dar przyrodzony jednania sobie umysłów. Ci nawet, co go znają, nie mogą uniknąć jego czarującej wymowy, ci zaś, co go zrazu ze wstrętem i uprzedzeniem słuchają, odchodzą ujęci i przekonani”.

Władca Rzeczypospolitej został obrany 8 listopada 1632 r., a koronował się 6 lutego 1633 r. Natychmiast przystąpił do organizowania odsieczy dla oblężonego przez Rosjan Smoleńska, którą osobiście dowodził. Rozgromił wroga pod miastem i zmusił cara do zawarcia wieczystego pokoju w Polanowie. Przedłużył też pokój z Turcją, która wystraszyła się potęgi polskiej, oraz rozejm ze Szwecją – w Sztumskiej Wsi (1635). Wytargował wtedy ustąpienie Szwedów z Prus, z ziemi łęborsko-bytowskiej na Pomorzu i z pobierania cła gdańskiego. Przywrócił suwerenność Polski w Prusach Książących i odebrał ostatni hołd od elektora Fryderyka



Wilhelma w 1641 r. Pod koniec życia, realizując tajemniczy plan wojny z imperium osmańskim, nieodpowiedzialnie doprowadził... do kozackiego buntu Chmielnickiego. Umarł w 1648 r. – między klęską nad Żółtymi Wodami a tą pod Korsuniem – i nie oglądał skutków tragedii wojny domowej na Ukrainie.

Żenił się dwukrotnie – z kuzynką Cecylią Renatą Habsburżanką w 1637 r. oraz z Ludwiką Marią Gonzagą de Nevers w 1646 r. Żadne z kilkorga jego dzieci się nie uchowało.

Sługa Bellony

W roku 1624 ruszył na dziękczynną pielgrzymkę do Loreto – za uzdrowienie go w obozie chocimskim (1621) i zmuszenie do odwrotu stamtąd sułtana Osmana II. Pielgrzymka zamieniła się w podróż po Europie. Odwiedził dwór cesarza Ferdynanda II, w Niderlandach pozował do portretu Peterowi Rubensowi, a 19 stycznia 1625 r. papież Urban VIII w rzymskiej bazylice św. Piotra osobiście przypasał mu miecz i nałożył kapelusz obrońcy wiary. Z podróży po Włoszech wyniósł żywe zainteresowania sztuką, operą i teatrem, które przeniósł potem na swoje polskie królestwo jak żaden z jego poprzedników na tronie.

Był też świadkiem oblężenia i poddania wojskom hiszpańskim niderlandzkiego miasta Breda po kilkumiesięcznym oblężeniu (1624). Zafascynował go wtedy zdyscyplinowanie piechoty obu wojsk w boju, sprawnie posługujących się długimi pikami, strzelających skutecznie – wedle regulaminu musztry – z muszkietów oraz potrafiących wznosić groźne fortyfikacje polowe, burzyć mury z ciężkich dział, zakładać miny. Zapewne już wtedy zaplanował wprowadzić taką piechotę do polsko-litewskiej armii.

Od wczesnej młodości dojrzewał w blasku największych, nieprawdopodobnych wręcz zwycięstw polsko-litewskiego oręża (Kokenhausen, Kircholm, Kłuszyn, Trzciana), opromieniających

wielkich wodzów (Radziwiłła „Pioruna”, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Koniecpolskiego) i panowanie jego ojca. Husaria za jego czasów kontynuowała najlepsze tradycje owej wyjątkowej, staropolskiej jazdy (aczkolwiek podczas walk z Gustawem Adolfem w latach 20. XVII w. zreformowana piechota szwedzka potrafiła się jej już przeciwstawić).

Opatrzność i jego obdarzyła jeszcze wodzem nad wodzami – Stanisławem Koniecpolskim („HDR” nr 81). Podczas smoleńskiej wyprawy króla zwycięsko odparł on atak tureckiego paszy Abazego, a gdy po triumfie Władysława na północnym wschodzie hetman dysponował na południu ponad 35-tysięczną armią, sam sułtan Murad IV zląkł się i poprosił o pokój (1634).

Na miano mistrza staropolskiej sztuki wojennej zasługiwałby na pewno także hetman polny litewski (wielki od 1635 r.) Krzysztof Radziwiłł (syn „Pioruna”) za prowadzenie zimą 1633 r. działań wspomagających załogę Smoleńska. Na oczach całej wrogiej armii Litwini przełamali blokadę miasta, aby dostać doń nowych żołnierzy oraz zapasy żywności, kul i prochu. Ataki uskrzydłonej jazdy nadal budziły wśród Moskwiczinów przerażenie i popłoch. Z reguły pierzchali, nie podejmując walki. Doświadczenia z wojen ze Szwedami w trzech kolejnych dekadach XVII w. zwróciły również jego uwagę na niedocenianą u nas rolę piechoty typu zachodniego (z pikami i muszkietami) czy dragonii. To on zaciągnął pierwszy jej oddział na Litwie już w 1617 r.

Godnym zastępcą Radziwiłła podczas jego nieobecności na przełomie lat 1632 i 1633 stał się wojewoda wileński Aleksander Korwin Gosiewski. On też na przełomie lat 1633 i 1634 wspólnie z Marcinem Kazanowskim poprowadził wyprawę 6 tys. jazdy pod Dorohobuż i Wiazmę, paraliżując zagonami zaplecze nieprzyjaciela broniącego się już wtedy przeciw przybyłemu z odsieczą królowi Władysławowi.

Wspomnijmy też wielkiego magnata z Zadnieprza – Jeremiego Wiśniowieckiego, który stale utrzymywał kilkutyśięczne wojsko, nie gorsze od koronnego – ważny element obrony południowo-wschodnich granic Rzeczypospolitej.

Władysław wyciągał też wnioski z klęski, jaką spowodowało pod Cecorą (1620) zanarchizowane wojsko, z braku szczelnej zapory przeciw nieustannym najazdom ■

■ Tatarów oraz z braku silnej, stałej armii zawodowej, która nie tylko wygrywałaby bitwy, lecz także całe wojny. Widział oczywiście przyczynę: zanik finansów państwowych z powodu niepłacenia przez szlachtę stałych podatków. Widział... ale i sam się do owego upadku przyczyniał. Jak wspominał Karol Ogier, sekretarz ambasadora francuskiego: „Ogromną się ten władca odznacza uprzejmością i ogładą, ogromną także hojnością, tylko że u niego tej hojności źródła są najczęściej wyschnięte [...]”. Jak sobie ludzie mówią, niewiele mu przyjdzie z tej sumy, na którą czy to prawni wierzyciele, czy ulubieńcy już ręce położyli”.

Jego wielki wkład w unowocześnianie polskiej sztuki wojennej polegał na trwałym wprowadzeniu w skład armii Rzeczypospolitej – obok nadal dominujących oddziałów jazdy i piechoty typu narodowego – formacji autoramentu cudzoziemskiego. Była to piechota i kawaleria typu zachodniego, ale zaciągana wśród miejscowej ludności. Oddziały formowano, opłacano i uzbrajano wedle sprawdzonych w Europie procedur i odtąd Polacy, Litwini i Rusini bywali pikinierami, muszkietierami, dragonami i rajtarami. W dokumentach pacta conventa znalazły się postulaty utworzenia floty, budowy czterech zamków, fortyfikacji zamku w Kamieńcu oraz stworzenia mobilnej artylerii. Król starał się je spełnić, zwłaszcza że pokrywały się z jego dążeniami. Z błyskawicznie utworzoną, zreformowaną i zaopatrzoną armią wyruszył pod Smoleńsk. Było to organizacyjne mistrzostwo.

Dążył do odzyskania orężem korony szwedzkiej, mimo że w pacta conventa poprzysiągł zaniechać kompletnie niepotrzebnej nam wojny z groźną militarną potęgą. Gdy Szwedzi zajęli całe Inflanty oraz Prusy, podatki od Sejmu udało się jednak uzyskać i król przeprowadził skuteczną demonstrację zbrojną oraz



Moskiewski strzelec uzbrojony w muszkiet lontowy, rapier i berdysz

Rys. Marek Szyszko



Pancerny polski jeździec w misiurze i kolczudze, uzbrojony w szablę, króćcę z zamkiem lontowym, łuk refleksyjny i kałkan

wzniósł (1634–1635) dwa ufortyfikowane porty nad pełnym morzem: puckie Władysławowo i Kazimierzowo (dziś – Kuźnica obok Jastarni). Nabył 12 statków i wyposażył je w Gdańsku (kilka lat po zawarciu ze Szwecją rozejmu wszystkie je utracił albo sprzedał).

Smoleński triumf

Latem 1632 r., korzystając ze śmierci Zygmunta III, łamiąc rozejm zawarty w Dywiline (miał obowiązywać od stycznia 1619 do lipca 1633 r.), armia moskiewska wtargnęła na terytorium Rzeczypospolitej. Celem było zdobycie Smoleńska odebranego przez Polskę w 1611 r. Moskiewceni zdali sobie sprawę, że pospolite ruszenie bojarskie nie ma szans z wojskiem litewsko-polskim. Toteż najęli 3,5 tys. najemników zachodnich i wyszkolili na zachodnich wzorach – z pomocą płk. Aleksandra Lesleya przysłanego przez ich szwedzkiego sojusznika Gustawa Adolfa – 7 tys. piechoty, 2 tys. rajtarii i 1,6 tys. dragonii. Ogółem w 1632 r. Moskwa wystawiła przeciwko Rzeczypospolitej 60 tys. żołnierzy, z czego pod Smoleńskiem znalazło się 30 tys. żołnierzy i 158 dział. Dowodził Michaił Borysowicz Szein, obrońca Smoleńska

w latach 1609–1611, pałający żądzą odwetu.

Hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł zebrał 2,5 tys. jazdy i 2 tys. piechoty. Załoga Smoleńska liczyła 2 tys. i miała 170 dział, ale do nadgranicznych twierdz wysłano śmiesznie znikomą załogę. Nie mogły one stawić czoła Szeinowi, który do stycznia 1633 r. opanował kilka z nich, włącznie z mającym strategiczne znaczenie Dorohobużem. Od decyzji o wojnie z Rzeczpospolitą do rozpoczęcia regularnego oblężenia smoleńskiej twierdzy upłynęło jednak sześć miesięcy. Wódz moskiewski poczynił sobie dość opieszale. Na miejscu pobił dwa warowne obozy i reduty, będące zarówno oparciem dla bombardowania i ataków na Smoleńsk, jak i zaporą przeciw litewskim podjazdom i odsieczom. Nie przeszkodziło to jednak naszym ani w zwalczaniu podjazdów moskiewskich, ani w brawurowych atakach oraz parokrotnym przedarciu się jego oddziałów (Jerzego Jurzyca i Jakuba Madalińskiego) do Smoleńska.

W marcu 1633 r., dzięki skutoci błotnistych dróg mrozem, do Szeina dotarły najcięższe działa o wagomiarze 24 i 30 funtów, co pozwoliło na burzenie murów systematycznym bombardowaniem wybranych miejsc.

Udało się wprawdzie wysadzić Bramę Małachowską, ale mury posypały się na atakujących. Poza tym obrońcy wzniesli naprzeciw włotom mocny wał i udaremniłi wdarcie się wrogom do miasta.

Władysław – wybrany nadzwyczaj sprawnie przez sejm konwokacyjny – czasu nie marnował, przevorsował na sejmie koronacyjnym nowe podatki na wojsko (w tym 15 tys. piechoty; po raz pierwszy więcej niż z jazdy!), oddziały zbierał i szkolił w długiej drodze na wschód, i pod Orszę – bazę wypadową Litwinów – dotarł w końcu sierpnia 1571 r. Mógł ufać dzielnej smoleńskiej załodze i murom twierdzy o długości 6,5 tys. m, wysokości 10–15 m i grubości 5–6 m. Głębokie na 4 m fundamenty utrudniały próby wysadzenia. Co 150–300 m wznosiły się 21-metrowe baszty, umożliwiające prowadzenie bocznego ognia do nacierających.

Gdy nadeszły wszystkie wojska koronne, połączone z Litwinami, zasilone 12 tys. Kozaków i nowymi oddziałami, król zyskał przewagę nad Moskwiczinami. Tak jak oni fachowo z zachodnimi oficerami na czele zabrali się do oblężenia, tak i on fachowo – budując umocnienia ziemne i stanowiska artyleryjskie – likwidował kolejne zgrupowania nieprzyjaciela: m.in. Aleksandra Lesleya, Jakuba Charleya, Jerzego Mattisona, a także złożony głównie z jazdy obóz Szymona Prozorowskiego i Nagoja, wysunięty w kierunku Orszy.

Zmusiło to Szeina do zwinięcia oblężenia już na początku października 1571 r. Miasto mogło po raz pierwszy od roku otworzyć wszystkie swoje bramy. Wkrótce to Szein znalazł się w okrężeniu, a po zdobyciu przez nasze wojska wzniesień nad obozem moskiewskim jego długotrwały ostrzał artyleryjski spowodował liczne straty w ludziach i w sprzęcie. 26 lutego 1572 r., wobec braku spodziewanej odsieczy, armia moskiewska skapitulowała. W Polanowie nad Wiaźmą (14 czerwca 1572 r.) car Michał I Romanow wyrzekał się Smoleńska i ziem czernichowskiej oraz siewierskiej, a także roszczeń do Estonii, Inflant, Księstwa Kurlandii i Semigalii. Przyrzekał też wypłatę 200 tys. rubli kontrybucji, król polski Władysław IV (za 20 tys. rubli) rezygnował zaś z pretensji do tronu moskiewskiego. Michał Szein nie miał szczęścia do Smoleńska. W jednej wojnie Smoleńsk utracił, w drugiej go nie zdobył i car kazał go stracić. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wielkie tradycje Iżę-Władimira



Maciej Rosaluk

Sposobom uprawiania polityki przez Władimira Putina nie ma co się dziwić. Ordynarne wyzwicka połączone z beczelnym kłamstwem dużo wcześniej były u naszego wschodniego sąsiada w modzie. W 1650 r. poselstwo braci Puszkiniów zażądało od Jana Kazimierza spalenia ksiąg sławiących polskie zwycięstwa odniesione nad Moskwą dwie i cztery dekady wcześniej. Car Aleksy mniemał, że spalenie świadectw upadków jego państwa pozwoli mu uwiarygodnić triumfalną, fałszywą wersję dziejów, a posłowie moskiewscy brali się do „bicia w mordę” polskich wielmożów. Zresztą już w 1018 r. wielki książę Jarosław wymyślał Bolesławowi Chrobremu od „dzikich, spasyłych wieprzów”, a zachwyceni kronikarze ruscy nazwali swego władcę „Mądrym”, zostawiając przydomkę Przekłętę dla Bolesławowego zięcia Świętopełka. Nawet Piotr Czaadajew w pierwszym „Liście filozoficznym” (I poł. XIX w.) formowanie Rosji, z podbojem przez Tatarów włącznie, widział tak: „Najpierw brutalne barbarzyństwo, potem ordynarna ciemnota, następnie obce panowanie, okrutne i poniżające, którego ducha odziedziczyła późniejsza nasza władza narodowa – oto smutna historia naszej młodości”. Rosja „wieku męskiego” nadawała w XVI w. swym najbardziej okrutnym władcom przydomki Iwana „Srogiego” i „Groźnego”, wyrażając tym – uwaga! – autentyczny podziw i szacunek ludu oraz elit państwa moskiewskiego. Przydomek Wielki przywarł do Piotra I i Katarzyny II, którzy poszerzali granice kosztem sąsiadów. Rzeczpospolita w końcu przestała istnieć...

Brutalność, kłamstwo i imperializm jeszcze bardziej, jeszcze wspanialej rozkwitły w Związku Sowieckim, którego rozpad obecny prezydent Rosji nazwał „największą katastrofą XX w.”. Trafnie i przejmująco pisał o tym kraju późniejszy wyzwoliciel Bolonii gen. Klemens Rudnicki. Otóż opuszczając ZSRS na statku odpływającym z Krasnowodsk w 1942 r., dumał: „Gdyby mnie ktoś wówczas zapytał, jakie wrażenie o tej ziemi wryło mi się najsilniej w świadomość – odpowiedziałbym: nieludzkie kłamstwo, perfidne kłamstwo, które z kraju tego wyгнаło prawdę, zamieniło się w system, odebrało człowiekowi godność, sponiewierało go i zbrukało. Kłamali i kłamało wszyscy i wszystko od chwili, gdy wstąpiłem w krąg tego systemu...”. Wiedział, co pisze, bo wiele sam wycierpiał na nieludzkiej ziemi. Mieliśmy nadzieję, że nie będziemy musieli odnosić tych słów do Rosji dzisiejszej... Spotyka się wielu życzliwych Rosjan, dobrych ludzi. Józef Piłsudski też takich spotykał. I pisał: „Oni... będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy... Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrzę...”. ©

Arsenał doby Trafalgaru



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Od połowy XVII w. pojedynek ogniowy był zasadniczym, a czasami jedynym sposobem walki na morzu – artylerzyści stanowili dwie trzecie załogi, abordaż zszedł do roli drugorzędnej



Okręt liniowy, następca galeonu, miał prostą linię kadłuba, który w przekroju poprzecznym zbliżony był do jaja. Nadbudówki – rufowa i dziobowa – zostały niemalże zrównane pod względem wysokości z pokładem. Omasztowanie składało się z trzech masztów uzupełnionych o stengi (bramstengi) zwiększające znacznie ich wysokość; dzięki temu można było podnosić żagle na czterech rejach (a nie na trzech jak dotychczas), co oczywiście wpłynęło na zwiększenie prędkości – nawet do 14 węzłów. Przeciętny liniowiec posiadał trzy pokłady działowe. Okręty ujednolicono i sklasyfikowano za pomocą szczegółowych przepisów dotyczących wyposażenia bojowego, sposobu budowy i zadań załogi. Liniowce dzielono na

cztery–sześć klas, biorąc pod uwagę zdolność bojową, którą określano na podstawie liczby pokładów artyleryjskich, liczby dział oraz ich wagomiaru. W Anglii istniało sześć klas okrętów, we Francji – pięć, w Hiszpanii i Holandii – po cztery. Na okrętach I rangi, mających nawet 110 luf, artylerię rozmieszczano następująco: najcięższe 42-funtówki ustawiano na dolnym pokładzie, armaty 24-funtowe na średnim, a 12-funtowe na górnym. Dodatkowo kilkanaście dział najlżejszych wagomiarów strzegło rufy i dziobu; z górnego pokładu ostrzeliwano też przeciwnika moździerzami. Salwa burtowa nie oznaczała, że w jednym momencie oddawano strzał ze wszystkich luf; mogłoby to doprowadzić do rozluźnienia wiązań kadłuba. Strzelała jednocześnie najwyżej połowa armat. Angielscy kanonierzy

byli w owym czasie najlepiej wyszkoleni, oddawali trzy salwy w ciągu pięciu minut, podczas gdy Francuzi, dla porównania, tylko raz na trzy minuty. Ustawione na górnym pokładzie działa służyły do demolowania pokładu i ożaglowania; artyleria średniego oraz dolnego pokładu strzelała „w drewno”. Prawdziwym „potworem” służącym do walki na bliskim dystansie były zastosowane pod koniec XVIII w. przez Anglików krótkolufowe karonady, miotające nawet 68-funtowymi pociskami. Niewielka prędkość oraz zasięg wystrzelonych z niej pocisków powodowały, że zamiast przelatywać na wylot, demolowały burty, powodując, że masa odłamków raziła ludzi. Przed walką manewrowano zespołami okrętów tak, aby ustawić się względem przeciwnika po stronie nawietrznej (tzn. mając wiatr za sobą). Dzięki temu dymy prochowe ograniczały pole widzenia załódze wrogiej jednostki (znajdującej się na zawietrznej), można było też łatwiej przeciąć liniowy szyk przeciwnika i przechodząc przed rufą lub dziobem nieprzyjacielskiego okrętu, demolować go salwami burtowymi (tzw. przeczesanie). Gorsza pozycja podczas walki mogła wpłynąć na niemożność wykorzystania najniższego pokładu działowego. Na przykład podczas bitwy stoczonej między Anglikami a Francuzami pod Quiberon w 1759 r. jeden z francuskich liniowców, zaatakowany przez dwa angielskie okręty, próbował otworzyć dolne ambrazury; ponieważ znajdował się na podwietrznej (a była akurat wysoka fala), woda wdarła się do środka i jednostka poszła na dno. Najlepsi dowódcy stosowali się oczywiście do ogólnych zasad taktyki liniowej, ale w istotnych momentach potrafili ją modyfikować, odchodząc od sztywnych regulaminów na korzyść walki manewrowej. Operowanie poszczególnymi eskadrami, uzyskiwanie przewagi w wybranym momencie nad częścią sił przeciwnika, prowadzące do rozerwania jego szyków, decydowało o zwycięstwie. Na zdjęciu: obraz W.A. Knella przedstawiający bitwę stoczoną w 1797 r. między flotą angielską i holenderską pod Camperdown. ©©



Camperdown. Działa gwintowane i z zamkami

Po okresie względnego zastoju, od końca lat 50. XIX w., ponownie rośnie znaczenie artylerii. To efekt zastosowania gwintowanych luf, dzięki czemu zwiększyły się donośność i stabilizacja pocisku, oraz użycia zamków pozwalających na ładowanie od wlotu lufy (wzrost szybkostrzelności). Dominującym typem pocisku staje się podłużny i stożkowaty granat z zapalnikiem uderzeniowym zaopatrzony

w pierścień wiodący zapewniający odpowiednie prowadzenie w przewodzie lufy. Pierwszym sprawdzianem dla gwintowanej artylerii i nowej amunicji staje się wojna francusko-austriacka w 1859 r. Francuzi odnoszą spektakularne zwycięstwo m.in. dzięki lepszym armatom. Ich czterofuntówki dziesiętkowały zwarte kolumny piechoty austriackiej, same będąc poza zasięgiem gładkolufowych dział przeciwnika. W 1866 r., nauczona doświadczeniem Austria, dysponuje już dobrą artylerią wyposażoną w blisko 700 dział gwintowanych, choć nabijanych jeszcze od przodu. Przeciwno nim Prusacy wystawiają niecałe 650 stalowych dział gwintowanych Kruppa trzech kalibrów, ale ładowanych od tyłu dzięki prostym zamkom klinowym. Podczas wojny z Francuzami w latach 1870–1871 artyleria pruska wykazuje swoją wyższość nad spiżowymi działami przeciwnika ładowanymi odprzodowo, przede wszystkim za sprawą o wiele dalszego zasięgu i umiejętnej koncentracji ognia. Lufy zaopatrzone są w udoskonalone zamki śrubowe, zapewniające dostateczną szczelność gazów prochowych. Strzela się głównie granatami, choć Francuzi stosują też szrapnele, mimo że składowane zapalniki czasowe są jeszcze dalekie od doskonałości. ©©

Rydwany Dariusza

Wśród wielu rodzajów broni użytych podczas gigantycznych zmagania Aleksandra Macedońskiego z perskim królem Dariuszem znalazły się także wozy bojowe (na zdjęciu: rysunek A. Castaigne'a). Dzięki przymocowanemu z boku ostrzom miały tworzyć wyrwy w szeregach macedońskiej piechoty. Jednak pod Gaugamelą (331 r. p.n.e.) żołnierze macedońscy otworzyli szerokie przejścia w szeregach i wozy zostały przez nie przepuszczone. W kilku wypadkach konie zostały zabite uderzeniami oszczepów, w innych rozbiegły się i uciekły. Niemniej parę wozów, pędząc siłą rozpędu, użyło swoich stalowych ostrzy, siejąc śmierć wśród Macedończyków". Ich załogi zostały unicestwione przez lekkobrojną piechurów sojuszników. ©©



Pancerniacy w Korei



W początkowej fazie wojny koreańskiej (1950–1953) dużym atutem wojsk Północy okazały się radzieckie T-34. Cieszyły się doskonałą opinią jako pojazdy zwrotne,

silnie opancerzone i dobrze uzbrojone ofensywnie. Pierwszy okres walk utwierdził Amerykanów w przekonaniu o ich niezwykłej niezwykłości; pociski z bazook kal. 60 mm i armat ppanc. kal. 57 mm nie miały się „trzechwórek”. Północnokoreańskie czołgi radziły sobie także bez kłopotu z lekkimi amerykańskimi czołgami M24 Chaffee (na zdjęciu), które miały nieszczęście przybyć do Korei jako pierwsze. Sytuacja uległa diametralnej zmianie z chwilą przybycia na front shermanów, pershingów i pattonów. Wielokrotnie modyfikowany Sherman okazał się całkiem skutecznym czołgiem. Wersja M 4A3E8 („Easy 8”) ważyła 32 t

i uzbrojona była w armatę kal. 76,2 mm; maksymalna grubość pancerza wynosiła 64 mm. Silnik Forda o mocy 500 KM rozpędzał pojazd do 47 km/godz. Zmodyfikowane zawieszenie zapewniało niezłe właściwości trakcyjne, amunicja chroniona była w specjalnych mokrych pojemnikach, czołg posiadał także prosty system stabilizacji armaty w trakcie jazdy. Z kolei cięższe M26 Pershing i M46 Patton miały armaty kal. 90 mm i pancerze dochodzące do 102 mm. W kilkunastu starciach wykazały swoją wyższość nad T-34, chociaż wpływ na to miała także wyższość taktyczna Amerykanów. ©©

Dym z kominów / Jak zabija? Kiedy to odkryto?

Atak smogu



Smog w Londynie
w 1952 r. FOT. ARCHIWUM



Tymoteusz Pawłowski

/ Smog potrafi być zabójczy. Towarzyszy ludziom od dawna, ale dopiero w ubiegłym stuleciu zwrócono na niego uwagę

Słowo „smog” pojawiło się w początkach XX w. i zrazu oznaczało typową dla Londynu pogodę, składającą się z mgły (fog) oraz dymu (smoke). W tym czasie stolica Wielkiej Brytanii była największym miastem świata, w którym powszechnie stosowano opalane węglem piece. Miastem, tak jak niemal każde ówczesne,

niezdrowym i śmierdzącym. Dosłownie – latem w 1858 r. miasto to doświadczyło zjawiska znanego jako „wielki smród” – podczas upału miejskie wody wyschły i odsłoniły nieczystości. Londyn był sparaliżowany przez kilka miesięcy, ale gdy przyszły deszcze, wszystko wróciło do normy.

Niemal sto lat później, w 1952 r., Londyn dotknęła kolejna katastrofa ekolo-

giczna. Miała zupełnie inny charakter, nadeszła w początkach grudnia, wraz z ochłodzeniem powietrza. Londyńczycy dogrzewali się, paląc w piecach, ale wiatr zamarł i dymy zalegały nad miastem. Początkowo nikt się nie martwił, aura była typowa dla stolicy Anglii. Później jednak pojawiły się kłopoty z oddychaniem, które – jak się obecnie szacuje – doprowadziły do śmierci 12 tys. ludzi.

Wydarzenia 1952 r. są więc najlepszym dowodem na to, że smog potrafi być zabójczy. Jednak sposób liczenia ofiar budzi pewne wątpliwości. Są to po prostu wszyscy zmarli zimą przełomu lat 1952 i 1953 w okolicach Londynu z powodów chorób górnych dróg oddechowych i kłopotów z sercem. Tymczasem w grudniu 1952 r. liczbę ofiar szacowano na 4 tys., a lekarze zwracali uwagę, że panowała

wówczas najcięższa od wojny epidemia grypy i to ona w olbrzymim stopniu odpowiadała za gwałtowny wzrost śmiertelności. Poza tym wielki londyński smog w 1952 r. nie do końca był tym smogiem, którego dzisiaj tak bardzo się obawiamy: składał się bowiem z zanieczyszczeń chemicznych, przede wszystkim dwutlenku siarki i dwutlenku azotu. Dzisiaj pod pojęciem smogu rozumiemy przede wszystkim pyły zawieszone w powietrzu.

Jak zabija smog?

Smog o charakterze chemicznym został w Europie praktycznie wyeliminowany – wraz z przemysłem ciężkim. Fabryki w miastach zostały zamknięte, a produkcja, która nie przeniosła się do Chin, odbywa się na prowincji. Kary za zanieczyszczenie powietrza są zaś tak olbrzymie, że wszyscy korzystają z bardzo skutecznych filtrów.

Smog, którego się obawiamy, to drobinki pyłów zawieszone w powietrzu. Tajemnicze nazwy – PM 2,5 oraz PM 10 – oznaczają ich wielkość w mikrometrach: 10 oraz 2,5 (średnica ludzkiego włosa to ok. 100 mikrometrów). Mają one fatalny wpływ na ludzkie zdrowie, dostają się do układu oddechowego albo nawet krwionośnego, gdzie powodują stany zapalne i utrudniają naszemu organizmowi walkę z zarazkami. Smog nie zabija w jednej chwili, może natomiast skrócić życie, a na pewno zmniejszyć jego komfort.

Smog jest z nami, od kiedy człowiek zaczął ogrzewać swoje miejskie domy, paląc w piecach – co najmniej od średniowiecza, a pewnie nie były od niego wolne nawet miasta starożytne. Dlaczego „na Zachodzie” zaczęto zwracać na niego uwagę dopiero w XX w., a Polsce jeszcze później – ok. roku 1913?

Otóż do połowy XX w. śmierć była zjawiskiem zwyczajnym. Ludzie przeziębiali się, umierali nie tylko na gruźlicę, lecz także na powikłania po odrze czy zwykłej grypie. Po drugiej wojnie światowej powszechnie dostępne stały się antybiotyki: streptomycyna sprawiła, że gruźlica jest nad wyraz rzadka (choć wciąż jest niebezpieczna), a penicylina zminimalizowała ryzyko śmierci na



Plakat autorstwa Pejmana Haghighi FOT. ARCHIWUM

zapalenie płuc. W latach 60. XX w. opracowano szczepionki – przede wszystkim na odrę – i śmierć oczywiście zdarzała się, musiała jednak być usprawiedliwiona: nowotworem, zawałem serca, wypadkiem komunikacyjnym. Ludzie powinni dożywać setki, a jeśli ktoś odchodził przedwcześnie, to trzeba było znaleźć winnych. Jednym z winnych okazał się smog.

W komunistycznej Polsce trudno było prowadzić higieniczne życie, skoro brakowało nawet papieru toaletowego i podpasek. Atmosfera w PRL była fatalna: niektórych zanieczyszczeń w powietrzu było 10 razy więcej niż dziś. Wraz z upadkiem komuny sytuacja się poprawiła: dostępne stały się środki higieniczne, a przemysł ciężki przestał korzystać z trucicielskich technologii opracowanych w Związku Sowieckim. Weszliśmy do Unii Europejskiej, przetwarzaliśmy kryzys ekonomiczny i wreszcie zaczęliśmy zwracać uwagę na jakość powietrza. A w Polsce jest ono najgorsze w Europie.

Polskie powietrze

Dlaczego nasze powietrze jest niezdrowe, wyjaśnia historia – wyjątkowość polskich dziejów. Potoczyły się one tak – od rozbicia dzielnicowego do za-

borów – że istnieją silne centra lokalne, a i stolica państwa jest względnie małym miastem: mieszka w niej raptem co 17. obywatel Rzeczypospolitej. U wielu naszych sąsiadów w stolicach żyje znaczna część populacji. W zespole miejskim Aten – 4 mln spośród 10 mln Greków. I chociaż w Atenach smog jest olbrzymi, to na mapie zanieczyszczeń jest to tylko punkt – pozostała część Hellady alarmu smogowego nie wzbudza.

Poza tym... taki mamy klimat. Przejściowy. Portugalia – ciepły kraj, położony nad wietrznym Atlantykiem – problemu ze smogiem nie ma. W Polsce „wiatr od morza” nie dociera daleko w głąb lądu ani nie wietrzy nam miast. W dodatku jest chłodno. Domy na południu Europy bardzo często nie mają ogrzewania. W Polsce jest co prawda wystarczająco ciepło, żeby gęstość zaludnienia była pięciokrotnie wyższa niż w Szwecji, ale stanowczo zbyt zimno, żeby obejść się bez kominków i pieców. A gdyby te kominki i piece potrzebne były również w Grecji, to Ateny byłyby dużo bardziej zanieczyszczonym miastem.

Wreszcie Polska od zawsze była państwem rolniczym, w którym osadnictwo było rozłożone bardzo równomiernie. Jesteśmy krajem licznych wsi i małych miasteczek pełnych ludzi ceniących swoją indywidualność. Ponad połowa Polaków ma własne domy, czym wyróżniamy się na tle Europejczyków, z których większość mieszka w kamienicach i blokach mieszkaniowych. Tam królują centralne ogrzewanie i wysokie kominy wypływające pyły wystarczająco wysoko, żeby rozwiały się one na puste pola, lasy i nieużytki. U nas natomiast dym z kominów ściele się nisko nad ulicami.

Nie zapominajmy też o naszym wielkim bracie. W czasach, gdy w Europie budowano elektrownie atomowe, w Moskwie uznano, że nie warto ich stawiać w PRL. Polacy nie byli godni zaufania jak „wschodni” Niemcy czy Czesi, aby udostępnić im technologię, a atmosfera społeczna nie była na tyle przyjazna, żeby osiedlić kilkanaście tysięcy rodowitych Rosjan do obsługi reaktora – jak na Litwie. Zamiast dostarczać uran, lepiej było wywozić go z Polski i kazać Polakom eksploatować własne złoża węgla. I stąd właśnie wziął się nasz wyjątkowo intensywny smog.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują

/ Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W TRAKTACIE WERSALSKIM PODPISANYM 28 CZERWCA 1919 ROKU, USTALONO NOWY KSZTAŁT GRANIC WIELU EUROPEJSKICH PAŃSTW. NA MOCY TYCH POROZUMIEŃ DO POLSKI WRACAŁO MIĘDZY INNYMI POMORZE, A JEGO PRZEJĘCIE MIAŁO NASTĄPIĆ W STYCZNIU 1920 ROKU. CHOC OD POCZĄTKU 1920 ROKU DAŁO SIĘ W TORUNIU WYCZUĆ ROSNĄCE NAPIĘCIE (1 STYCZNIA DOSZŁO DO ATAKU NIEMIECKICH ŻOŁNIERZY NA WIDZÓW SPEKTAKLU „BETLEJEM POLSKIE”), TO STRONA POLSKA LICZYŁA, ŻE WYNEGOCJOWANY HARMONOGRAM PRZEJMOWANIA OBSZARÓW BĘDZIE REALIZOWANY BEZ WIĘKSZYCH PROBLEMÓW. TE JEDNAK POJAWIŁY SIĘ JUŻ NA SAMYM POCZĄTKU...

17 STYCZNIA 1920 ROKU,
OKOLICE GNIEWKOWA, GODZINA 6:00.



W WYNIKU WALK, DO KTÓRYCH DOSZŁO, RANNYCH ZOSTAŁO DZIEWIĘCIU POLSKICH ŻOŁNIERZY, A JEDEN ZGINĄŁ - GERHARD PAJĄKOWSKI Z 18 PUŁKU ULANÓW POMORSKICH.

JAK DOSZŁO DO TYCH NIESPODZIEWANYCH WYDARZEŃ? USTALONO, ŻE CO NAJMNIEJ NA GODZINĘ PRZED WKROCZENIEM NA DANY TEREN POLSKICH ODDZIAŁÓW, NIEMIECCY ŻOŁNIERZE SIĘ Z NICH WYCOFAJĄ. JEDNAK W CZASNYM RANKIEM 17 STYCZNIA ODDZIAŁY NIEMIECKIE NIE OPUŚCIŁY SWOICH POZYCJI. PRAWDOPODOBNIE Z POWODU RÓŻNICZY CZASU. TAK OPISYWAŁA TO HELENA STEINBORNOWA, DZIAŁACZKA SPOŁECZNA I ŻONA BURMISTRZA KOMISARYCZNEGO TORUNIA OTTONA STEINBORNA: „W WIELKOPOLSCIE OBOWIĄZYWAŁ, ZAPROWADZONY W CZASIE WOJNY CZAS LETNI NA POMORZU ZAŚ, JAK W CAŁYCH NIEMCZECH, ZAMIENIONO GO W CZASIE REWOLUCJI NA CZAS ŚREDNIO-EUROPEJSKI - O GODZINĘ PÓŹNIEJ”.



STARCIE POD GNIEWKOWEM SPRAWIŁO, ŻE OPÓŹNIONO PRZEJMOWANIE KOLEJNYCH TERENÓW, ŻEBY NIE DOCHODZIŁO DO PODOBNYCH INCYDENTÓW. DLATEGO 18 STYCZNIA 1920 ROKU DO TORUNIA POLSKIE ODDZIAŁY WKROCZYŁY KILKA GODZIN PÓŹNIEJ, NIŻ PIERWOTNIE PLANOWANO.

Polska wyszła z poprzedniej wojny jako kraj najbardziej zniszczony. Jej wszystkie ziemie były polami bitew – i ona jedna nie dostała żadnych odszkodowań.

Kiedy w obronie własnej i w obronie całego cywilizowanego świata stawiała czoło czerwonemu potopowi – nikt jej nie dopomógł. Jedyną pożyczkę, jaką Polska wówczas dostała – to dolarów 20 mln od Polonii amerykańskiej. Czechy zamknęły granicę dla dowozu broni. Robotnicy angielscy i belgijscy zastrajkowali, nie pozwalając ładować towarów do Polski. Niemcy pomagali bolszewikom wszelkimi dostępnymi środkami. Francja przysłała do Warszawy Weyganda z pustymi rękami, dobrymi intencjami i złymi radami. Polska wygrała wojnę z Rosją sama – oto prawda o naszej wiktorii nad bolszewikami z roku 1920 lapidarnie spisana ręką płk. Ignacego Matuszewskiego – jednego z ojców naszego zwycięstwa nad Rosją Lenina!

I wcale nie chodzi w tej prawdzie, może już dziś nawet banalnej, o tę Herbertowską „krzepiącą wiedzę”, że w Sierpniu '20 byliśmy „sami”. Nie! Wręcz przeciwnie: Polska nie może już nigdy być samotna w obliczu zagrożeń, bo są one w naszych czasach na tyle wielkie, że w pojedynkę się z nimi nie upora! Dzisiaj wojen nie wygrywa się już ani pospolitym ruszeniem, ani nawet – do pewnego stopnia – samym geniuszem strategiczno-operacyjnym dowódców. Także groza, tak dobrze pamiętana z sierpnia 1920 r., która wisiła nad Polską i jej stolicą, nie jest wystarczającym budulcem morale obrońców ojczyzny. O wszystkim rozstrzygają siła i przewaga, dzięki którym można nawet uniknąć wojny.

Dzisiaj, w przededniu rocznicy naszej największej chwały od czasów bitwy pod Wiedniem z 1683 r., 15 sierpnia 1920 r. jest poza wszystkim – powinien być – wezwaniem do siły! Zobowiązaniem do budowy Polski potężnej! Silnej militarnie, ekonomicznie, technologicznie, intelektualnie, infrastrukturalnie, kulturowo... i zakorzenionej w sojuszach polityczno-militarnych Zachodu, pomimo wszystkich zagrożeń cywilizacyjnych tam obecnych.

Kult siły zamiast romantycznej opowieści o chronicznej samotności i klęskach, które rzekomo miały być w przeszłości „nawozem polskości”,

/ Polska wygrała wojnę z Rosją sama – oto prawda o naszej wiktorii nad bolszewikami

wydać się tu najistotniejszy. A rocznica Cudu nad Wisłą jest po temu najlepszą okazją. Wiem, że to trudne, zważywszy na romantyczny paradygmat polskości, który tak mocno kształtuje nasze narodowe dusze. I zdaję sobie sprawę, że idziemy ku tym pięknym dniom sierpniowym po

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

1920 – 2020

blotnistych polach Ossowa z pustymi rękoma – bez muzeum Bitwy Warszawskiej, bez pomnika i łuku triumfalnego w centrum miasta, które w sierpniu 1920 r. było centrum świata, bez względu na to, czy wówczas tak naszą stolicę postrzegano. Obiektywizm tej prawdy wcale nie domaga się rozstrzygnięć większościowych, a tym bardziej poklasku.

Idzimy bez zdesowietyzowanej Polski, wciąż słabej, ale jednak dźwigającej się ku wyżynom, za to z potężnymi wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi, którzy nieustannie spiśkują wobec Rzeczypospolitej, stawiając ją pod ścianą oprawców, winowajców, pośmiewiska Europy i świata. I to też nie może być powodem demobilizacji,

ale tylko zobowiązaniem do siły i potęgi, bo nie ma lepszej lekcji niż ta, która pozwala przeglądać się we własnych zwycięstwach, słabościach, błędach, a nawet nienawiści wrogów!

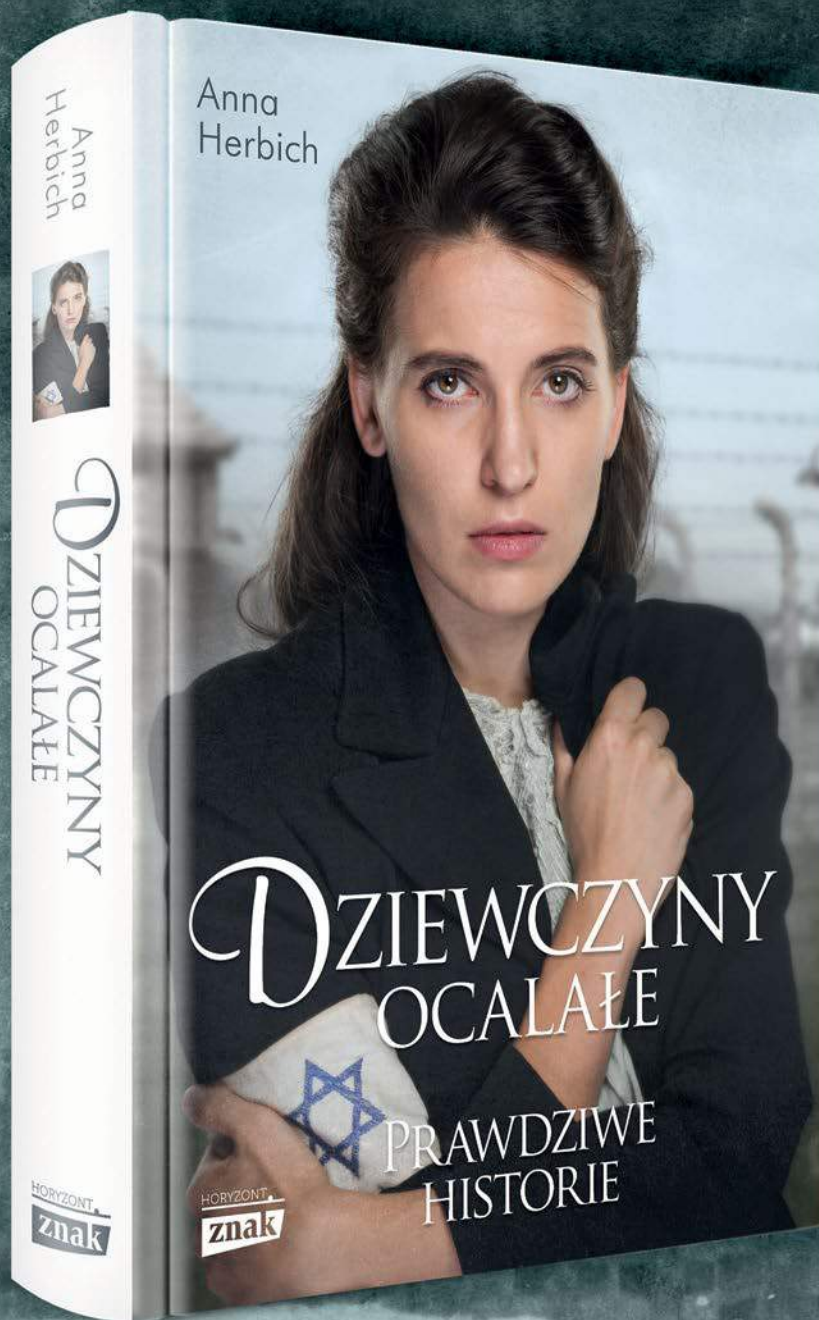
Nasz triumf z 1920 r. nie może być jedynie rocznicową akademią, ale zobowiązaniem do siły, która rodzi się z tamtego niesłychanego wysiłku naszych wódzów, żołnierzy, kapłanów i całego narodu. Artystów i poetów także, bo stanęli do walki w obronie ojczyzny, a później – tak jak Kazimierz Wierzyński – tak celnie potrafili ująć istotę tamtej bitwy i naszego zobowiązania do siły. Jest bowiem tak – i „na zawsze” musi być

tak – jak pisał Wierzyński w „Victorii” z tomiku „Wolność tragiczna”, że Nike, czyli Zwycięstwo, na zawsze zapanuje nad miastem, nad Polską:

*Nim jeszcze wojsko usnie, chłód nim skropił rosę.
I na ściemiskach świerszcze zniemacka zagrają,
Wszystek twój wiatr zawijam w sztandary i niosę:
Im dam tę zdobyc trudną na zawsze. Niech mają.
Niepamiętne niech rośnie ponad czołem dzieło
I największym się na nich położy ciężarem,
By miasto się pod chwałą zdumione ugięło
I kraj by dumą przykrył się, jak tym sztandarem.
Płynie czas i zamyka wielki dzień zwycięstwa,
Gwiazdy już spią kurzem w krąg po niebie ciemnem.*

*Bogini, tu cię stawiam na cokale męstwa:
Nike ponad Warszawą, Nike nad mym Niemnem.
Amen. ©©*

BYŁY PONIEWIERANE, GŁODZONE
I W KAŻDEJ CHWILI MOGŁY STRACIĆ ŻYCIE.
JEDNAK PRZETRWAŁY.



PREMIERA: 29 STYCZNIA